tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 27 (1173)
27.06-3.07.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. BOGDAN GALWAS
CEL LEWICY: PAŃSTWO SOCJALNE

PODLASIE: STRACONY
SEZON TURYSTYCZNY

WIESŁAW KOT
LINDA: INTELIGENT, TWARDZIEL, OBYWATEL

CO Z TYM WĘGLEM?

DO POLITYKI IDĄ CORAZ GORSI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
27 >
9 771509 311201

eprasa.pl 927e76a9e7

SERGIO CASTELLITTO
(„WIELKI BŁĘKIT", „SPRZEDAWCA MARZEŃ", „OPOWIEŚCI Z NARNII")

BÉRÉNICE BEJO
(„MAŁE SZCZĘŚCIA", „SŁODKICH SNÓW", „ARTYSTA")

Księgarnia w Paryżu

WZRUSZAJĄCA ROMANTYCZNA OPOWIEŚĆ
O ŻYCIOWYCH NIESPODZIANKACH

W KINACH OD 24 CZERWCA

VANICA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

prasa.pl 927e766

Jerzy Domański

Dziennikarze ogrywani przez polityków

Pisanie o mediach w Polsce, czyli w gruncie rzeczy także o sobie, zaczyna być szczególną formą masochizmu. Jak jest? Nawet ci, którzy korzystają z mediów doraźnie, widzą, że dziennikarze są skłóceni, podzieleni prawie we wszystkich sprawach i niemiłosiernie ogrywani przez polityków. Co jest tym bardziej wstydliwe, że akurat ta grupa z mądrali nie jest znana. Ale o wiele ważniejsi od polityków są właściciele mediów. Dla nich, choć chętnie mówią o wartościach, najważniejszy jest zysk. Przez lata tresury wychowali sobie usłużnych i dyspozycyjnych dziennikarzy. W grze o dusze, a zwłaszcza portfele Polaków nie ma przebacz. Dla właścicieli telewizji wartość dziennikarzy mierzona jest oglądalnością. Bo ta przyciąga reklamy. Co więc robią medialni celebryci, wyjątkowo dobrze jak na dziennikarską masę opłacani? Dobierają do programów coraz głupszych dziwolągów. Kasa się zgadza. A że jest coraz głupiej, to już problem widzów.

Największa telewizja, czyli TVP, jest tak prorządowa, że dawno przekroczyła wszelkie granice przyzwoitości. Druga, czyli TVN, jest amerykańska i co do milimetra pilnuje interesów właściciela. A trzecia, Polsat, należy do biznesmena, który zawsze najlepsze interesy robi z władzą. Solorz rozumie, że w polityce jest ciągły ruch, więc zaprasza do siebie wszystkich. Tyle że w zależności od etapu ktoś siedzi w pierwszym rzędzie, a ktoś w czwartym. I później zamieniają się krzesłami.

Jest coraz marniej i marniej. Dlaczego? Bo po dnie szoruje telewizja Kurskiego. Pozostali mają więc alibi i wystarczy im, że jeszcze nie dotykają dna. Od lat powtarzam, że tylko odbudowane i odbite z rąk polityków nowe media publiczne mogą być dźwignią podnoszącą poziom innych mediów.

Na te nowe media publiczne muszą być środki finansowe z budżetu. Tyle, by mogły robić sensowne programy. I by trafiali tam najlepsi dziennikarze, którzy pilnując wysokich standardów zawodowych i etycznych, będą się w nich czuli bezpiecznie. Abonament jest już praktycznie fikcją. A ojcem tej klapy jest Donald Tusk, który brał media publiczne głodem. Kaczyński bierze głodem wszystkich, którzy nie jedzą mu z ręki i nie klaszczą. Ogromna kasa idzie do TVP i gazet pisowskich.

Nie ma co mówić o wolności słowa i demokracji przy tak chorych mediach.

Polska z TVP Info i Polska z TVN 24 mają ze sobą bardzo niewiele wspólnego. Obie telewizje są stronnicze, choć każda na swój sposób. Z zapałem chronią tych, którzy są pod ochroną ich mocodawców. I z podobnym zapałem atakują ich wrogów.

Co w takiej sytuacji robić? Jak nie stać się zmanipulowaną ofiarą? Korzystać z wielu źródeł. A na to niestety brakuje czasu.

TO MA SENS!

PRZEGLĄD w bibliotekach

Drodzy Czytelnicy, kończy się półrocze i znowu biblioteki czekają na nasz tygodnik.

Dzięki Waszym wpłatom PRZEGLĄD otrzymuje w tym roku 68 placówek.

Kontynuujemy tę pożyteczną akcję.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka"

Fundacja Oratio Recta
Nr konta 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Pełna lista obdarowanych bibliotek na tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI

eprasa.pl 927e76a9e7

W NUMERZE

KRAJ

8 **Do polityki idą coraz gorsi**
Dlaczego tak się dzieje?

12 **Sejm przeciw kobietom**
W sprawie aborcji bez zmian

14 **Działacze SLD wskrzeszają… SLD**
Na lewicy coś się ruszyło

16 **Co z tym cholernym węglem?**
W tym roku zabraknie 5-6 mln ton

20 **Twierdza Podlasie**
Stracony sezon turystyczny

24 **Korzyści z covidu**
– rozmowa z dr hab. Barbarą Worek

WOJNA W UKRAINIE

26 **(Nie)regularni**
Ochotnicy i najemnicy

ZAGRANICA

30 **Le Pen poza kordonem**
Po wyborach we Francji

33 **Wizyta w cieniu krwawych interesów**
Biden poleci na Bliski Wschód

36 **Subkontynent spalony słońcem**
Fale upałów dewastują Indie

OPINIE

40 **Bogdan Galwas**
Cel lewicy: państwo socjalne

42 **Katrina vanden Heuvel**
Potrzebujemy prawdziwej debaty na temat wojny w Ukrainie

KULTURA

44 **Tak blisko, a tak daleko**
– rozmowa z Alicją Knast

48 **Inteligent, twardziel, obywatel**
Bogusław Linda kończy 70 lat

51 **Qulturalia**

66 **Atlas snów**

HISTORIA

52 **Nigdy nie przeprosili**
Japońscy zbrodniarze wojenni

SPORT

56 **Kadra jeszcze w lesie**
Więcej biegali, niż grali

EKOLOGIA

58 **Chrust plus przepis na katastrofę**
Martwe drzewa są potrzebne

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Dziennikarze ogrywani przez polityków

19 **Jan Widacki**
Myślenie życzeniowe w sytuacji bez wyjścia

29 **Andrzej Szahaj**
Benidorm po polsku

39 **Roman Kurkiewicz**
Dzień, w którym Jarosław się odpremierzył…

43 **Tomasz Jastrun**
Pikowanie

55 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Pisarz uchodźca w garderobie dla żebraków

12
KRAJ

SEJM PRZECIW KOBIETOM
W sprawie aborcji bez zmian

36
ZAGRANICA

SUBKONTYNENT SPALONY SŁOŃCEM
Fale upałów dewastują Indie

44
KULTURA

TAK BLISKO, A TAK DALEKO
– rozmowa z Alicją Knast

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, PIOTR KAMIONKA/REPORTER, PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 927e76a9e7

30 lat religii w szkole i co?

Kiedyś pewien zakonnik powiedział, że bez względu na wyznanie, Bóg będzie oceniał, jak człowiek żył, a nie w jakim języku i jakiego Boga wielbił. Czyli że jeśli moja świadomość nie umrze razem z ciałem, to ja ze swoim człowieczeństwem mogę stanąć przed każdym, nie obawiając się o to, czy i ile razy byłam w kościele, obojętnie, jakim i gdzie. *Krystyna Pawłowska*

Rozważania w kontekście wojny w Ukrainie

Moim zdaniem wojny w Ukrainie można było uniknąć. I to jeszcze w grudniu 2021 r., po postawieniu przez Rosjan twardych warunków, ale mogących być przedmiotem negocjacji. Nasze władze już wtedy mówiły, że możemy przyjąć 1,2 mln uchodźców, czyli Zachód był gotowy zignorować to ultimatum i pójść na wojnę. Niepewne było jedynie, kto zacznie pierwszy. *Teresa Komorowska*

Autocenzura

Brawo! W końcu ktoś napisał o bezkrytycznym stosunku mediów do Ukrainy. Ile można słuchać wyłącznie ukraińskiej propagandy? *Paweł Maćkowski*

•

Za inny sposób myślenia jest blokada z urzędu. Tak i tylko tak „wolny świat” rozumie wolność słowa. *Stelios Lotsios*

•

Unia Europejska, w tym Polska, wyłączyła rosyjskie kanały telewizyjne. Tym sposobem nie mamy możliwości porównać, komu kłamstwo zgrabniej wychodzi. Czy nadal panuje ustrój, w którym władza traktuje obywateli jak małolatów i nie pozwala im oglądać tego, co chcą? Zapomnieli o telewizji satelitarnej. *Stanisław Kopciewicz*

•

Cóż, jeżeli odbiorców mediów traktuje się jak idiotów, którym poprzez cenzurę, autocenzurę czy usuwanie kanałów trzeba zamknąć dostęp do rozmaitych źródeł informacji, żeby przypadkiem nie zaczęli myśleć samodzielnie, to potem lądowanie bywa tragiczne, a utrata zaufania do czwartej władzy jest całkowita. *TK*

Mamy dość! Chcemy mieszkań

Mieszkanie nie jest towarem jak każdy inny. Nawet w konstytucji zapisano, że państwo działa w celu zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych. Tyle że w Polsce bardziej się wspiera deweloperów i spekulantów, niż myśli o realnych programach budowy mieszkań. Brak prawa wspierającego spółdzielnie mieszkaniowe, korzystnych kredytów dla samorządów budujących lokale komunalne, ciągłe naciski na zaciąganie kredytów mieszkaniowych, czyli pompowanie zysków banków, to główne patologie polityki mieszkaniowej. *Piotr Ciszewski*

•

Po ośmiu latach czekania dostaliśmy mieszkanie spółdzielcze M4. Mąż wcześniej pracował w Dalmorze jako płetwonurek za dobre pieniądze. Ja w biurze za marne. Mieszkanie wykupiliśmy bez kredytu. W 1983 r. urodziłam drugą córkę. Mąż poszedł na urlop opiekuńczy i z dwójką dzieci na karku w ciągu roku wybudował domek na działce z ojcowizny. Kasa była, bo sprzedaliśmy mieszkanie. Owszem, to nie willa, ale wygodny, czteropokojowy dom. Były też wczasy zakładowe i wyjazdy starszej córki na kolonie. Tyle że to było w PRL. *Waleria Lubner*

Więcej wypowiedzi na temat mieszkań na s. 13

ZDJĘCIE TYGODNIA Krzysztof Żuczkowski

Procesja Rycerzy Chrystusa Króla z obrazem Matki Boskiej z placu Zamkowego do Sejmu. 22 czerwca 2022 r.

eprasa.pl 927e76a9e7

Pani Tekla Juniewicz z Gliwic skończyła 116 lat i jest najstarszą Polką i drugą najstarszą osobą na świecie. Urodziła się w Krupsku (zabór austriacki). Jej najbliższa rodzina to dwie córki, pięciu wnuków, czterech prawnuków i czterech praprawnuków.

•

Dr Józef Musioł, były sędzia Sądu Najwyższego i niestrudzony społecznik, ofiarnie promujący wybitnych Ślązaków i ich osiągnięcia, po raz kolejny zorganizował Święto Ślązaków. Towarzystwo Przyjaciół Śląska w Warszawie, którego od wielu lat jest prezesem, przyznało doroczną nagrodę wybitnemu aktorowi **Marianowi Dziędzielowi.**

•

Nagrodę Literacką m.st. Warszawy otrzymali: pisarz **Andrzej Stasiuk,** poeta **Tomasz Bąk,** historyk z UW **Błażej Brzostek,** autorki książki dla dzieci **Katarzyna Jackowska-Enemuo** i **Marianna Sztyma** oraz autorki powieści graficznej **Wanda Hagedorn** i **Ola Szmida. Nagrodę specjalną dla warszawskiego twórcy otrzymał** poeta **Piotr Sommer.**

•

Badania zamożności Polaków w 2021 r., które przeprowadził GUS, bardzo zaskakują. Najniższe dochody mają gospodarstwa domowe na **Opolszczyźnie** (82% średniej krajowej). Zbiednieli też mieszkańcy **woj. pomorskiego** (89%). A wzbogacili się na **Warmii i Mazurach** (100,4% średniej w kraju). Ale do najbogatszych, czyli regionu **warszawskiego** (133%), jeszcze im daleko.

•

Ukraińcy masowo sprowadzają auta z Unii Europejskiej. Od początku kwietnia rząd Ukrainy zwolnił z ceł, akcyzy i podatku VAT wszystkie importowane towary, w tym pojazdy. Wyznaczono dwa przejścia graniczne do odprawy zakupionych samochodów: Zosin (woj. lubelskie) i Budomierz (woj. podkarpackie). Kolejki mają długość od 10 do 20 km. A na odprawę czeka się kilka dni. Szacuje się, że już przejechało kilkadziesiąt tysięcy aut.

•

Europejski Trybunał Praw Człowieka w sprawie skargi **sędziego Waldemara Żurka** uznał, że Polska naruszyła europejską konwencję, która gwarantuje prawo do sądu i zapewnia swobodę wyrażania opinii. Sędzia Żurek jest bezprawnie szykanowany przez ekipę Ziobry. Z KRS został usunięty ustawą prezydenta Dudy.

•

Za 170,8 mld zł (37,4 mld euro) sprzedano za granicą w 2021 r. polskie towary rolno-spożywcze. A za 112,6 mld zł (24,7 mld euro) kupiliśmy takie towary za granicą.

•

Tylko 40% polskich konsumentów sprawdza przy zakupach kraj pochodzenia żywności. Najczęściej robią to Szwajcarzy (68%), Włosi (62%), Rumuni (61%) i Grecy (60%).

•

Na koniec kwietnia 2022 r. działało w Polsce 2166 stacji ładowania e-samochodów. Muszą zabezpieczyć jazdę 46,5 tys. zarejestrowanych samochodów osobowych i użytkowych z napędem elektrycznym. I 1885 samochodów dostawczych i ciężarowych oraz 721 autobusów elektrycznych.

•

Jedynie 17% osób mieszkających na wsi utrzymuje się z szeroko rozumianej pracy rolniczej.

•

Liczba wróbli w Europie spadła w ciągu ostatnich 40 lat o 247 mln.

PRZEBŁYSKI

Gdy Kaczyński plątał się przy regionie

„W czasie legalnego istnienia Solidarności Jarosław Kaczyński był po prostu zwyczajnym członkiem związku. Nie zasiadał w żadnych władzach, nawet regionalnych, nie miał też statusu doradcy. Nie znałem go na dobrą sprawę. Plątał się przy regionie warszawskim Solidarności jako jeden z kilkunastu ludzi, którzy pracowali w takim ośrodku studiów społecznych, coś tam dłubał, i to tyle. Jarosław to nawet nie była druga liga, był poniżej ligi okręgowej. Nie zaistniał z żadną inicjatywą, nie wystąpił na żadnej radzie programowej, kompletnie niewidoczny. Nie dziwota w związku z tym, że go nie internowano w stanie wojennym, nie było powodu". („Onyszkiewicz. Bywały szczęśliwe powroty").

Walizka Bartosiaka

Doktor. Geostrateg. Założyciel think-tanku. W dwóch słowach – Jacek Bartosiak. Bywalec, który wie, że najważniejsza jest promocja. A jak jest okazja, to trzeba ją robić osobiście. Skorzystał więc z cyklu „Walizka" („Sieci") i pokazał, co w niej wozi. Cztery własne książki (z okładkami) opisuje tak: MOJA największa książka, poznanie jej jest absolutnie niezbędne. MÓJ scenariusz wojny na Pacyfiku. MOJA książka o wojnie w kosmosie, będzie aktualna przez 100 lat. MOJA propozycja reformy wojskowości. A na finał skromnie o sobie: mam kontakty na całym świecie.

Studentka podpórką narodowca

Premier Morawiecki, z wielkopańskim gestem zatrudnił kolejnego doradcę, a precyzyjnie doradczynię. Kinga Niemiec ma 21 lat i jest studentką Wydziału Prawa i Administracji UW. Trafiła do wyjątkowej, nawet jak na standardy PiS, niemoty. Może premier uznał, że z Adamem Andruszkiewiczem głupiej już być nie może. Niech więc przynajmniej będzie śmieszniej. Kinga Niemiec nie spełnia oczywiście żadnego z wymogów stawianych doradcom. Ale czy Andruszkiewicz zdałby test gimnazjalisty? A Morawiecki zaliczył badanie wykrywaczem kłamstw?

W Miastku, czyli wszędzie

Chcecie zobaczyć, jak władze miasteczka, zmieniając partyjne szyldy, mogą bezczelnie pogrywać z ludźmi? Takich miejsc jest w Polsce wiele. Za Bożeną Dunat z „NIE" wybierzmy się na Kaszuby, do Miastka. Burmistrzem chciał zostać Mariusz Łuczyk, z zawodu nauczyciel. A z łaski PiS wicewojewoda pomorski. Uparty gość. Pięć razy startował do parlamentu. I trzy razy walczył o fotel burmistrza Miastka. Wyborcy też są uparci. Gonią pisowca bezlitośnie. A PO? Tyż piknie. Burmistrzem została Danuta Kraśkiewicz, pracownica banku i radna. Zajęła się urządzeniem gabinetu i zwalczaniem dyrektorki szkoły, do której chodzą niepełnosprawne dzieci. A dyrektorkę szpitala Renatę Kiempę wzywała do ratusza, mówiąc sekretarce: „Niech przyjdzie ta kurwa ze szpitala". Ale to już historia, bo lud w referendum odwołał Kraśkiewicz. A premier na p.o. burmistrza powołał… Renatę Kiempę.

FOT. ARCHIWUM, TWITTER, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 927e76a9e7

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy tanie zakładowe kolonie dla dzieci to był dobry pomysł?

ANDRZEJ RADZIKOWSKI,
przewodniczący OPZZ

Zdecydowanie tak. Owszem, dzisiaj w polskich, a nawet zagranicznych ośrodkach można spotkać wielu turystów z dziećmi. Obawiam się jednak, że jest to ciągle ten sam wycinek zamożniejszej części naszego społeczeństwa. Większość dzieci niestety spędza ferie czy wakacje w domu. W sytuacji, gdy rodzice muszą iść do pracy, takie rozwiązanie nie jest dobre. Z powodów wychowawczych, ale i dlatego, że nie tylko dorosłym, ale i dzieciom potrzebny jest wypoczynek, najlepiej – zorganizowany. Dzięki niemu są w stanie zregenerować siły po roku szkolnym.

WALDEMAR WITKOWSKI,
przewodniczący Unii Pracy

Każda forma wypoczynku i wspólnego spędzania czasu przez dzieci, które się nie znają, przyczynia się do rozwoju kontaktów międzyludzkich, jest okazją do poznawania nowych środowisk itd. Sam w młodości uczestniczyłem w tego typu wyjazdach i mile je wspominam. Zakłady pracy, które na to stać, mogą i powinny finansować kolonie z funduszu socjalnego. Mam tylko jedną uwagę: ustawodawca musi zmienić przepisy, które wyraźnie mówią, że prawo do tego typu pomocy jest uzależnione od dochodu na członka rodziny. Powoduje to, że na takie kolonie jedne dzieci mogłyby jechać, a drugie nie. Nie powinno się różnicować dostępu dzieci do dóbr z funduszu socjalnego, m.in. dlatego, że oznacza to stygmatyzowanie tych pochodzących z niezamożnych rodzin.

MARTYNA JAŁOSZYŃSKA,
członkini Zarządu Okręgu Razem w Warszawie,

Nie korzystałam z zakładowych kolonii – to raczej czasy moich rodziców i dziadków – ale myślę, że nie bez powodu wspomina się je z taką nostalgią. Dla wielu dzieci były pierwszymi wakacyjnymi wyjazdami, bo ich rodzin nie było stać na inne. Do tego dochodziła integracja klas społecznych: dzieci robotników spędzały czas z dziećmi pracowników biurowych, często nawet tych wyższego szczebla. To poniekąd integrowało też rodziców i tworzyła się zakładowa społeczność. Dziś uboższe rodziny nie zawsze mają możliwość zapewnienia dzieciom wakacji – spójrzmy, jak wzrosła liczba wyjeżdżających na nie dzieci po wprowadzeniu 500+. Konstytucja PRL mówiła o prawie do wypoczynku, a państwo je realizowało. Zamiast tylko demonizować tamte czasy, warto wrócić pamięcią do niektórych słusznych rozwiązań i wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 927e76a9e7

DO POLITYKI IDĄ CORAZ GORSI

Zamiast ekspertów na salony wkroczyli specjaliści od wszystkiego, złotouści demagodzy robiący show

Sebastian Kaleta zrobił karierę przy Zbigniewie Ziobrze. Adam Andruszkiewicz ma zapewnić PiS radykalny prawicowy elektorat.

Robert Walenciak

Do polityki idą coraz gorsi. Coraz słabiej wykształceni i na dodatek coraz mniej rozumiejący, czym jest służba publiczna.

Trudno tę tezę podważyć – z wyborów na wybory mamy polityków coraz gorszych, coraz mniejszego formatu. A ponieważ zależy od nich tak wiele, to i Polska jako kraj popada w coraz większe turbulencje. Rzecz jest prosta – słabi menedżerowie nie osiągną dobrych efektów.

Dlaczego tak się dzieje? Myślę, że na to pytanie nie ma jednej odpowiedzi. Na tę degrengoladę złożyło się kilka procesów.

1. Zniszczono mechanizm dopływu świeżych kadr

To, że ten mechanizm funkcjonował, i to całkiem przyzwoicie, potwierdzić mogą wszyscy ci, którzy pamiętają początek lat 90., czyli pierwsze lata demokracji. Proszę, byli historyczni liderzy Solidarności – Wałęsa, Mazowiecki, Geremek, Kuroń..., ale za ich plecami czaili się młodzi kilerzy, ambitni 30-, 40-latkowie – Jarosław Kaczyński (rocznik 1949, senator, a potem szef kancelarii prezydenta Wałęsy) czy Donald Tusk (rocznik 1957, szef KLD, wiceszef UW i szef PO). Na lewicy i w PSL młodzi do pierwszych rzędów zostali już wypchnięci – Kwaśniewski, Miller, Cimoszewicz, Pawlak, Kalinowski... Gdy więc pierwszy rzut liderów się zużył, następcy byli już gotowi. Dlaczego oni z kolei nie dochowali się swoich następców? Dlaczego ten mechanizm zadziałał tylko raz?

Ha, ha... Można się zaśmiać. Tusk, który wsadził nóż w plecy Geremkowi, później wiedział już, jak się „zabezpieczyć" przed podobnymi niespodziankami. Rokita, Gilowska, Olechowski, Piskorski, Schetyna, Gowin... Liczba skalpów, które zdjął, i to w białych rękawiczkach, może imponować. Kaczyński nie jest gorszy, co zakręt historii, to z PiS wypadała kolejna grupa. A inni to widzieli. I uczyli się pokory.

eprasa.pl 927e76a9e7

2. Są lepsze możliwości kariery

To przyczyna bardzo istotna. Ilustruje ją wspaniała anegdota, opowiadająca, jak Grzegorz Kołodko budował swoją ekipę, gdy po raz drugi został wicepremierem i ministrem finansów. To było w roku 2002, latem, gdy zastępował w rządzie Marka Belkę. Niektórzy może to pamiętają – w telewizji ogłoszono, że nowym wicepremierem będzie Grzegorz W. Kołodko. Ale jest za granicą. Więc kamery pojechały na lotnisko, Kołodko przyleciał samolotem rejsowym, wyglądał jak turysta, z długimi włosami. No nic, natychmiast wziął się do budowania ekipy i jako do pierwszego pojechał do Krzysztofa Kalickiego, który w czasach „pierwszego Kołodki" był sekretarzem stanu w Ministerstwie Finansów i de facto kierował ministerstwem. W 2002 r. Kalicki był prezesem Deutsche Bank Polska (formalnie został nim rok później). Miał opinię świetnego fachowca, a z kolei Kołodko miał opinię człowieka, który ma złotą rękę do współpracowników, że dobiera najlepszych. Chyba dlatego, że obcy był mu odruch większości polityków: „Czy ten człowiek w przyszłości mi zagrozi?".

Kołodko udał się do Kalickiego z prostym przesłaniem: „Cześć Krzysiu, od jutra zostaję wicepremierem, wszystko będzie, jak było, bierzemy się do roboty, chciałbym, żebyś od poniedziałku wrócił do Ministerstwa Finansów". Na co usłyszał w odpowiedzi: „Ależ Grzesiu, cóż ty mi proponujesz? Jestem tu na solidnej posadzie, dobrze płatnej, jestem szanowany, moją pracę ocenia kompetentna rada nadzorcza. A ty mi proponujesz 7800 zł miesięcznie, a jeszcze będę czytał o sobie najgorsze rzeczy, każdy ekonomiczny analfabeta będzie wypisywał o mnie różne bzdury, moja rodzina będzie to czytała, a potem po roku będę musiał odejść i szukać pracy".

Ta anegdota pokazuje, że od pewnego momentu najlepsi fachowcy zaczęli unikać propozycji z sektora państwowego. Bardziej atrakcyjny stawał się sektor prywatny, gdyż dawał i większe zarobki (często wielokrotnie, prezesi banków w Polsce w tamtym czasie inkasowali ok. 2 mln zł rocznie), i stabilność, i poczucie, że uczestniczy się w czystej grze. Polityka stawała się coraz bardziej brudną grą. Najlepsi, ceniący się, zaczęli więc tej kariery unikać.

A kogo zaczęła przyciągać?

Najlepsi fachowcy zaczęli unikać sektora państwowego. Sektor prywatny dawał większe zarobki, stabilność i poczucie, że uczestniczy się w czystej grze.

3. Nadszedł czas show

W historii polskiej polityki ta data będzie jak kamień milowy – to 9 sierpnia 2001 r. Dzień debiutu TVN 24, pierwszej stacji informacyjnej nadającej całą dobę. Nowy format zmienił politykę i życie publiczne. Jeżeli wcześniej politycy musieli przygotować się do paru programów tygodniowo, wtedy się wypowiadali, a następnie ich słowa były analizowane w gazetach, komentowali ekspertów. Liczyli oni, że programy informacyjne poszerzą debatę, bo jeżeli czasu na antenie mamy do woli, to można mówić o sprawach bardziej skomplikowanych, na co w „normalnych" programach nie ma czasu.

Nic takiego się nie zdarzyło – programy miały przyciągać widzów. A widzów przyciąga nie kolejna analiza, nie wymagające pogłębionej wiedzy tematy, ale spór, jasne określenie stanowisk, sensacja, emocje.

W ten sposób na salony wkroczyła nowa kategoria polityków, specjalistów od wszystkiego, szermierzy słowem, potrafiących podnieść temperaturę programu.

Widzom to się podobało, ludziom poważnym – już mniej. Tak czy inaczej – taki format prezentowania polityki przyciąga do niej specyficzny rodzaj ludzi.

Widzimy to zresztą doskonale w tzw. mejlach Dworczyka, wykradzionych przez wschodnie służby i przez nie ujawnianych. Pokazują one, jak Mateusz Morawiecki pilnuje, by być obecnym w mediach, by serwować kolejny komunikat i to taki który wbijałby jego przeciwników w ziemię. A troska, by miał on coś wspólnego z prawdą, jest absolutnie drugorzędna. To ma być na teraz. Jutro będzie inne kłamstwo… Które je eksperci, to po wejściu na rynek informacyjnych stacji telewizyjnych wszystko się zmieniło – politycy stali się dostarczycielami kontentu i równocześnie aktorami. Bo to oni zapełnili programy. W ten sposób rola polityków – mistrzów zakulisowych gier czy ekspertów w określonych dziedzinach – bardzo zmalała. Za to urosła rola złotoustych demagogów robiących show.

9 sierpnia 2001 r., dzień debiutu TVN 24, pierwszej stacji informacyjnej nadającej całą dobę, zmienił politykę i życie publiczne.

Tak oto staliśmy się świadkami wielkiej zmiany, która zresztą potoczyła się w kierunku zupełnie innym, niż spodziewała się większość podrzucą mu opłacani (z państwowych pieniędzy) ghostwriterzy.

Oto upadek debaty – zamiast namysłu, mamy klepanie sloganów.

4. Media ruszyły do boju

Skoro jesteśmy przy mediach, warto dorzucić jeszcze jedną uwagę. Otóż podział sceny politycznej i jej polaryzacja wpłynęły również na media. Media zostały przez polityków zawłaszczone. W różny sposób – jedne (jak media publiczne) zostały zdobyte, drugie – zbudowane lub

eprasa.pl 927e76a9e7

kupione, jeszcze inne – uwiedzione. Ale efekt końcowy tej operacji jest taki, że wyzbyły się dawnej roli arbitra. Dziś uczestniczą w politycznej grze – zachwalając bez umiaru swoich patronów i zwalczając ich przeciwników. Oto gra znaczonymi kartami! Jeżeli tak się dzieje, jeżeli debata jest ustawiona, to i nie warto do niej się przygotowywać. Zamiast politycznych zapasów mamy w mediach wrestling. Bardziej to efektowne, ale udawane.

Podział mediów ma jeszcze inne konsekwencje – z polityki zniknął wstyd! Ponieważ nie ma niezależnego arbitra, można założyć, że obca nam prasa będzie nas zawsze ganić, a „nasza" – zawsze chwalić. Więc takie kłopotliwe postaci jak Łukasz Mejza (ten od próby zarabiania na chorych dzieciach) czy Michał Cieślak (poczta w Pacanowie) aż tak wielkim kłopotem dla partii rządzącej nie są. Pomstują na nich ci, którzy i tak na PiS nigdy nie zagłosują. A elektoratu PiS zbytnio to nie rusza. Bo on innymi daniami jest karmiony.

Ryszard Czarnecki, postać pozbawiona charakteru, jest przykładem polityka naszych czasów.

5. Pora dworów i lizusów

Innym kluczowym elementem, zmieniającym naszą politykę była ustawa o finansowaniu partii politycznych. Teoretycznie miała ona sens – dawała partiom pieniądze i wprowadzała mechanizmy, które uniemożliwiały uzależnianie się od biznesu, różnych lobbystów, darczyńców i lokalnych bonzów.

Ustawa o finansowaniu partii politycznych zabetonowała scenę partyjną.

I wszystko pięknie, tylko że eliminując jedną patologię, stworzyła warunki do powstania drugiej.

Po pierwsze, zabetonowała scenę partyjną. Bo zablokowała rozłamy, secesje, możliwość powstawania nowych partii. Bez pieniędzy, bez struktur, bez mediów wbicie się na partyjny rynek to rzecz skrajnie trudna.

Po drugie, temu wszystkiemu towarzyszył jeszcze proces wzmacniania pozycji partyjnych liderów. Szef partii, który do tej pory był jej twarzą i sztandarem, uzyskał jeszcze jeden instrument wpływu – pieniądze! To on mógł (i może) dać jednym, a drugim nie. A w warunkach kampanii wyborczej pieniądze mają rolę kluczową.

Pamiętamy lata 90. – partie były rozgadane, szerokie, wielką estymą cieszyli się różni lokalni liderzy. Czy też specjaliści w jakichś dziedzinach. Często zresztą to się łączyło – na przykład Janusz Zemke był zarówno niekwestionowanym liderem lewicy w swoim okręgu, jak i niekwestionowanym specjalistą w dziedzinie obronności i służb specjalnych. Dziś nie tylko na lewicy, ale i w największych partiach takich ludzi nie ma lub są na politycznym wymarciu.

Dziś partie są własnością ich szefów. I to nie tylko te efemeryczne, jak Samoobrona, Ruch Palikota, Nowoczesna Petru czy Kukiz'15. Ale także te największe. Statut PiS jest taki, że Kaczyński de facto jest nieusuwalny, będzie tam szefem, dopóki będzie chciał. I może wyrzucać kogo chce. Lewica to prywatna partia Czarzastego, może on zawieszać i eliminować z partii, kogo chce i kiedy chce. Nawet podczas głosowania. Platforma… Donald Tusk wyraził ochotę i natychmiast ponownie został jej szefem.

Mamy więc sytuację nienormalną – Polska, jako państwo, jest demokracją, ale rządzą nią partie (finansowane z budżetu!) nieusuwalnych wodzów. Sytuację, w której są oni panami karier swoich podwładnych. Dają miejsca na listach, pieniądze na kampanię, stanowiska dla znajomych, ba, decydują, kto do jakiego programu telewizyjnego może iść!

Więc są otoczeni dworem. Który z kolei pilnuje, by nikt z dołów nie przebił się do pańskiego ucha.

6. Kraj pańskiej klamki

Na to nakłada się jeszcze jeden element – polski system polityczny stworzył tysiące dobrze płatnych stanowisk państwowych, samorządowych, które zależą od partii. Czyli od ich szefów. Klientelizm, czyli czepianie się pańskiej klamki, jest

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, ALEKSANDRA SZMIGIEL-WIŚNIEWSKA/REPORTER

eprasa.pl 927e76a9e7

z jednej strony opisywany jako patologia Polski szlacheckiej, a z drugiej (przez tych samych ludzi!) oceniany jako rzecz normalna w III RP. Proszę zwrócić uwagę, jakie rzeczy są dziś uważane za największe polityczne boje – to walka Morawieckiego z Sasinem o „wpływy" w spółkach skarbu państwa. Czyli o to, który z nich w jakiej spółce może ulokować swoich ludzi.

I coraz częściej właśnie po to idzie się do polityki – żeby załatwiać. Rodzinie, znajomym, komuś ważnemu… Tak wygląda Polska – na jednym polityku potrafią wisieć całe klany.

Skoncentrowanie tylu dóbr w rękach szefów partii rodzi oczywiste konsekwencje. Dziś nie warto być politycznym singlem albo prezentować odbiegających od poglądów szefa opinii. Trzeba być dworzaninem. Lizusem. Takim ludziom wiatr dziś w żagle wieje. Ryszard Czarnecki, postać pozbawiona charakteru, jest przykładem polityka naszych czasów. A za nim idą inni.

W ten sposób zmieniono charakter partii. Bo mając takie narzędzia, szef może pacyfikować tych, którzy mu się nie podobają. Mówić, tak jak Czarzasty do wicemarszałkini Senatu Gabrieli Morawskiej-Staneckiej, że ją „odstrzeli". I ją „odstrzelił". A koleżanki z lewicy milczały. Dobrze wiedziały, że protest im się nie opłaca, że grzeczny zajedzie dalej.

7. W partii jak w korpo

Jaki jest efekt wszechwładzy wodza? Otóż taki, że politycy, działając, przemawiając, w minimalnym stopniu martwią się, co na to wyborcy, za to w dużym – co na to szef ich partii. Bo od niego zależą, jego opinia wpływa na ich kariery i to niemal natychmiast. A opinia wyborców? To rzecz nabyta, do odrobienia.

Partie zaczynają przypominać korporacje. Ideowość? Starsi pamiętają te czasy – że do polityki szli tylko ideowcy. Podziemna Solidarność – nie dla pieniędzy w niej działano, nie dla pieniędzy drukowano ulotki! Swój ideowy etap miała też kiedyś PZPR. SLD z początku lat 90. także był dla ideowców, bo nikt wtedy nie wierzył, że kiedykolwiek zdobędzie władzę. Może w perspektywie 20-30 lat… Ale to wszystko przeszłość. Dziś partie pracują od 9.00 do 17.00, jak zwykłe firmy. Jedni zamawiają sondaże, drudzy analizują, mówią, że dziś na przykład warto uderzyć w Kościół albo warto go bronić, inni wymyślają hasła, imprezy… Partie produkują biurokratów. Żaru już tam nie ma. Jest miejsce pracy.

Dla kogo? Dla tych, którzy na nic lepszego się nie załapali.

8. À propos karier

Jeszcze na początku lat 90. ubiegłego wieku stworzono polską ENA, czyli Krajową Szkołę Administracji Publicznej. Zamiar był oczywisty – chodziło o to, żeby stworzyć korpus służby cywilnej, żeby Polska za 20-30 lat dysponowała fachową administracją, a politycy byli ludźmi wykształconymi i obytymi w świecie. Nic z tego nie wyszło. Wprawdzie Mariusz Błaszczak to absolwent KSAP, ale przecież nie dlatego jest wicepremierem i ministrem obrony. Wykształcenie wciąż ma niewiele wspólnego z miejscem w administracji. Przykładem niech będzie Ministerstwo Finansów, które koncertowo zepsuło program Polski Ład, albo szef Orlenu, który skończył technikum, a potem zdobywał dyplomy na różnych wieczorowych kursach.

Ech, można wyliczać… Marek Suski – specjalista od peruk. Jacek Sasin, minister aktywów państwowych, który po 10 latach studiów ukończył historię. Patryk Jaki, czyli hakatumba – on z kolei macha doktoratem i człowiek się zastanawia, kto mu go dał.

I na to wszystko mam odpowiedź – to my im to wszystko daliśmy, my – wyborcy. Co tu deliberować, naród poczuł się niekomfortowo w towarzystwie przemądrzałych profesorów i postawił na swojskie klimaty, na polityków z ludu.

Może więc tylko jajogłowi kręcą nosem, że ci kolejni posłowie są coraz gorsi, a naród uważa inaczej?

Tak nie jest! To nieprawdziwa teza!

9. Iść do polityki to wstyd

Otóż, co widać we wszystkich sondażach, dziś bycie politykiem to żaden prestiż, wręcz przeciwnie – nie jest to zawód szanowany. W najnowszym, przeprowadzonym przez SW Research rankingu prestiżu zawodów na czele są m.in. strażak (poważa go 81% respondentów), lekarz (72%), profesor uniwersytetu (66%), informatyk (59%). A na końcu? Proszę bardzo – influencer (16%), działacz partii politycznej (17%), poseł (19%) i ksiądz (29%).

Ta sytuacja praktycznie nie zmienia się od kilkunastu lat. I teraz nasuwa się pytanie: dlaczego tak się dzieje? Czy pogarda dla profesji polityka wynika z tego, że idą tam najgorsi i to widać? Czy też, przeciwnie, dlatego że idą tam najgorsi, ludzie ich nie poważają?

Myślę, że jest to pytanie w stylu, co było pierwsze, jajko czy kura. Oba czynniki są istotne, pokazują, jak ze szlachetnej profesji, przyciągającej najlepszych, najbardziej przejętych losem ojczyzny Polaków, polityka stała się profesją podejrzanej konduity.

Szkoda Polski…

Kaczyński de facto jest nieusuwalny, będzie w PiS szefem, dopóki będzie chciał.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 927e76a9e7

Sejm przeciw kobietom

Jedyne słuszne referendum w sprawie aborcji odbywa się w łazience nad testem ciążowym

Anna Stachowiak

Sejm błyskawicznie w pierwszym czytaniu 23 czerwca br. odrzucił obywatelski projekt ustawy liberalizującej (normalizującej) prawo aborcyjne przygotowany z inicjatywy Komitetu Legalna Aborcja Bez Kompromisów. Za odrzuceniem głosowało 265 posłanek i posłów, 175 było przeciw, a czworo wstrzymało się od głosu. Posłowie PiS bili brawo. „265 posłów i posłanek przeciw kobietom, 16 osób udaje, że ich nie ma. Wstyd", napisała na Twitterze Magdalena Biejat, posłanka Lewicy.

– Jedyne słuszne referendum w sprawie aborcji odbywa się w łazience nad testem ciążowym – mówiła w Sejmie Natalia Broniarczyk z Aborcyjnego Dream Teamu w czasie przedstawiania projektu. Podpisało się pod nim ponad 200 tys. osób, w Sejmie został złożony w marcu. Jak podkreślają działaczki Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, to pierwszy obywatelski projekt ustawy, który w całości poświęcony jest tylko aborcji. Zakłada legalną aborcję w ramach świadczeń finansowanych przez NFZ do 12. tygodnia ciąży, bez pytania pacjentki o powód, co jest standardem rekomendowanym przez Światową Organizację Zdrowia, oraz możliwość przerwania ciąży po 12. tygodniu w przypadku wykrycia wad płodu lub gdy ciąża jest wynikiem czynu zabronionego. Uchyla także odpowiedzialność karną lekarzy i osób trzecich za przeprowadzenie lub pomoc w aborcji, natomiast na placówki medyczne, które odmówiły terminacji, powołując się na klauzulę sumienia – co zresztą w przypadku podmiotu leczniczego jest niezgodne z prawem i ustawą o zawodzie lekarza – nakłada obowiązek zaangażowania lekarza, który zabieg wykona. To, jak podkreślała Marta Lempart z OSK, reakcja nie na samo prawo, ale na jego realizowanie.

Projekt ustawy liberalizującej prawo aborcyjne powstał z inicjatywy Komitetu Legalna Aborcja Bez Kompromisów.

Wyrok Trybunału Konstytucyjnego pod wodzą Julii Przyłębskiej z 2020 r., uznający za niekonstytucyjną przesłankę embriopatologiczną, zaostrzył ustawę z 1993 r. Obecnie aborcja jest legalna wyłącznie, jeśli stanowi zagrożenie dla zdrowia i/lub życia kobiety oraz gdy ciąża jest wynikiem czynu zabronionego (gwałtu lub kazirodztwa). W praktyce o legalną aborcję jest niezwykle trudno, bo procedury w obydwu przypadkach są celowo wydłużane, a lekarze zwyczajnie boją się odpowiedzialności karnej. Aborcja stała się gorącym kartoflem. Tym bardziej że to właśnie przesłanka embriopatologiczna, czyli sytuacja, w której płód miał nieuleczalne lub letalne wady, była powodem ponad 90% zabiegów. Wyrok TK skutecznie ją wyeliminował.

Kto chce prawa do legalnej aborcji?

Liberalizację prawa aborcyjnego popiera 61,8% respondentów badania IBRiS przeprowadzonego w czerwcu na zlecenie Radia ZET. 38,2% – zdecydowanie popiera, 23,6 – raczej popiera. Przeciwnych aborcji jest 26,7% osób (zdecydowanie przeciwnych – 14,6%, raczej nie popiera dostępu do aborcji – 12,1%). 11,5% nie ma zdania.

Dostępu do aborcji chce 63% kobiet i 60% mężczyzn.

Najwięcej zwolenników liberalizacji (99%) jest w grupie wiekowej 30-39 lat, najwięcej przeciwników (46%) – w grupie wiekowej 50-59 lat.

Konserwatywni są respondenci z miast do 50 tys. mieszkańców – dostęp do legalnej aborcji popiera 61% badanych. Na wsi i w miastach do 250 tys. mieszkańców – 63%, w dużych miastach – 69% respondentów.

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 927e76a9e7

22 czerwca Marta Lempart zamieniła szczekaczkę używaną na ulicy na mikrofon w sali plenarnej Sejmu. – Ten projekt to głos suwerena. On dostosowuje prawo do rzeczywistości, w jakiej żyjemy – mówiła. Przytoczyła sondaże, z których wynika, że obecnie 66% społeczeństwa popiera legalną aborcję. W trakcie protestów poparcie sięgało 69%, zaś fakt, że mimo braku protestów poparcie utrzymuje się na stałym poziomie, pokazuje, że jest to stały trend. Dostęp do legalnej aborcji do 12. tygodnia ciąży popiera 90% wyborców Lewicy, 80% wyborców Koalicji Obywatelskiej i 55% wyborców PSL, a także ponad 30% wyborców PiS i niemal połowa głosujących na Konfederację. – Zadajemy dziś proste pytanie: tak czy nie? – powiedziała Lempart. OSK uruchomił stronę aborcjanatak.pl, na której posłowie i posłanki mieli możliwość zadeklarowania, jak będą głosować. Większość odpowiadała: „nie wiem".

Natalia Broniarczyk z Aborcyjnego Dream Teamu podała dane: 94 kobiety dziennie, 34 tys. rocznie – tyle decyduje się na aborcję. Pomagają aktywistki ADT i innych organizacji kobiecych. – Aborcyjny Dream Team na pomoc kobietom wydaje 1,5 mln zł – mówiła Natalia Broniarczyk, dodając: – W cieniu waszych awantur my robimy aborcje.

94 dziennie, 34 tys. rocznie – tyle kobiet decyduje się na aborcję.

Broniarczyk pokazała też opakowanie tabletek aborcyjnych i wyjaśniła, jak należy je stosować. W trakcie prezentowania projektu i debaty większość posłów PiS wyszła z sali.

– To jest zły pomysł i jest to pomysł, który jest przede wszystkim niezgodny z konstytucją. I o tym mówi nie tylko ostatni wyrok Trybunału Konstytucyjnego, ale również wiele, wiele lat temu wyrok TK, który odnosił się już do tego problemu – oświadczył rzecznik rządu Piotr Müller przed debatą. Zaznaczył, że „nie ma szans na dalszy bieg projektu liberalizującego aborcję". Opozycja przypomniała zaś, że już kilka lat temu politycy PiS mówili, że ugrupowanie nie będzie dążyło do odrzucania w pierwszym czytaniu projektów obywatelskich.

Joanna Senyszyn zwróciła uwagę, że „to nie jest debata o przerywaniu ciąży (...), to jest debata o prawach i wolności kobiet". Z drugiej strony padały słowa o ideologii gender oraz „obowiązkach ojca, by chronić życie dziecka". Dobromir Sośnierz z koła Konfederacja stwierdził, że „projekt był pisany pod wpływem alkoholu", a Janusz Kowalski z PiS orzekł: „Dziś cywilizacja śmierci ma twarz Marty Lempart i Donalda Tuska". Padły też słowa o „lewackich gniotach" oraz „atakach na życie".

Wniosek o natychmiastowe przyjęcie projektu złożyła posłanka Lewicy Katarzyna Kotula, a Anna Milczanowska w imieniu PiS postulowała jego odrzucenie w pierwszym czytaniu. I tak też się stało. ■

Mamy dość! Chcemy mieszkań

Hasło o mieszkaniu jako prawie odbije się wam czkawką. Rozumiem, że miało być prosto i jak najbardziej pojemnie, ale wyszło z tego kolejne „się należy!". *Rafał Czarnecki*

•

Państwo gwarantuje zaspokajanie licznych potrzeb obywateli, np. w zakresie ochrony zdrowia czy edukacji, i trzeba być radykalnym balceroidem, by to podważać. To, czy państwo będzie również realizowało potrzeby związane z mieszkalnictwem, leży tylko i wyłącznie w sferze politycznej woli. Inaczej mówiąc – nie ma żadnego obiektywnego imperatywu, dla którego państwo właśnie tych potrzeb miałoby nie realizować. *Kamil Łukaszek*

•

Mnie już ten problem nie dotyczy, bo mieszkanie mam. Droga do niego była taka: na początku lat 60. odrodziły się spółdzielnie mieszkaniowe, dwoje pracujących dorosłych mogło odłożyć na wkład, a co mądrzejsi rodzice zakładali dzieciom książeczki mieszkaniowe i oszczędzali (moje mieszkanie jest z tej puli). Kredyt na takie mieszkanie spółdzielcze lokatorskie mieścił się w czynszu, obywało się bez pożyczek hipotecznych. Spółdzielnie to był dobry pomysł i sposób na zaoszczędzenie na swoje lokum. A tym, którzy uważają, że dach nad głową nie jest prawem człowieka, odpowiem: należy budować bardzo dużo bardzo dużych mostów, pod nimi zamieszkają ci, których na kredyt nie stać. Ironia? Tak, gorzka ironia. *Ewa Wesołowska*

•

Spółdzielnia to dobry pomysł. Każdy ma prawo do niej wstąpić i oszczędzać na swoje lokum. Za darmo może być tylko ser w pułapce na myszy. Chcecie mieszkań? Drugi etat, zero wypadów do restauracji, zero drogich wczasów, zero urlopów, każda wolna chwila na działce... z rozpoczętą budową domu. Miałem tak przez 10 lat. Większość prac wykonana własnymi rękoma, pasek zaciśnięty na maksa, ale hipotekę mam czystą. Każdy ma prawo zakasać rękawy i albo sam sobie mieszkanie wybudować, albo zarobić, aby wybudował mu ktoś inny. Prawdziwy proletariusz nie liczy na „mnie się należy" i nie będzie żył kosztem innego proletariusza. Ręce do noszenia cegieł wszyscy mamy takie same, tylko nie każdy ma chęci. Ci, którzy ich nie mają, niech nie gadają, że mają dostać za darmo coś, na co inni ciężko harują! *Mariusz Zinek*

•

Mamy brak mieszkań i horrendalne ceny, a z drugiej strony ogromne połacie kraju, gdzie nikt nie chce mieszkać, a opuszczone domy popadają w ruinę. Problem dotyczy więc głównie ośrodków wielkomiejskich i jest częścią znacznie większego problemu – wadliwej dystrybucji dochodów i szans rozwojowych. Dziś wszystko dzieje się w kilku dużych ośrodkach, jak Warszawa, Kraków, Wrocław, Gdańsk, więc „wszyscy" chcą tam mieszkać, co nakręca dochody, ale i podnosi ceny, jednocześnie wysysając soki z Polski prowincjonalnej. Taki model rodem z Ameryki Południowej. *Wiktor Bielec*

eprasa.pl 927e76a9e7

Działacze SLD wskrzeszają… SLD

Na lewicy coś się ruszyło. Nie wszyscy będą zadowoleni

Robert Walenciak

SLD żyje. I ma się dobrze. Ma też plan na dalsze miesiące.

Jerzy Teichert, przewodniczący Stowarzyszenia Lewicy Demokratycznej, wylicza: „Jesteśmy na etapie konferencji wojewódzkich. Pierwsza była konferencja pomorska, teraz jest mazowiecka, w piątek, 24 czerwca, będzie śląska (rozmawialiśmy 23 czerwca – przyp. aut.), przed wakacjami odbędzie się jeszcze lubuska. Reszta – jesienią. Tak, żebyśmy w styczniu 2023 r. mogli przeprowadzić konferencję krajową już przy obecności wszystkich przedstawicieli z 16 województw naszego kraju".

Teichert, działacz SLD z województwa lubuskiego, był jednym z założycieli stowarzyszenia. Ma postanowienie sądowe o rejestracji z marca 2022 r., z zastrzeżonym logo, przypominającym logo dawnego SLD. „Przypomnę niedawne słowa Joanny Senyszyn – mówi. – Czarzasty wyrzucił i podeptał znak SLD, a my go podnieśliśmy, bo jesteśmy patriotami naszej byłej partii, która została wrogo przejęta i zmieniona w prywatny folwark".

Skąd wziął się pomysł zorganizowania się w formie stowarzyszenia?

Dla kogoś, kto w miarę uważnie śledził sytuację na polskiej lewicy, nie powinno to być wielkim zaskoczeniem. Ostatnie 12 miesięcy było czasem zakopywania SLD głęboko w ziemi. W jego miejsce rozkwitać miała Nowa Lewica. Byliśmy w związku z tym świadkami gorszących scen – kiedy działacze SLD, którzy nie godzili się na mechaniczne połączenie SLD z Wiosną, byli zawieszani, wyrzucani lub też nie wpuszczano ich do siedziby nowej partii. Radę Warszawską SLD, która była przeciw, po prostu rozwiązano. W efekcie kilkuset działaczy Sojuszu z Warszawy złożyło legitymacje partyjne.

Różnie tłumaczono te gry. Że jest to walka o kształt partii – czy ma być kierowana demokratycznie, czy też jednoosobowo, przez dożywotnego prezesa, którego nie można de facto odwołać. On sam z kolei odpowiadał, że przeciwko niemu zawiązał się wewnątrzpartyjny spisek, żeby go obalić, zatrzymać połączenie z Wiosną i przyłączyć lewicę do PO. A z grona jego zwolenników wychodziła do mediów wersja, że przewodniczący pozbywa się SLD-owskiego betonu i SLD-owskiej gerontokracji, i teraz – bez balastu – będzie mógł stawiać na młodych i otwierać się na nowe środowiska. W mediach pojawiały się też komentarze, że jest to walka frakcji pisowskiej z platformerską. Że to spór, jaką partię lewicy budować – małą, wodzowską, dla garstki skupionej wokół przewodniczącego, czy też idącą szeroko, ale wtedy – bardziej rozgadaną i politycznie mniej stabilną.

Jest tych tłumaczeń sporo, ale żadne z nich nie zaprzecza temu, co nastąpiło – że w ubiegłym roku, podczas jednoczenia SLD z Wiosną, dziwacznego, bo Wiosna to byt wirtualny, a jednoczono według parytetu 1:1, wypchniętych zostało z Sojuszu kilkuset działaczy. Chętnych do partyjnej pracy, znających się na tym.

Dla nich powrót SLD to nie tylko rodzaj sentymentu, wielu z nich zresztą ten pierwszy SLD zakładało. To także sposób na życie.

Robert Kwiatkowski przyznaje więc, że pomysł powołania stowarzyszenia, które by tych ludzi „zagospodarowało", wyszedł od niego. „Ja wybrałem formę, ale nazwę wymyślił ktoś inny", mówi.

Ta nazwa szczególnie irytuje działaczy Nowej Lewicy. Swego czasu założyli oni nawet fundację SLD i próbowali zastrzec skrót, tak by uniemożliwić w przyszłości reaktywację jakiegoś politycznego ciała, które do historii Sojuszu by nawiązywało.

Jak widać – bezskutecznie.

„Cztery prywatne osoby założyły fundację i zastrzegły sobie znak SLD", tłumaczy mi jeden z członków stowarzyszenia. „Wyborne!". I dodaje, że w gruncie rzeczy Nowa Lewica mogłaby wytoczyć im proces o skrót, mieliby wtedy wspaniałą reklamę.

Dziś bowiem informacja o stowarzyszeniu i o jego konferencjach wojewódzkich rozchodzi się pocztą pantoflową. „Dlatego konwencja mazowiecka będzie dokończona po wakacjach. Na razie wybraliśmy władzę, szefową została Aleksandra Kostrzewska, która współpracuje z wicemarszałkinią Senatu Gabrielą Morawską-Stanecką. To także sygnał, że dochodzą do nas ludzie z różnych środowisk i różnych grup wiekowych", tłumaczy Teichert.

eprasa.pl 927e76a9e7

Teichert jest zadowolony z frekwencji. „W głosowaniach brało udział 56 osób", mówi. Czy to dużo czy mało?

„Na warszawskie zebrania Nowej Lewicy tylu nie przychodzi", mówi mi jeden z założycieli stowarzyszenia.

Macej Raś, były działacz SLD z warszawskiego Mokotowa, który nie wstąpił do Nowej Lewicy, też uważa, że te kilkadziesiąt osób, które przyszły na zebranie założycielskie, to bardzo dobry wynik. „Gdyby podobne zebranie ogłoszono kilka miesięcy temu, gdy odchodziliśmy z SLD, to przyszłoby kilkaset osób". A dlaczego teraz przyszło 56? „Po pierwsze, mamy już lato, wakacje", wyjaśnia. „Po drugie, przez te kilka miesięcy ludzie poznajdywali sobie miejsca. Jedni poszli do PPS albo innych organizacji lewicowych, drudzy do Platformy, jeszcze inni w ogóle skończyli z życiem publicznym. To, co się działo w ubiegłym roku, bardzo ich zniechęciło. Ale jestem pewien, że jesienią, na drugiej części konwencji, będzie ciasno. Ludzie chcą się spotykać, chcą ze sobą rozmawiać, mają potrzebę aktywności".

Podobnego zdania jest Robert Kwiatkowski. „Na spotkanie założycielskie w Toruniu przyszło kilkadziesiąt osób – przypomina. – To więcej, niż liczy w tym mieście Nowa Lewica. Sprawdziły się nasze przypuszczenia, że działacze, którzy zostali w momencie jednoczenia Wiosny i SLD wypchnięci, zapomniani, nie zrezygnują z działalności publicznej. To niezwykle ważne. Jeżeli przyjmiemy, że walka z PiS rozstrzygnie się w elektoracie osób starszych, to nasze stowarzyszenie, odwołujące się do osób 60+, może odegrać kapitalną rolę w ich zebraniu i aktywizacji".

Innymi słowy – jedną rzeczą jest chęć działania, potrzeba głośnego artykułowania swoich poglądów, a drugą – możliwości. Stowarzyszenie taką możliwość daje. „Ciekawe były wypowiedzi podczas konferencji, tego pierwszego spotkania", mówi Raś. „Występujący mówili, to się powtarzało, że obecne kierownictwo Nowej Lewicy zabrało im ich partię. I to w sposób niezgodny z procedurami, niezgodny z wewnątrzpartyjną demokracją. Zabrali im partię w sposób niedemokratyczny, zawieszając, wykluczając, wykonując działania nieakceptowane w demokratycznym państwie".

Członkowie SLD, którzy nie godzili się na mechaniczne połącznie SLD z Wiosną, byli zawieszani, wyrzucani, nie wpuszczano ich do siedziby nowej partii.

Teichert uważa, że podobne doświadczenie – że zostali oszukani, pominięci, wypchnięci z aktywnego działania – jest udziałem setek byłych działaczy SLD. A to wpływa na ich decyzje. „80% dawnych działaczy SLD jest zainteresowanych stowarzyszeniem. Przynajmniej u nas, w Lubuskiem", mówi.

Co tych ludzi łączy, poza sentymentem? W skali kraju jest to na pewno grupa bardzo antypisowska. Niechęć do metod obecnej władzy i do jakiegokolwiek układania się z nią jest powszechna. Formuła stowarzyszenia daje im szansę szerszego działania niż formuła partyjna. A jak to będzie wyglądało w przyszłości? „Na razie jesteśmy na etapie budowy struktur. Ludzie się organizują, zaczęliśmy przed wakacjami, żeby ten proces zakończyć jesienią. Wtedy się policzymy i pójdziemy dalej", mówi Kwiatkowski.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM JERZEGO TEICHERTA

eprasa.pl 927e76a9e7

Co z tym cholernym węglem?

W tym roku zabraknie nam od 5 do 6 mln ton węgla. Składy węgla nie mają towaru

Marek Czarkowski

16 kwietnia 2020 r. do gdańskiego Portu Północnego wpłynął masowiec „Agia Trias". Był to największy statek, jaki zawinął do polskiego portu. 290 m długości, 47 m szerokości, wyporność – 185 tys. ton. Jego ładunek stanowił kolumbijski węgiel.

Poprzedni rekordzista – masowiec „Frontier Jacaranda", o wyporności 182 tys. ton – który 2 sierpnia 2017 r. przybił do Morskiego Terminalu Masowego Gdynia, wyładowany był koksem z Australii.

Doprawdy trudno uwierzyć, że Polska jest krajem posiadającym największe w Unii Europejskiej zasoby węgla kamiennego. A nasze spółki górnicze nie mają dziś sobie równych w Europie.

W XX w. byliśmy poważnym eksporterem „czarnego złota". Pierwszej ciężkiej powojennej zimy 1945/1946, gdy zniszczoną Europę nawiedziły wyjątkowe mrozy, śląski węgiel ratował przed zamarznięciem mieszkańców Mediolanu, Wiednia, Belgradu. Dziś zmuszeni jesteśmy importować opał z Indonezji, Mozambiku, Kolumbii, Kazachstanu, Republiki Południowej Afryki i do niedawna z Rosji.

Wojna w Ukrainie z całą ostrością ujawniła słabości naszego systemu bezpieczeństwa energetycznego. I fakt, że Niemcy, Brytyjczycy, Austriacy, Holendrzy, Belgowie, a zwłaszcza Ukraińcy mają gorzej, nic nie znaczy. Bezpieczny świat, w którym tanie surowce energetyczne zapewniały Europie koniunkturę gospodarczą i dobrobyt, się skończył. Przyjdzie zacisnąć pasa, a za ropę naftową, gaz i węgiel płacić jak za zboże, którego także brakuje.

Dlaczego kupujemy za granicą?

Powód jest prosty. Nasza energetyka węglem stoi. Jednocześnie od roku 1990 trwa proces wygaszania polskich kopalń. W ramach kolejnych rządowych programów reformy górnictwa z branży odeszły dziesiątki tysięcy pracowników, zamknięto dziesiątki zakładów. Dramatycznym symbolem tych przemian był los wałbrzyskich kopalń i upadek całego regionu w latach 90. XX w.

W śląskie kopalnie, które przetrwały reformy, inwestowano, delikatnie mówiąc, bardzo oszczędnie. W konsekwencji doprowadziło to do wzrostu kosztów wydobycia. Tak polski węgiel zaczął przegrywać z tańszym i lepszym jakościowo surowcem sprowadzanym zza granicy.

By zilustrować, w czym rzecz, wystarczy wiedzieć, że wydobycie metodą odkrywkową tony dobrego jakościowo węgla kamiennego na Syberii kosztuje od 7 do 10 dol. A koszt wydobycia tony węgla w śląskiej kopalni to w ostatnich latach średnio 340-360 zł za tonę, czyli ok. 80 dol. To nie jest konkurencja, to jest porażka.

Gdy w 2020 r. z powodu pandemii zapotrzebowanie na ten surowiec w kraju spadło, a co za tym idzie spadły także ceny węgla, do każdej wydobytej tony kopalnie musiały dopłacić ok. 54 zł. I stało się to mimo spadku wydobycia z ponad 61,6 mln ton w 2019 r. do niespełna 54,4 mln ton w roku 2020.

Jednocześnie Polska importowała tańszy węgiel zza granicy. W latach 2018-2019 ponad 35 mln ton, za co zapłaciliśmy ok. 14 mld zł. Największym dostawcą była Rosja – 23 mln ton. Na drugim miejscu znalazła się Australia, następnie Stany Zjednoczone, Kolumbia, Kazachstan, Mozambik, Czechy, RPA i Indonezja.

Jeśli ktoś sądzi, że import ten zapewniał działalność energetyki zawodowej – czyli naszych elektrowni węglowych – jest w błędzie. Wysokiej jakości węgiel trafiał głównie do odbiorców indywidualnych – właścicieli szklarni, gospodarstw rolniczych, domów ogrzewanych piecami węglowymi itp. Cena tony najpopularniejszego ekogroszku, w latach 2015-2017 oscylowała wokół 550- 600 zł za tonę, potem wzrosła do 800-900 zł. Dziś to już 3 tys. zł za tonę z perspektywą nawet 7 tys. zł zimą. Nic dziwnego, że zaczęła się spekulacja opałem. Katowiccy policjanci aresztowali w ubiegłym tygodniu szajkę wyłudzająca tani węgiel

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 927e76a9e7

przez stronę internetową Polskiej Grupy Górniczej. Podejrzani posługując się sfałszowanymi pełnomocnictwami, kupili przez stronę internetową PGG co najmniej kilkaset ton opału, który sprzedawali na swoim składzie z odpowiednim przebiciem.

Jednak większość węgla wydobywanego w naszych kopalniach trafia do dużych elektrowni, takich jak Kozienice, Połaniec czy Jaworzno, elektrociepłowni, takich jak warszawskie Siekierki, Żerań, czy Ostrołęka A, czy mniejszych miejskich i osiedlowych ciepłowni. Jego jakość może być gorsza, gdyż nowoczesne kotły przystosowane są do spalania takiego surowca. A ponieważ polskie kopalnie są w znacznym stopniu wyeksploatowane, coraz trudniej w nich o surowiec wysokiej jakości.

Jeszcze w roku 2020 zakładano, że do połowy wieku zostaną one zamknięte a nasza energetyka przestawi się na odnawialne źródła energii (OZE), energię atomową i elektrownie opalane gazem. Było to zgodne z forsowanym przez Komisję Europejską programem Europejskiego Zielonego Ładu, który miał sprawić, że do 2050 r. nasz kontynent miał osiągnąć zerowy poziom emisji gazów cieplarnianych netto.

By tak się stało, koszty produkcji energii elektrycznej z węgla kamiennego i brunatnego musiały wzrosnąć. Tylko wtedy opłacałoby się inwestować w OZE i z nich korzystać. Stąd pojawienie się Europejskiego Systemu Handlu Emisjami, nad którym prace rozpoczęto już w roku 1992.

W 2003 r. przyjęta została dyrektywa ustanawiająca na terenie Unii Europejskiej system handlu przydziałami emisji gazów cieplarnianych, a rok później machina ruszyła.

Wysokie ceny energii elektrycznej zawdzięczmy dziś nie tylko rosnącym cenom surowców energetycznych, ale też równie szybko rosnącym cenom uprawnień do emisji dwutlenku węgla, które w założeniu miały trafiać do naszego budżetu, by następnie zostać wykorzystane do wspierania inwestycji w OZE. Oczywiście tak się nie stało.

Biznes wysokiego ryzyka

Nic dziwnego, że import tańszego węgla stał się w Polsce bardzo pożądany, a więc i dochodowy. W ostatnich latach zajmowało się nim około tysiąca spółek. Handel ten utrzymywał w ryzach ceny węgla oferowanego elektrowniom i elektrociepłowniom. Co nie podobało się górnikom. W przeszłości dochodziło na tym tle do protestów i podejmowania przez rząd działań, nie do końca zgodnych z prawem.

Najbardziej znanym przykładem jest historia elbląskiej spółki Halex założonej w 1993 r. przez Romana Niemyjskiego. W czasach świetności importowała ona rocznie niemal milion ton rosyjskiego węgla. Przez elbląski port przeładowywano 700 tys. ton tego surowca. Spółka zatrudniała w całym kraju ponad 500 osób. Upadła w 2000 r., gdy rząd premiera Jerzego Buzka wprowadził kontyngent na dostawy rosyjskiego węgla. Halexem i jego właścicielem zaś zajęły się kompetentne organy. Po latach okazało się, że nie było się do czego przyczepić, ale to nie interesowało już nikogo. Roman Niemyjski zmarł w 2014 r. po długiej chorobie.

Na rosyjskim węglu przejechał się też znany niegdyś biznesmen Marek Falenta, który w 2014 r. został zatrzymany pod zarzutem nielegalnego nagrywania polityków. Bydgoska spółka Składy Węgla, która podobnie jak Halex, sprowadzała duże ilości węgla zza wschodniej granicy, szybko poszła na dno, a część jej kadry menedżerskiej trafiła do aresztu. Sam Falenta, skazany prawomocnym wyrokiem, najpierw ukrywał się w Hiszpanii, ale w końcu został ujęty i trafił za kraty. Bo obrót rosyjskim węglem dla niektórych to biznes bardzo wysokiego ryzyka.

Wysokiej jakości węgiel trafiał głównie do odbiorców indywidualnych – właścicieli szklarni, gospodarstw rolniczych, domów ogrzewanych piecami węglowymi.

Strzał w stopę

O tym, że kupując rosyjski węgiel, a po zajęciu Krymu i powstaniu republik ługańskiej i donieckiej w 2014 r., także antracyt z kopalń znajdujących się na utraconych przez Ukrainę terenach, wspieramy krwawy reżim Putina, mówiono i pisano od lat. Okazją, by ostatecznie skończyć z tym procederem, stało się wtargnięcie wojsk Federacji Rosyjskiej na terytorium naszego wschodniego sąsiada. Jak twierdzi premier Mateusz Morawiecki, polski rząd włożył wiele wysiłku, by przekonać państwa unijne do wprowadzenia embarga na import rosyjskiego węgla.

14 kwietnia br. prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę o szczególnych rozwiązaniach w zakresie przeciwdziałania wspieraniu agresji na Ukrainę oraz służących ochronie bezpieczeństwa narodowego. Wprowadzała ona zakaz przywozu do Polski oraz tranzytu przez terytorium naszego kraju węgla i koksu z Rosji i Białorusi. I weszła w życie z chwilą opublikowania. Prezydent i premier pokazali swoją dziarskość , licząc na polityczne profity i kompletnie nie licząc się z konsekwencjami. Bardzo szybko cena ekogroszku zaczęła bić kolejne rekordy. Polacy ze zdumieniem odkryli, że ten opał pochodzi głównie z Federacji Rosyjskiej. Co gorsza, zaczęło go brakować, a dziś zakup worka takiego węgla wymaga nie tylko pieniędzy, ale i szczęścia. Doszło do tego, że właściciele składów z węglem zamykają je z powodu braku towaru.

Niewiele później pojawiły się informacje, że do końca roku zabraknie nam od 5 do 6 mln ton wysokiej jakości rosyjskiego surowca. Choć Izba Gospodarcza Sprzedawców Polskiego Węgla ocenia, że deficyt może sięgnąć nawet 11 mln ton. Pierwsi zareagowali ogrodnicy, którzy ogrzewają swoje szklarnie węglem. Najpierw zaczęli skarżyć się w mediach, że ceny opału tak poszły w górę, że w przyszłości przestanie im się opłacać uprawiać pomidory i ogórki.

9 czerwca br. Zarząd Krajowej Rady Izb Rolniczych zwrócił się do wicepremiera, ministra rolnictwa i rozwoju wsi Henryka Kowalczyka

eprasa.pl 927e76a9e7

o interwencję w celu dopuszczenia rolników – producentów warzyw, owoców i roślin ozdobnych w szklarniach i pod folią – oraz przetwórców żywności do kupna węgla bezpośrednio z kopalń. Kierownictwo rady ostrzegło ministra, że wzrost cen opału może doprowadzić do załamania produkcji ogrodniczej i zniszczenia istniejącej w gospodarstwach infrastruktury.

Moskwa wyręcza Sasina

Nie wiedzieć czemu, rozwiązaniem problemu spowodowanego embargiem na rosyjski węgiel zajmuje się minister klimatu i środowiska Anna Moskwa, choć za kopalnie odpowiedzialny jest minister aktywów państwowych Jacek Sasin. Moskwa, powołując się na dane GUS, powiedziała, że rocznie kupowaliśmy z Rosji ok. 8 mln ton węgla, z czego do 16 kwietnia br. do Polski trafiły 3 mln ton, co w jej ocenie oznacza, że luka nie jest duża i uda się nią zapełnić importem z innych kierunków. Zapewniła też, że do Polski płynie opał z Indonezji i Kolumbii. Niestety, nie wyjaśniła, ile tego węgla płynie. I ile za niego zapłacono.

W mediach można znaleźć informację, że na razie jest to 700 tys. ton, a cena z pewnością będzie trochę niższa niż cena w Rotterdamie, która obecnie oscyluje wokół 320-340 dol. za tonę.

Wyzwaniem będą możliwości przeładunkowe polskich portów. Nie każdy jest w stanie przyjmować masowce o wyporności ponad 100 tys. ton. Do tego są one obciążone przeładunkami ukraińskiego zboża, które przez nasz kraj powinno trafić do Afryki. Na to nakładają się możliwości Polskich Kolei Państwowych i transportu drogowego, bo indonezyjski i kolumbijski węgiel trzeba dostarczyć odbiorcom.

Przy czym nie każdy surowiec nadaje się do spalania w piecach gospodarstw domowych. Zdaniem minister Moskwy, ten z Indonezji nadaje się w pełni. Kolumbijski zaś w 30-40%. Z węglem sprowadzanym z odległych krajów jest też taki problem, że na skutek kołysania część ładunku zmienia się w miał, który nie nadaje się do spalania w domowych kotłowniach. Dlatego po rozładunku w porcie musi on zostać jeszcze przesiany. W tym procesie można oddzielić miał od większych kawałków, które potem trafiają na rynek jako orzech, kostka czy ekogroszek.

Rząd stara się w pierwszej kolejności zabezpieczyć potrzeby elektrowni i elektrociepłowni, które dziś mają na placach bardzo skromne zapasy węgla. Ma to sens, zwłaszcza gdyby nadeszła ostra zima. Węgiel będzie wtedy bardzo potrzebny w Warszawie i innych miastach, gdzie całe dzielnice ogrzewane są przez elektrociepłownie.

Wysokie ceny energii elektrycznej to wynik rosnących cen surowców energetycznych i cen uprawnień do emisji CO_2.

A co z rolnikami? Niech zbierają po lasach chrust, jak ich przodkowie w XVIII i XIX w. Jaśnie panowie zezwolili. Serwituty wróciły!

Tego bałaganu można było uniknąć w prosty sposób. W innych państwach Unii Europejskiej – o czym polskie media i nasi politycy milczą – zakaz importu węgla ma wejść w życie dopiero od sierpnia br. Najwyraźniej Komisja Europejska uznała, że nie ma sensu, by sankcje wymierzone w Mińsk i Kreml najpierw z całą mocą uderzyły Niemców, Francuzów, Belgów, Włochów, Holendrów… Jest więc czas, by zrobić zapasy i przygotować się na nadchodzącą zimę. Dlatego zakupy węgla przez kraje zachodnie w Federacji Rosyjskiej idą obecnie pełną parą.

Ale rząd premiera Morawieckiego, Zjednoczona Prawica i cała opozycja uważają, że musimy do bólu, nie bacząc na koszty, zacisnąć pasa. Owo myślenie oparte jest na osobliwym założeniu, że aby Kijów zwyciężył w konfrontacji z Moskalami, my musimy zbiednieć. Egzystować w zimnych mieszkaniach i niedojadać z powodu rosnących cen żywności.

Cierpliwość zachodnich społeczeństw, które też zostały dotknięte z powodu nałożonych na Rosję sankcji, wyczerpuje się szybciej niż nasza. Niemieccy, francuscy, czy włoscy politycy wiedzą, że muszą coś zrobić, by przywrócić normalność. A nasi biznesmeni szukają możliwości importu węgla z Botswany, Kazachstanu i innych równie egzotycznych krajów.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 927e76a9e7

Z Galicji

Jan Widacki

Myślenie życzeniowe w sytuacji bez wyjścia

Gdy reporter Onetu Marcin Wyrwał, od początku relacjonujący przebieg walk, niejednokrotnie z pierwszej linii frontu, powiedział, że Ukraina tę wojnę przegrywa, rzucili się na niego wszyscy. Doczekał się zarzutu, że świadomie, a może tylko nieświadomie wpisuje się w propagandę Putina, że oczywiście nie ma racji. Trzeźwa ocena reportera wojennego zderzyła się z funkcjonującym u nas i rozpowszechnianym każdego dnia mitem. Bo przecież, gdyby zebrać informacje podawane przez nasze media, komentowane tamże przez emerytowanych generałów, powtarzane bezmyślnie przez dziennikarzy i publicystów, to obraz wojny jest zupełnie inny. Zdemoralizowane i słabo uzbrojone wojsko rosyjskie nie chce się bić i ponosi ogromne straty w ludziach i sprzęcie. Ukraińcy wybijają mu generałów, odbijają kolejne wsie i miasteczka, Romowie kradną czołgi. Putin jest chory, czego dowodem ma być pokazywany obrazek, że stojąc na mównicy, przestępuje z nogi na nogę. Na temat zdrowia Putina i jego stanów emocjonalnych wypowiadają się rozmaici maniacy i hochsztaplerzy od mowy ciała czy zdalnej oceny zdrowia. Kolekcjonujemy te „rewelacje", plotki i zwykłe brednie, budując z nich obraz sytuacji na Ukrainie. Obraz mitologiczny, odzwierciedlający nie stan faktyczny, tylko nasze marzenia. Można wtedy snuć absurdalne scenariusze końca wojny. Lada chwila Ukraina odbije Donbas i Krym, co więcej – Rosja się rozpadnie. Co prawda nie bardzo wiadomo, jak miałaby się rozpaść. Kałmucja się oderwie? Czukcze ogłoszą niepodległość? Rojenie i bredzenie. Ale mówiło się i słuchało tego mile. Jeszcze na dodatek chory Putin umrze… A jego miejsce zajmie jakiś dobrotliwy liberał?

Jest inaczej. To prawda, że Rosjanom nie udało się w ciągu kilku dni podporządkować sobie Ukrainy. Żyjący w Ukrainie Rosjanie – a jest ich niemało, bo stanowią niemal 20% wszystkich mieszkańców, na wschodzie i południu są zaś rejony, w których stanowią większość – wbrew oczekiwaniom Putina nie opowiedzieli się po stronie Rosji. Jak widać, Putin też uwierzył w mit, skutecznie podtrzymywany przez rosyjskie służby wywiadowcze, które dyktatorowi przedstawiały nie prawdziwy obraz nastrojów ludności, ale taki, jaki ich zdaniem dyktator chciał widzieć. Tymczasem w Ukrainie przez ostatnich kilkanaście lat wiele się zmieniło. Wyrosło i dojrzało nowe pokolenie, które nie pamięta już ZSRR, nie wzdycha do dobrych czasów Breżniewa. Mając kontakty ze światem, potrafi porównać zachodni dobrobyt i styl życia z rosyjskim dziadostwem i tęskni raczej do tego pierwszego. Pomylił się więc Putin. W pierwszych dniach najazdu jednostki wojska ukraińskiego nie poprzechodziły na stronę Rosji, jak to nastąpiło jeszcze nie tak dawno na Krymie. Ludność, nawet ta rosyjska, nie witała żołnierzy rosyjskich jako wybawców. Nie udało się usadowić w Kijowie marionetkowego rządu. Ukraińcy stawili bohaterski opór. To także nie była już ta sama armia, która jeszcze przed kilku laty nie mogła sobie poradzić z separatystami w Donbasie. Ale mimo że Rosji nie udało się podporządkować sobie Ukrainy w kilka dni, nie zmienia to faktu, że Rosjanie zajęli ok. 20% jej terytorium. Odcięli Ukrainę od Morza Azowskiego, uzyskali lądowe połączenie z Krymem, a ich ofensywa w Donbasie powoli, ale skutecznie zaciska kleszcze od północy i południa.

Jak to wszystko może się skończyć? Mimo gigantycznej pomocy Zachodu, przede wszystkim wojskowej, Ukraina nie jest w stanie wygrać tej wojny. Będzie stawiała opór, zadawała wojskom rosyjskim straty (sama ponosząc ogromne), będzie odnosić jakieś lokalne sukcesy. Ale Donbasu, dostępu do Morza Azowskiego, nie mówiąc już o Krymie – nie odbije. Nie wiem, jakie są dalsze plany Rosji. Czy po zakończeniu operacji w Donbasie pokusi się o zdobywanie Odessy, odcięcie Ukrainy od Morza Czarnego i połączenie z Naddniestrzem, czy po prostu wstrzyma działania wojenne? To drugie jest chyba bardziej prawdopodobne. I co wtedy? Będą rozmowy pokojowe? Jeśli będą, to co? Rosja pokojowo odda to, co zbrojnie zajęła? Z całą pewnością nie. Ukraina zrzeknie się części terytorium? Z całą pewnością również nie. Nawet jeśli Zachód będzie ją do tego namawiał, bo już zaczął namawiać, ale ostatnio oficjalnie się od tego odciął. Zachód też jest w trudnej sytuacji. Wie, że bez wywołania III wojny światowej, wojny nuklearnej, niosącej zagładę ludzkości, Rosji się nie pokona. Tym bardziej nie zrobi tego sama Ukraina, choćby najlepiej uzbrojona. Uznać aneksji zajętych przez Rosję terenów Ukrainy Zachód też nie może, bo byłby to precedens, że w XXI w. w Europie, gwałcąc prawo międzynarodowe, można zbrojnie, najazdem zmieniać granice państw. W efekcie pozostanie stan wojny/niewojny. Rosjanie na zajętych terenach zrobią referenda (mają w tym wprawę), w ich wyniku zajęte zbrojnie tereny przyłączą do Rosji, Zachód tego nie uzna, ale Chiny i Indie oraz wiele krajów Ameryki Łacińskiej – kto wie. I będzie to tak trwało. A ponieważ działania zbrojne i rozlew krwi ustaną, państwa zachodnie, kierując się swoim interesem, będą luzować sankcje. Przypomną sobie, że mimo wszystko rosyjska ropa i gaz są tańsze niż inne. Obawiam się, że Ukraina zostanie sama. Zrujnowana przez wojnę, ograbiona z najbardziej uprzemysłowionych terenów, pogrążona w kryzysie gospodarczym, osłabiona dodatkowo przez fakt, że wyemigrowało z niej 2 czy 3 mln ludzi, w dodatku najbardziej dynamicznych i przedsiębiorczych. Niezadowolenie ludzi w czasie głębokiego kryzysu gospodarczego z reguły prowadzi do wewnętrznych konfliktów, do szukania winnych, do wzajemnych rozliczeń. Zawód, że Ukraina wciąż nie jest przyjęta do Unii Europejskiej, a wszyscy wiemy, że w najbliższym czasie przyjęta być nie może, bo nie jest w stanie spełnić podstawowych kryteriów, zrodzi poczucie, że została przez Zachód zdradzona i wtedy, kto wie, czy Rosja nie wyda się jedynym dla niej rozwiązaniem.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 927e76a9e7

Twierdza Podlasie

Podlasianie sami się mierzą z faktem, że na ich terenie krzyżują się szlaki migracyjne i turystyczne

Zuzanna Muszyńska

Jest puszcza, a w niej wysoki płot. Są cudzoziemcy, aktywiści, mundurowi. Teraz dołączą do nich turyści. 30 czerwca przestanie obowiązywać czasowy zakaz przebywania na terenie 183 miejscowości przy granicy z Białorusią w województwach podlaskim i lubelskim. Zastąpi go zakaz przebywania w pasie szerokim na 200 m i długim na ponad 200 km wzdłuż granicy polsko-białoruskiej. Na wniosek komendanta Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej taki zakaz na okres od 1 lipca do 15 września wprowadził wojewoda podlaski. Powód – utrzymująca się presja migracyjna oraz kontynuacja prac przy budowie zapory.

Rząd unika tematu twierdzy Podlasie. Podlasianie muszą sami się mierzyć z faktem, że na ich terenie krzyżują się teraz szlaki migracyjne i turystyczne.

Rządowe last minute

– Oczywiście cieszymy się z otwarcia regionu. Mamy dość życia przez 10 miesięcy w izolacji, na poligonie, i bardzo chcemy, aby turyści do nas wrócili – mówi Lucyna Żłobin, przewodniczka, właścicielka biura turystycznego Czajka, aktywistka. – Jednak śmiem wątpić, czy to nastąpi w tym sezonie. Informacja o otwarciu pojawiła się w czerwcu. Nie wpłynęła do mnie dotychczas ani jedna rezerwacja usługi na okres letni 2022 r. W latach poprzedzających pandemię i okres naszego zamknięcia kalendarz na sezon wakacyjny miałam pełen już w maju.

Podobnego zdania jest Grażyna Artemiuk, właścicielka Babushka Bistro w Hajnówce i Białowieży oraz pensjonatu. – Dwa tygodnie temu wystawiłam pokoje na wynajem – mówi. – I nie mam praktycznie rezerwacji. Jest też problem z pozyskiwaniem pracowników, potrzebuję ich ok. 20. Jeśli nawet kogoś znajdę, trzeba taką osobę wyszkolić i zakwaterować. Czasu jest mało, poza tym czy warto startować? Czy ludzie przyjadą? Nie otworzę restauracji 1 lipca.

Artemiuk skarży się na bierność władz wszystkich szczebli. – Rząd bawi się z nami w kotka i myszkę, do tej pory nie rozwiązał problemu rekompensat dla dużych przedsiębiorców – mówi. – Koronawirus nie dobił nas tak, jak zakaz przebywania i stan wyjątkowy. Poza tym Białowieża nie jest przygotowana do otwarcia. Rozważamy jako przedsiębiorcy promocję we własnym zakresie, zorganizowanie imprezy w pierwszy weekend lipca. Nikt poza nami o tym nie myśli. Podobno są na to środki u marszałka województwa, ale do dziś nie mam informacji, do kogo dzwonić w tej sprawie. Większość białowieżan żyje z turystyki, jesteśmy znani w świecie bardziej niż Zakopane. W zeszłym roku w pięciu pokojach miałam przez dwa letnie miesiące trzy wolne dobonoce. Teraz wszystkie są wolne. Mam pojedyncze rezerwacje przez całe wakacje.

Albert Litwinowicz, wójt gminy Białowieża, komentuje: – Gmina ma ok. 10 mln zł budżetu i musiała ograniczyć swoje wydatki, najpierw przez ograniczenia związane z pandemią COVID-19, a później w związku ze stanem wyjątkowym i zakazem wjazdu. Rozumiemy wszystkie działania związane z kryzysem na granicy polsko-białoruskiej, ale to również my jako samorząd, podobnie jak branża turystyczna, oczekujemy obecnie odpowiedniej pomocy ze szczebla rządowego czy też samorządu województwa.

> Koronawirus nie dobił nas tak, jak zakaz przebywania i stan wyjątkowy. Poza tym Białowieża nie jest przygotowana do otwarcia.

Na zamknięciu regionu ucierpieli również przedsiębiorcy z dalszych części Podlasia. Eugeniusz Ławreniuk jest właścicielem Biura Podróży Junior w Białymstoku. Od wprowadzenia stanu wyjątkowego 2 września 2021 r. musiał odwołać wiele imprez grupowych, firmowych i szkolnych, jak również tradycyjnego sylwestra w plenerze „Pod puszczańskimi gwiazdami". Niewiele pomogła modyfikacja ofert – spadki przyjazdów w rejon Puszczy Białowieskiej wyniosły praktycznie 100%.

eprasa.pl 927e76a9e7

Zapora na granicy polsko-białoruskiej przecina korytarz wędrówek dużych ssaków.

Płot jest regularnie cięty i podkopywany.

Biuro otrzymało wsparcie finansowe od wojewody. Zdaniem Ławreniuka obecny rok nie będzie dużo lepszy. – Pomimo bardzo dobrej decyzji rządu nie da się uratować obecnego sezonu – ocenia. – Informacja została podana zbyt późno, większość rodaków dawno wybrała na wypoczynek inne regiony kraju. Przyjadą głównie turyści weekendowi, ale będzie ich o wiele mniej niż w latach poprzednich. Grup zorganizowanych, które zostawiają u nas zupełnie inne pieniądze niż klient indywidualny, w okresie wakacyjnym też nie będzie. Tradycyjne miesiące turystyki konferencyjnej, integracyjnej, przyrodniczej i szkolnej to kwiecień, maj, czerwiec. Poza tym grupy zorganizowane planują imprezy z dużym wyprzedzeniem, więc pierwszych z nich możemy spodziewać się jesienią. Sezon wiosenno-letni, zdecydowanie najlepszy, został już stracony. A turyści zagraniczni, tak licznie kiedyś odwiedzający Puszczę Białowieską, nie przyjadą w tym roku w ogóle. Oni planują nawet z rocznym wyprzedzeniem, tak że pierwszych z nich możemy spodziewać się w przyszłym roku.

Jak odtworzyć magię

Katarzyna Turosieńska, prezes Oddziału Podlaskiego Polskiej Izby Turystyki, podkreśla pilną potrzebę szeroko zakrojonej kampanii promocyjno-informacyjnej. – Nie wystarczy ogłosić, że od 1 lipca można przyjechać do Białowieży – tłumaczy. – Turyści zagraniczni nie odbierają przecież masowo polskich mediów, należy więc dotrzeć do nich innymi sposobami. Takie działania muszą

być prowadzone przez ministerstwo i rządowe instytucje, które mają na to odpowiednie fundusze.

– Dużo obiektów nie przetrwało niestety okresu zamknięcia i zostały wystawione na sprzedaż – dodaje Turosieńska. – Ci, którym się udało, walczą z czasem i ze wszystkich sił starają się przygotować do otwarcia. Nie jest to jednak kiosk Ruchu, który jednego dnia można zamknąć, a drugiego otworzyć. To duże obiekty, zatrudniające kilkadziesiąt osób. Przygotowanie takiego miejsca wymaga czasu i odpowiedniej kadry, a ta w dużej mierze wyjechała z Białowieży szukać pracy gdzie indziej.

Niełatwo będzie odbudować wizerunek Podlasia, które dotychczas kojarzone było ze spokojem, bezpieczeństwem, bliskością natury. – Dużym zniszczeniom uległa infrastruktura poszczególnych miejscowości – podkreśla Katarzyna Turosieńska. – Drogi zostały rozjeżdżone przez ciężki sprzęt wojskowy, co sprawia, że turystyka rowerowa będzie w wielu miejscach bardzo utrudniona. Frustracja i niepewność o przyszłość okolicznych mieszkańców sięga zenitu i przytłacza. Trudno się słucha ich opowieści, przepełnionych żalem i zdenerwowaniem. Powrót do normalności wymaga czasu i ogromnych nakładów. Mam jednak nadzieję, że będzie możliwy.

Zdaniem Turosieńskiej przyjazd do przygranicznych miejscowości może się kojarzyć turystom z ryzykiem zamiast świętego spokoju. Dla aktywistów, którzy ostatnie miesiące spędzili w lesie, jest to oczywiste. – Myślę, że to, co się wydarzyło i nadal dzieje, odcisnęło piętno na Podlasiu, wiele osób nie będzie chciało tam pojechać – twierdzi Monika Matus z Grupy Granica. – Rząd wycofuje się cichaczem z tej sytuacji. Może gdyby zorganizował 1 lipca konferencję prasową i zaprosił podczas niej Polaków na Podlasie, to ktoś by przyjechał. Poza tym skąd ludzie mają wiedzieć, jak się zachować przy spotkaniu z uchodźcą? Będą woleli tego uniknąć.

Kamil Syller, prawnik, aktywista, właściciel agroturystyki w Werstoku, zapowiada, że działająca na Podlasiu sieć aktywistów planuje wyręczyć rząd w działaniach edukacyjnych. – Będziemy prowadzić własną akcję informacyjną – mówi. – Chcemy docierać do przyjeżdżających i informować, co mają robić. Bo nie powinno być tak jak z pożarem w lesie: zobaczyłeś uchodźcę – dzwoń! Alarmuj! Będziemy uświadamiać, jak uniknąć uczestniczenia w bezprawiu, jakim są następujące w takich sytuacjach pushbacki, czyli wypchnięcia na granicę.

Syller zauważa, że nie widać oznak stopniowego redukowania widoczności (nie obecności) wojska. – Pojazdy Humvee jeżdżą, jak jeździły, bazy są przy głównych

eprasa.pl 927e76a9e7

drogach – punktuje. – Przyjezdni zobaczą pokaz siły militarnej. Utrudni to zarówno pracę ludziom, którzy żyją z turystyki, jak i odpoczynek gościom.

– Dotychczas z wojskiem współpracowało nam się bardzo dobrze, ale jesteśmy świadomi, że jego obecność może być uciążliwa zarówno dla mieszkańców, jak i turystów – twierdzi wójt Białowieży. – Myślę, że obecność służb mundurowych z dnia na dzień będzie się zmniejszać, jednak pytania, kiedy całkowicie znikną z Białowieży, należy kierować do resortu obrony.

Mamy dość życia przez 10 miesięcy w izolacji, na poligonie, i bardzo chcemy, aby turyści do nas wrócili.

Prawo puszczy

Czego jeszcze zaniechał rząd w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy? – Nie przestał łamać prawa, wbrew wyrokom, w których sądy stwierdziły jasno, że decyzje Straży Granicznej są nielegalne – uważa Syller. Polskie władze utrudniają pomoc uchodźcom, odmawiają im możliwości złożenia wniosku o ochronę międzynarodową, stosują wywózki. Jest to naruszanie polskiego i unijnego prawa, co potwierdził ostatnio Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie, uchylając postanowienie Straży Granicznej o nakazie opuszczenia terytorium Polski przez Jemeńczyka i Irakijczyka, których zatrzymano jesienią na pograniczu polsko-białoruskim. WSA wskazał na nieprawidłowości w postępowaniu Straży Granicznej, której funkcjonariusze nie sprawdzili, czy cudzoziemcy chcieli ubiegać się o ochronę międzynarodową na terenie naszego kraju. Sąd zwrócił też uwagę na fakt, że na Białorusi cudzoziemcom grozi pozbawienie wolności przez pograniczników, którzy przetrzymują ich bezprawnie w pasie przygranicznym. Polska zobowiązana jest do przestrzegania zasady *non-refoulement* wobec wszystkich cudzoziemców, również tych, którzy przekroczyli granicę nielegalnie. Nie wolno zawracać ich na teren państwa, w którym istnieje zagrożenie życia, wolności oraz gdzie mogą stać się ofiarami tortur lub nieludzkiego traktowania. Zasada *non-refoulement* stoi ponad innymi normami prawa międzynarodowego, prawa UE oraz prawa krajowego dotyczącego cudzoziemców.

O prawa cudzoziemców upomina się w sądach m.in. Stowarzyszenie Interwencji Prawnej. Prawnicy SIP wywalczyli wcześniej dla trzech obywateli Afganistanu wyrok Sądu Rejonowego w Hajnówce uznający wywiezienie ich przez funkcjonariuszy SG za nielegalne. Prokuratura nie wszczyna postępowań przeciwko strażnikom, nie dopatrując się w ich działaniach znamion czynu niezgodnego z prawem. – Chcielibyśmy, aby wyroki te przełożyły się na zmianę praktyki, ale dopóki brakuje woli politycznej i mamy upolitycznioną prokuraturę, funkcjonariusze pozostają bezkarni – mówi mecenas Małgorzata Jaźwińska z SIP. – Na pewno nie będziemy ustawać w naszych działaniach prawnych, a brak przełożenia zapadających wyroków na decyzje władz sprawia, że zastanawiamy się nad kolejnymi krokami prawnymi czy to związanymi z odpowiedzialnością odszkodowawczą Polski za łamanie prawa międzynarodowego, czy skargami do trybunałów międzynarodowych. Być może sądy zasądzą wobec naszych klientów stosowne zadośćuczynienia.

Sezon wiosenno-letni został już stracony. A turyści zagraniczni nie przyjadą w tym roku w ogóle.

Wyłapywanie cudzoziemców i bezprawne wypychanie ich do Białorusi przez funkcjonariuszy demokratycznego państwa z jednej strony, z drugiej pomoc humanitarna udzielana tym samym ludziom przez aktywistów – działania tych ostatnich doceniła amerykańska organizacja Human Rights First, przyznając Grupie Granica Nagrodę Praw Człowieka im. Williama D. Zabala. – To niczego nie zmienia w naszej pracy, nie czujemy się dzięki nagrodzie pewniejsi ani bezpieczniejsi – komentuje Monika Matus. – Ale mamy nadzieję, że informacja o niej dotrze do polskiego rządu. Międzynarodowe uznanie dla naszej pracy, którą władza penalizuje i utrudnia, jest kolejnym argumentem za tym, że nadszedł czas zmian w polityce migracyjnej.

Dla Grupy Granica otwarcie zony 1 lipca zmieni niewiele. Będzie można podjechać bliżej osób potrzebujących pomocy. – Nie zmienia się sytuacja podstawowa, czyli umożliwienie wszystkim osobom, które przekroczyły granicę, ubiegania się o ochronę międzynarodową lub azyl – podsumowuje Matus. – Szlak migracyjny nie zniknie, nie pomoże tu ani zapora, ani elektronika, ani stan wyjątkowy, ani jego brak.

Grupa Granica notuje ostatnio ok. 150 interwencji tygodniowo. Ludzie idą przemoczeni, przemarznięci. Odzież podsycha na nich w ciągu dnia, bo słońce wschodzi wcześniej, ale w nocy jest zaledwie kilka stopni powyżej zera. Mogą dłużej przetrwać w lesie. – Nie mamy wyboru, będziemy pomagać w ukryciu ze względu na sytuację tych osób, chociaż pomaganie było i jest legalne – kończy Matus.

Z saperką na mur

W długi weekend 17-19 czerwca 2022 r. funkcjonariusze Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej odnotowali 47 prób nielegalnego przekroczenia polsko-białoruskiej granicy. Od początku roku było 5780 prób, najwięcej w marcu – 1766. – Do chwili obecnej ustawiono przęsła zapory na długości ponad 140 km z planowanych 186 km – mówi mjr Katarzyna Zdanowicz, rzeczniczka Podlaskiego Oddziału SG. – Do

eprasa.pl 927e76a9e7

Kiedy zapora zostanie obłożona elektroniką, zmieni się sytuacja uchodźców.

końca czerwca stanie zapora fizyczna. Potem wykonawca ma 90 dni na instalację tzw. zapory elektronicznej – systemu czujników i kamer – oraz jej kalibrację. Sygnał powędruje do centrum nadzoru w Białymstoku, skąd informacje mają być przekazywane do placówek SG.

Płot jest regularnie cięty i podkopywany. – Kiedy zapora zostanie obłożona urządzeniami elektronicznymi, zmieni się sytuacja uchodźców – mówi Monika Matus. – Będą wtedy przechodzić na najbardziej niebezpiecznych odcinkach, płacąc za to zdrowiem. Będą częściej wypychani i bici.

Metalowe elementy przepiłowano szlifierką kątową, podkopu dokonano za pomocą saperki. Na 5,5-metrową zaporę można się wspiąć po drabinie linowej albo metalowej. Kamil Syller podaje przykład z Arizony, gdzie padają całe przęsła płotu. – U nas wystarczy podjechać ciągnikiem pod płot, podczepić linę – i może runąć nawet kilkadziesiąt metrów – mówi.

Mur w Arizonie zbudowano według opinii amerykańskich organizacji pozarządowych w pośpiechu, z pominięciem regulacji środowiskowych. Runął w zeszłym roku podczas sezonu monsunowych deszczy i powodzi. Jedna mila płotu kosztowała 27 mln dol. „The Guardian" pisze, że tamtejszy płot można pokonać przy pomocy drabiny za 5 dol. oraz że ze względu na warunki klimatyczne śluzy powinny pozostawać otwarte przez wiele miesięcy, umożliwiając tym samym ruch migracyjny.

W styczniu 2022 r., kiedy rozpoczęły się prace przy polskiej zaporze granicznej, wiceszef MSWiA Maciej Wąsik zapowiedział budowę przejść dla dużych zwierząt, które będą otwierane przez SG w porozumieniu z leśnikami w razie potrzeby i w miarę możliwości. Wczesną wiosną wypowiedziała się na temat budowy zapory Rada Klimatyczna Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Żyjemy w czasach masowego wymierania gatunków, które jest skutkiem kryzysu klimatyczno-ekologicznego, a nasze możliwości adaptacji w skali świata i lokalnie zależą od utrzymania jak największej bioróżnorodności", pisali naukowcy z UJ. Tłumaczyli, że nasilone migracje ludności będą jednym ze skutków kryzysu klimatyczno-ekologicznego na Ziemi. Ludzie będą uciekać przed wysokimi temperaturami, suszami i wojnami, jakie wywołują te zjawiska. „Dlatego też musimy ze szczególną uwagą planować i wykonywać inwestycje mogące prowadzić do przyśpieszenia utraty bioróżnorodności i zmian klimatycznych. Taką inwestycją jest budowana właśnie zapora na granicy polsko-białoruskiej, która powstaje na jednych z najcenniejszych terenów przyrodniczych Polski", podkreślali naukowcy.

Płot przecinający Puszczę Białowieską przerywa korytarz ekologiczny dużych ssaków, m.in. wilka, rysia, żubra, łosia. Najbardziej zagrożonym gatunkiem w tej grupie jest ryś. Wrota dla zwierząt musiałyby pozostawać otwarte przez cały czas, żeby zapewnić ich swobodne przemieszczanie się w poszukiwaniu partnerów, pożywienia itd. Naukowcy zwrócili też uwagę na szkodliwe dla dzikiej przyrody intensywne prace budowlane.

Według relacji strażników cudzoziemcy przedostają się obecnie na Białoruś z Rosji. Są to obywatele Jemenu, Syrii, Iraku, Iranu, Indii, Konga, Palestyny, Senegalu, Bangladeszu, Ghany, Gwinei, Erytrei, Wybrzeża Kości Słoniowej, Sierra Leone, Gambii, Kuby, Algierii, Rwandy, Afganistanu, Egiptu, Turcji, Kamerunu, Mauretanii. Ostatnio trafił na pogranicze pierwszy obywatel Chin.

Niełatwo będzie odbudować wizerunek Podlasia, które dotychczas kojarzono ze spokojem, bezpieczeństwem, bliskością natury.

– Uchodźcy są bardzo widoczni w Hajnówce, chodzą wzdłuż torów, siedzą na przystankach. Turyści na pewno będą mieli z nimi kontakt – mówi Kamil Syller.

To podlaskie, mniej oficjalne oblicze multi-kulti, którego nie da się już wymazać z mapy Polski.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. TWITTER/ STRAŻ GRANICZNA (3)

eprasa.pl 927e76a9e7

Korzyści z covidu

W pandemii seniorzy nauczyli się wielu nowych rzeczy, ale ich poglądy polityczne nie drgnęły

Rozmawia Leszek Konarski

DR HAB. BARBARA WOREK
– Instytut Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego

W artykule „Rozwój kompetencji dorosłych Polaków w warunkach pandemii COVID-19", napisanym wspólnie z Jarosławem Górniakiem i Katarzyną Lisek, opublikowanym w raporcie „Bilans Kapitału Ludzkiego w latach 2019-2020", stwierdza pani, że mimo tylu zgonów, rodzinnych tragedii i ogromnych kosztów, można mówić także o pozytywnych skutkach tej pandemii.

– Każdy kryzys jest bardzo bolesny, ponieśliśmy wielkie straty gospodarcze i społeczne, zmarło ponad 100 tys. osób. O tym wszystkim zawsze będziemy pamiętali. Ale każdy kryzys wywołuje też w społeczeństwie zmiany pozytywne. Powoduje otwarcie się na nowe możliwości, uczy myślenia, przyśpiesza nabywanie umiejętności korzystania z rzeczy, z których nie korzystaliśmy.

Wielu dorosłych odkryło, że komputer czy smartfon może służyć do uczenia się nowych rzeczy, nawiązywania kontaktów w sieciach społecznościowych.

Poddaliśmy badaniom aktywność edukacyjną seniorów w grudniu 2019 r. i w grudniu 2020 r., w czasie pandemii.

Czy w wyniku pandemii staliśmy się narodem mądrzejszym?

– Dużo nas pandemia nauczyła. Nasze badania wykazały na przykład, że pandemia znacznie przyśpieszyła proces cyfryzacji kraju. Pozostawanie w domu zmusiło seniorów do korzystania z internetu. Bardzo wielu dorosłych odkryło, że komputer czy smartfon może służyć do pozyskiwania wiadomości, do uczenia się czegoś nowego, nawiązywania kontaktów w sieciach społecznościowych, komunikowania się wideo za pomocą takich narzędzi jak WhatsApp czy Skype.

Zaobserwowaliśmy, że ogromne zmiany zaszły szczególnie w kontaktach ludzi starszych ze służbą zdrowia i z urzędami. Dużo więcej osób po 60. roku życia potrafi już skontaktować się z przychodnią przez internet, uzyskać receptę, załatwić sprawę w urzędzie. Najwyższy stopień aktywności edukacyjnej zauważyliśmy wśród kobiet po 60. roku, mających wyższe wykształcenie. One są zdecydowanie aktywniejsze niż mężczyźni. Ale i panie bez wyższego wykształcenia, kiedy przechodzą na emeryturę i mają już dorosłe dzieci, bardziej niż mężczyźni chcą się uczyć nowych rzeczy.

W raporcie przeczytałem, że 55% naszych seniorów nie chce się niczego uczyć, bo stwierdza, że są zbyt starzy na naukę. Czy to panią nie martwi?

– Bardzo mnie smuci taka postawa i warto dążyć do tego, aby uczenie się nie kojarzyło się tylko ze szkołą i osobami młodymi.

Mamy rządowe programy, powstają kluby aktywności seniorów. To nie działa?

– To są dobre inicjatywy, jednak nie wszystkie są skuteczne. Najważniejsza jest motywacja do nauki i przełamanie bariery strachu przed nowościami technicznymi. Pomału dochodzimy do wniosku, że niekoniecznie najlepszym rozwiązaniem są zorganizowane kursy i szkolenia dla seniorów. Jeżeli seniorowi nie jest potrzebna nauka nowego języka, to nie będzie się uczył. Ale gdy będzie chciał pojechać do swojego wnuczka mieszkającego we Włoszech, to zacznie się uczyć włoskiego. Aktywność intelektualna musi czemuś służyć. Starsze osoby chcą się uczyć tylko wtedy, gdy jest im to do czegoś potrzebne. Chcą korzystać z internetu, bo na YouTubie mogą zobaczyć film z instrukcją, jak samemu wymienić

Dr hab. Barbara Worek – profesor w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Specjalizuje się w projektach badawczych dotyczących wykluczenia społecznego, rynku pracy i uczenia się przez całe życie.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 927e76a9e7

żarówkę w samochodzie. Edukacja nie musi kojarzyć się seniorom ze szkołą, z kursami, wykładami na uniwersytetach trzeciego wieku. Dzisiaj można się uczyć samemu. W dobie internetu to dużo łatwiejsze niż dawniej. Proponowanie starszym osobom kursów dla samych kursów, nie ma żadnego sensu, musi być motywacja do nauki, trzeba im pokazać korzyści z nauki. W czasie pandemii siedzieliśmy w domach i byliśmy zmuszeni do uczenia się samemu, do korzystania z internetu, do czytania książek. To są te korzyści.

Czego jeszcze pozytywnego nauczyliśmy się w czasie pandemii?

– Nagle zauważyliśmy, jak ważne jest wzajemnie wspieranie się, pomaganie sobie, zainteresowaliśmy się losem sąsiadów, proponowaliśmy im zrobienie zakupów. Te wartości polegające na udzielaniu innym pomocy zostały przez pandemię wzmocnione. Myślę, że tak wielkie zaangażowanie w pomoc dla Ukrainy też wynika ze zwiększenia naszej wrażliwości na losy innych osób.

Czy pandemia zmieniła preferencje polityczne seniorów?

– Zupełnie nie zauważyliśmy zmian w poglądach politycznych seniorów. To są procesy długotrwałe, wymagające sporo czasu. Osoby starsze nadal są bardzo podatne na propagandę i domowa izolacja niczego tu nie zmieniła. Ci, którzy oglądali przed pandemią TVP, wciąż to robią, to samo ze zwolennikami TVN. Seniorzy bardziej wierzą w to, co słyszą w TVP.

Dlaczego?

– W TVP wszystko jest dla nich proste i zrozumiałe, biało-czarne, wiadomo, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Język TVP jest dla nich zrozumiały, problemy kraju łatwo są rozwiązywane. Ci, którzy przed pandemią oglądali TVP, teraz też to robią, bo TVP przemawia do nich ich językiem.

Nie czują, że dużo w tym propagandy?

– Nie możemy się na nich obrażać, że nie chcą słuchać TVN. Taka jest rzeczywistość. Nie można im mówić, że niczego nie rozumieją, Najwidoczniej inne stacje nie znalazły z nimi kontaktu, nie potrafiły przekonać do swoich poglądów.

Czy to wina mediów?

– Nie, przyczyna leży gdzie indziej. Nie uczymy społeczeństwa krytycznego myślenia, obiektywnej oceny zjawisk, porównywania opinii. Nie przedstawiamy w mediach różnych punktów widzenia. Nie dajemy prawa wyboru czytelnikowi gazety czy telewidzowi. Dlatego trwa u nas walka plemion. Doprowadziliśmy do niebezpiecznej wojny kulturowej, do podziałów na społeczeństwo głupich i mądrych. Każda ze stron posługuje się swoimi przesłankami i twierdzi, że jest mądrzejsza.

Za tę patologiczną sytuację, za podziały kraju na zwolenników TVP i TVN odpowiadają nie seniorzy, ale ci, którzy nimi manipulują. Starsze osoby znalazły się dzisiaj w osobnych bańkach propagandowych, wierzą w to, co usłyszą w TVP, w Radiu Maryja czy w TVN. Seniorzy w Polsce są grupą bardzo podatną na propagandę, choć oczywiście nie tylko oni.

Mają doświadczenie życiowe, tyle w życiu przeszli.

– Żyli w innej rzeczywistości, mieli jedną gazetę, jedną telewizję i jedną partię polityczną. Do tego nasi emeryci, w porównaniu z tymi z Zachodu, nie mają zbyt dużo czasu na krytyczne patrzenie na rzeczywistość, bo muszą troszczyć się o zaspokojenie swoich potrzeb materialnych, a także o zdrowie.

Aktywność intelektualna musi czemuś służyć. Starsze osoby chcą się uczyć tylko wtedy, gdy jest im to do czegoś potrzebne.

W raporcie jest stwierdzenie: „Pandemia COVID-19, mimo ogromnych kosztów, może być traktowana jako szansa rozwojowa, którą warto dobrze wykorzystać. Wymaga to jednak refleksji nad zmianami, jakie miały miejsce podczas jej trwania, wyciągnięcia wniosków i wykorzystania zdobytych doświadczeń".

– Na pewno pandemia dużo nauczyła seniorów i zauważamy w grupie osób po 60. roku życia bardzo pozytywne zmiany, choć może nie są tak wielkie, jak moglibyśmy oczekiwać. ■

eprasa.pl 927e76a9e7

Marcin Ogdowski

(Nie)regularni

Istotną część walczących w Ukrainie wojsk stanowią ochotnicy i najemnicy

– Tam – mężczyzna wskazał dłonią drugą stronę linii frontu. – Tam są twoi, dwie kompanie Polaków. Chcesz, możesz do nich iść. My ci w plecy nie strzelimy – zapewniał żołnierz samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej (DRL). Była wiosna 2015 r., relacjonowałem wówczas zmagania w Ukrainie ze stolicy separatystów.

– Jakie dwie kompanie, o czym wy mówicie!? – oponowałem. – Przed nami sami Ukraińcy, żadnych Polaków tam nie ma.

– Nie ma, nie ma… – na oko 50-latek nie dawał za wygraną. – Cała zgniła Europa tam siedzi, ja swoje wiem.

Równoległa rzeczywistość

Wspominam tę historię nie bez powodu – oto w rosyjskiej infosferze znów roi się od doniesień o „zagranicznych najemnikach, wspierających siły zbrojne Kijowa". W ocenie Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej (MO FR), Polacy pozostają w tej dziedzinie niekwestionowanym liderem. Do połowy czerwca przez front miało się przewinąć 1830 obywateli RP. „378 najemników już zginęło, 272 wyjechało do ojczyzny", raportował gen. Igor Konaszenkow, szef Wydziału Informacji i Komunikacji MO FR, cieszący się wśród wojskowych analityków opinią „narratora równoległej rzeczywistości". „Ministerstwo monitoruje pobyt w Ukrainie każdego przedstawiciela zagranicznego", zapewniał rzecznik. Z jego słów wynika, że od początku „specjalnej operacji wojskowej" do Ukrainy przyjechało 601 Kanadyjczyków (162 zginęło, 169 wróciło), 530 obywateli USA (odpowiednio 214 i 227), 504 najemników z Rumunii (102 i 98) oraz 422 Brytyjczyków (101 i 95). Konaszenkow wspominał też o 355 Gruzinach i niesprecyzowanej liczbie „bojowników grup terrorystycznych z kontrolowanych przez USA terytoriów Syrii". W sumie, konkludował, „na dzień 17 czerwca 2022 r. na naszych listach znajdują się najemnicy z 64 krajów. Od 24 lutego przybyło 6956 osób, 1956 zostało już zabitych, a 1779 wyjechało".

Władze Donieckiej Republiki Ludowej przeprowadziły pokazowy proces trzech pojmanych obcokrajowców walczących po stronie ukraińskiej.

O jakości tych rewelacji najlepiej świadczy historia z połowy kwietnia, kiedy ten sam generał informował o śmierci 30 Polaków w obwodzie charkowskim, na co do tej pory nie przedstawiono żadnych dowodów. O pukaniu się w głowę przedstawicieli naszego MSZ wspomnę tylko z obowiązku.

Nie zmienia to faktu, że obcokrajowcy walczą po stronie Ukrainy. Zagraniczny zaciąg trudno nazwać masowym, ale w skali tej wojny jest liczny. Powstały pod koniec lutego Legion Międzynarodowy liczy dziś 20 tys. osób. Mógłby być większy, bo ochotników nie brakuje, lecz na przeszkodzie stają ograniczenia materiałowe i logistyczne, z jakimi mierzy się ukraińska armia. Rzecznik Legionu Damien Magrou ujawnia, że służą w nim obywatele aż 55 państw. Najwięcej jest Amerykanów i Brytyjczyków, w dalszej kolejności Polaków, Kanadyjczyków, Bałtów i Skandynawów. Żołnierze ci biorą aktywny udział w działaniach zbrojnych – zwykle na najtrudniejszych odcinkach frontu – jest więc oczywiste, że giną. Ale czy w skali podanej przez Rosjan?

Odpowiedzialny za rekrutację Amerykanin Ryan Routh stworzył na kijowskim placu Niepodległości miejsce pamięci dla poległych członków Legionu. Każdy oficjalnie potwierdzony zgon upamiętnia wbitą w ziemię małą flagą, opisaną imieniem, nazwiskiem i datą śmierci. Do połowy czerwca tych flag było w centrum ukraińskiej stolicy nieco

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 927e76a9e7

ponad 300. Jedną z nich poświęcono Amerykaninowi Stephenowi Zabielskiemu, 52-latkowi z Nowego Jorku, o śmierci którego poinformował niedawno Departament Stanu (co było pierwszym tego rodzaju ruchem dyplomacji USA od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji).

Efekt mrożący procesu

Co istotne – zwłaszcza w kontekście słów gen. Konaszenkowa – legioniści nie są najemnikami. Ochotnicy podpisują trzyletni kontrakt z siłami zbrojnymi Ukrainy, formalnie stając się ich żołnierzami. Teoretycznie zapewnia im to ochronę prawną w wypadku dostania się do niewoli. Jako jeńców wojennych nie wolno ich zabijać, torturować, okradać, zmuszać do nadmiernej pracy. Lecz druga strona niespecjalnie przestrzega zasad. Zapewne dla wywołania efektu mrożącego pośród ochotników – z których większość stanowią byli wojskowi, znacznie lepiej wyszkoleni niż przeciętni rosyjscy żołnierze – władze Donieckiej Republiki Ludowej przeprowadziły ostatnio pokazowy proces trzech pojmanych obcokrajowców.

– Kolegium apelacyjne Sądu Najwyższego DRL rozpatrzyło dziś sprawę karną wobec obywateli Wielkiej Brytanii Shauna Pinnera, Aidena Aslina i poddanego Królestwa Maroka Brahima Saadouna oskarżonych o najemnictwo i popełnienie działań mających na celu przejęcie władzy i obalenie ustroju konstytucyjnego DRL – oświadczenie tej treści wygłosił 9 czerwca reprezentujący kolegium Aleksandr Nikulin. Cudzoziemców skazano na kary śmierci, żołnierze mają teraz miesiąc na złożenie apelacji. Jak podało ostatnio BBC, Aiden Aslin miał usłyszeć, że jego egzekucja zostanie wkrótce wykonana.

Władze DRL i Moskwa pozostały głuche na argumenty, że wszyscy trzej służyli w legalnej formacji zbrojnej, której członków można sądzić jedynie za zbrodnie wojenne (jak w głośnych sprawach Rosjan odpowiadających przed ukraińskimi sądami), oraz że jeden z oskarżonych ma także obywatelstwo Ukrainy.

Na razie nie ma jasności, jaki los spotka innych cudzoziemców – 39-letniego Alexandra Drueke'a i 27-letniego Andy'ego Huynha, weteranów armii amerykańskiej, wziętych do niewoli przez Rosjan. Do zdarzenia doszło 9 czerwca w okolicach Charkowa. Władimir Sołowjow, czołowy kremlowski propagandysta, wieszczy Amerykanom proces i karę śmierci, ale bardziej prawdopodobne jest, że jeńcy posłużą jako karta przetargowa w negocjacjach, w których Moskwa będzie chciała przekonać Waszyngton do jakichś ustępstw, np. ograniczenia skali pomocy dla Ukrainy.

Rosjanie nie mogą za bardzo przeginać z rzekomą pryncypialnością, by nie zaszkodzić własnym ochotnikom. Nim to wyjaśnię, chciałbym zauważyć, że już od początku marca MO FR publikuje tysiące ofert pracy, zarówno w tradycyjnych mediach, jak i na popularnych portalach rekrutacyjnych. Przedmiotem ofert są krótkoterminowe kontrakty z armią rosyjską – bardzo atrakcyjne w regionach dotkniętych strukturalną biedą. I tak wojskowy urząd rekrutacyjny w Niżniekamsku obiecuje ochotnikom 200 tys. rubli miesięcznie – pięć razy więcej niż średnia pensja w tym mieście.

Generalnie rosyjscy ochotnicy chcący wziąć udział w wojnie z Ukrainą mogą wstąpić w szeregi na kilka sposobów: podpisując krótkoterminową umowę z MO FR, zawierając trzymiesięczny kontrakt z czeczeńską Rosgwardią, mogą też zapisać się do wojsk DRL/ŁRL, co z uwagi na niskie uposażenia pozostaje rozwiązaniem czysto teoretycznym.

Nieliczni – ci z doświadczeniem wojskowym – mają jeszcze jedną opcję, nazywaną wagnerowską. Chodzi o podjęcie pracy w firmie znanej jako Grupa Wagnera. O ile jednak wcześniejsze metody gwarantują status jeńca wojennego, o tyle wagnerowcy – pracujący dla formacji niebędącej częścią rosyjskich sił zbrojnych – mają z tym kłopot. Najemnicy również są objęci gwarancjami prawnymi, ale… nie można być najemnikiem i jednocześnie walczyć w interesie i po stronie własnego kraju – to dwa wykluczające się statusy. Choć w GW nie brakuje przedstawicieli innych państw – czego przykładem jest były zastępca dowódcy białoruskiego lotnictwa gen. Alaksandr Kurau – miażdżąca większość wagnerowowców to Rosjanie. Ukraińcy zaciekle zwalczają najemników i choć zwykle nie biorą jeńców, może się okazać, że pojmanym zechcą jednak urządzić pokazowy proces. Choćby w ramach retorsji.

Kalendarz i trening

Postać wspomnianego białoruskiego pilota najemnika pozostaje bardzo tajemnicza (o jego zaciągu wiemy dzięki byłym wojskowym współpracującym z antyłukaszenkową opozycją). Łatwiej zdobyć informacje na temat innego generała lotnictwa, Rosjanina Kanamata Botaszewa. W maju pilotowany przez niego szturmowiec Su-25 został zestrzelony przez ukraińską obronę przeciwlotniczą w okolicach Popasnej. Botaszew zginął, a jego śmierć potwierdziło trzech dawnych podwładnych. Z miejsca pojawiły się pytania o to, co 63-latek robił za sterami bojowej maszyny na linii frontu. „Udział w walkach oficera tak wysokiej rangi może świadczyć o braku wysoko wykwalifikowanych specjalistów", oceniło BBC. Czy słusznie?

Botaszew nie wrócił do regularnej armii – maszyna, w której zginął, nie nosiła państwowych oznaczeń,

Powstały pod koniec lutego Legion Międzynarodowy liczy dziś 20 tys. osób.

Ochotnicy podpisują 3-letni kontrakt z siłami zbrojnymi Ukrainy, formalnie stając się ich żołnierzami.

eprasa.pl 927e76a9e7

a jedynie literę Z wymalowaną na skrzydłach i kadłubie. Należała do Grupy Wagnera, która – jak się okazało – dysponuje też komponentem lotniczym. Generał najemnik to mimo wszystko niecodzienny przypadek, ale łatwiej nam zrozumieć motywacje poległego, gdy poznamy okoliczności, w jakich rozstał się z siłami powietrznymi. Otóż w 2012 r. Botaszew rozbił myśliwiec Su-27, za sterami którego nie miał prawa siedzieć. Zasiadł, bo namówił kolegę – dowódcę jednego z pułków – na wspólny lot, podczas którego nie poradził sobie z wykonaniem figury akrobatycznej. Wojskowy sąd wydalił generała z armii i nałożył karę odpowiadającą 140 tys. dol. Mówiąc wprost, oficer był w finansowej potrzebie.

Za stary na liniową służbę i zbyt kłopotliwy z uwagi na przeszłość, u „prywaciarzy" mógł się jeszcze przydać. Nie wiemy, ile lotów wykonał, nim trafiła go ukraińska rakieta. Pierwsze suchoje z oznaczeniem Z na burtach zaobserwowano na froncie na przełomie kwietnia i maja. Czy Botaszewa „zabił" wiek? 63-letni organizm nie reaguje tak szybko jak ciała (i mózgi!) młodszych o 20-30 lat pilotów. A przy typowych dla współczesnych systemów prędkościach sprawy toczą się szybko. Su-25 nie jest nowym samolotem, procesu decyzyjnego nie wspomaga w nim skomplikowana technologia. Być albo nie być to suma refleksu pilota i jego umiejętności. Te zaś należy podtrzymywać. Mało prawdopodobne, by po wyrzuceniu z wojska generał miał sposobność do latania na maszynach bojowych. Zwłaszcza w zakresie umożliwiającym zachowanie nawyków (min. 80-100 godzin rocznie). Najpewniej próbował odbudować warsztat po zgłoszeniu się do wagnerowców, co miało nastąpić w kwietniu. Niewykluczone, że i tak by zginął, nawet w kwiecie wieku i w szczytowej formie. Ponieważ jednak sprawa dotyczy lotnictwa, gdzie kondycja fizyczna i wyszkolenie odgrywają gigantyczną rolę, z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że do śmierci generała przyczyniły się także kalendarz i niedostateczny trening.

W legionie służą obywatele 55 państw. Najwięcej jest Amerykanów i Brytyjczyków, w dalszej kolejności Polaków, Kanadyjczyków, Bałtów i Skandynawów.

Urzędnikom nic do tego

Czy wykorzystywanie emerytowanych wojskowych jest dowodem na desperację Rosjan? Samo sięganie po najemników tego nie przesądza. Amerykanie regularnie korzystają z usług prywatnych korporacji wojskowych. W Afganistanie w 2011 r. 100-tysięczny amerykański kontyngent wspierało… 100 tys. kontraktorów (jak w języku NATO mówi się o najemnikach). Proces zwany komercjalizacją wojny zaczął się jednak dużo wcześniej – i przez kolejne dekady nabierał nadzwyczajnej dynamiki. O ile w czasie pierwszej „Pustynnej Burzy" w 1991 r. jeden kontraktor przypadał na 100 amerykańskich żołnierzy, o tyle 15 lat później, także w Iraku, ta proporcja wynosiła już 1 do 5. A później był Afganistan, gdzie w połowie minionej dekady za jednym żołnierzem stało do trzech najemników. Kontraktorzy ochraniali placówki dyplomatyczne, instalacje przemysłowe, siedziby firm, konwoje z ropą, żywnością i amunicją zaopatrujące bazy sił koalicji. Realizowali misje *capture or kill* (których celem było pojmanie/zabicie dowódców rebelii), zarówno samodzielnie, jak i we współpracy z wojskiem. Faktycznie zatem wyręczali armię, co wziąwszy pod uwagę ich zarobki – zwykle kilkukrotnie wyższe niż żołnierskie pensje – mogłoby się wydawać działaniem nieracjonalnym. Ale…

Z perspektywy zleceniodawców – rządów prowadzących wojnę – i tak możemy mówić o zysku. Zaletą najemników jest anonimowość – gdy giną, najczęściej nie podaje się ich nazwisk, jeśli w ogóle sam fakt śmierci ujrzy światło dzienne. W mediach nie ma relacji z ich pogrzebów, nie powstają materiały poświęcone zrozpaczonej rodzinie, innymi słowy, do opinii publicznej nie docierają informacje, które mogłyby obniżyć poparcie dla działań wojennych. Co ważne, najemnik to zwykle człowiek z wojskowym doświadczeniem – nie ma więc potrzeby urządzania mu wieloletnich i kosztownych treningów. Owo doświadczenie redukuje też ryzyko, jakim jest posyłanie do walki nieostrzelanego żołnierza po kilkumiesięcznym szkoleniu.

Bonaszew – choć niemłody – ze swoim imponującym nalotem był dużo lepszy od wielu rosyjskich pilotów. A gdy zginął, MO FR nawet nie zająknęło się o sprawie. Podobnie jak w wypadku 6-8 tys. innych przypadków śmierci wagnerowców – bo tylu ich dotąd poległo w Ukrainie. Rosyjska armia ma wybitnie nietransparentną politykę komunikacji społecznej, ale ostatecznie do śmierci zawodowego czy poborowego żołnierza musi się przyznać – przynajmniej przed rodziną. Gdy przepada najemnik, urzędnikom w mundurach nic do tego.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

W nowym numerze tygodnika „NIE":
Prezydent Lech Kaczyński wcale nie był taki genialny, jak go dziś brat maluje.

eprasa.pl 927e76a9e7

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Benidorm po polsku

Zapewne wiedzą Państwo, co to jest Benidorm. Jeśli nie, to przedstawię miasto w Hiszpanii, położone nad brzegiem Morza Śródziemnego. Po Manhattanie i Szanghaju największe na świecie skupisko wieżowców. Kiedy je zobaczyłem, nie chciałem wierzyć własnym oczom. A potem wpadłem w przerażenie. Chodzi wszak o miejsce wypoczynku, kurort nadmorski. Jak można wypoczywać w czymś tak strasznym? Tysiące ludzi mieszkających w ogromnych wieżowcach i chodzących ulicami tunelami, aby znaleźć dla siebie kawałek wolnej przestrzeni na plaży. Gwar i hałas. Samochody i autobusy sunące ulicami jak w Madrycie czy Barcelonie. Galerie handlowe i jarmarczne przybytki rozrywki i konsumpcji. Zero spokoju, zero ciszy. Koszmar. Nigdy nie chciałbym spędzać tutaj wakacji. Niestety, to kolejny kawałek wybrzeża Hiszpanii zepsuty przez żądzę zysku i brak regulacji państwowych. Nieszczęście zaczęło się jeszcze w czasach gen. Franco (ówczesny burmistrz Benidormu był jego przyjacielem i wywalczył prawo do zmiany małego miasteczka w turystyczny moloch). Na szczęście to i owo ocalało. Wciąż można tam znaleźć urocze miejsca i ciche przystanie. Ale trzeba mocno się naszukać.

Podobnie jest na hiszpańskich Wyspach Kanaryjskich, których spora część uległa krajobrazowej degradacji. Takie miejsca jak Maspalomas na Gran Canarii czy Puerto de la Cruz na Teneryfie mogą na zawsze zniechęcić do wizyty na tym wspaniałym archipelagu. Na szczęście i tutaj można znaleźć miłe i ciche miejsca (nie zdradzę, gdzie są). Być może jednak nie byłoby ich, gdyby nie podjęta w pewnym momencie akcja obywatelskiego sprzeciwu wobec niszczenia wysp. Przewodził jej wybitny artysta z Lanzarote César Manrique. To dzięki m.in. jego wysiłkom Lanzarote i Fuerteventurę udało się choć częściowo obronić przed bezpowrotnym zniszczeniem, a niektórym miejscom nadać nawet niepowtarzalny klimat.

Dlaczego jednak o tym piszę? Ano dlatego, że zobaczyłem nowy hotel Gołębiewskiego w Pobierowie. A potem przypomniałem sobie plany stawiania wieżowców przy plaży w Międzyzdrojach. I zadałem sobie pytanie: czy potrafimy uczyć się na błędach innych, czy też nie? I szybko sam sobie odpowiedziałem: nie. Zniszczymy nasze piękne wybrzeże, tak jak Hiszpanie (i Potugalczycy) zniszczyli swoje. I u nas żądza zysku przedsiębiorców oraz brak rozwagi samorządowców doprowadzi do urbanistycznej katastrofy. A właściwie już doprowadził. Nie potrafimy skutecznie bronić naszego wspólnego wielkiego bogactwa: piękna kraju. Zaśmiecamy go, czym tylko się da. Najpiękniejsze przyrodniczo rejony zabudowujemy bez składu i ładu. Nie chronimy krajobrazu. Nie chronimy przyrody. Nie mamy takich obrońców krajobrazu jak César Manrique. A jeśli mamy, to ich głos jest niesłyszalny. Przegrywamy bitwę o przyszłość Polski. Od ponad 20 lat nie utworzyliśmy np. żadnego nowego parku narodowego, mimo że kandydatów jest co najmniej kilku, w tym niezwykła w skali światowej Kraina Wielkich Jezior Mazurskich.

Nasze niepowodzenia w tej mierze tłumaczone są często negatywną rolą samorządów, które nie chcą zgodzić się na jakiekolwiek formy utraty kontroli nad swoim terytorium. Jestem wielkim zwolennikiem samorządności, ale przecież ma ona także swoje ciemne strony. I nie myślę tu tylko o niemożliwych do ruszenia układach, które wytworzyły się tam, gdzie włodarze miast i gmin rządzą dziesięciolecia (a miejsc takich jest bez liku). Ale także o braku troski o dobro wspólne. A przecież takim dobrem jest polska przyroda i krajobraz. Nawet w krajach tak zdecentralizowanych jak Stany Zjednoczone władze federalne potrafiły zadbać o przyrodę, fundując wiele obszarów chronionych, w tym cudowne parki narodowe, natomiast władze stanowe – prawda, że nie wszystkie – zadbały jeszcze dodatkowo o ład przestrzenny. My tego nie potrafimy. Na szczeblu samorządowym, gdy przychodzi co do czego, z reguły zwyciężają lokalne interesy finansowe (podatki! podatki!) oraz fatalna w skutkach ideologia przedsiębiorczości jako dobra bezproblemowego. Jej odpryskiem jest uległość wobec ludzi, którzy mają duże pieniądze; oni mogą zbudować, co chcą i gdzie chcą, mając w nosie wszelkie ograniczenia, vide historia budowy „zamku" w Stobnicy w Puszczy Noteckiej. Z kolei na szczeblu centralnym objawia się w całej krasie tandetność naszego „państwa z kartonu i sznurka", które nawet czasami coś by chciało, ale niczego nie może. Nikomu nie zależy na jakiejkolwiek ochronie polskiego krajobrazu. Wiem coś o tym, mieszkając w pięknej krajobrazowo gminie i dodatkowo jeszcze na terenie tzw. parku krajobrazowego. Obie instytucje chronią wszystko, tylko nie krajobraz. I tak oto z kraju, który mógłby uchodzić za enklawę pięknej przyrody i wspaniałego krajobrazu, stajemy się krajem, który powtarza najgorsze błędy innych, trwoni swoje atuty i zamienia się w jeszcze jeden zdegradowany urbanistycznie i przyrodniczo zakątek świata. Szkoda.

Nie potrafimy bronić naszego wspólnego wielkiego bogactwa: piękna kraju. Zaśmiecamy go, czym tylko się da.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 927e76a9e7

Marcin Terlik

Le Pen poza kordonem

Francuskie wybory do parlamentu stały się okazją do zaciętej walki Macrona z lewicą, ale największymi wygranymi okazali się nacjonaliści

Marine Le Pen w wyborczy wieczór nie musiała udawać radości. – Zgromadzenie stanie się bardziej narodowe – wołała do zwolenników w niewielkiej sali w miasteczku Hénin-Beaumont na północy Francji. Liderka skrajnie prawicowego Zjednoczenia Narodowego osiągnęła 20 czerwca historyczny sukces – wprowadziła do francuskiego parlamentu 89 deputowanych. To ponad 11 razy więcej niż udało się jej wprowadzić poprzednio, w 2017 r. Do tej pory we wszystkich wyborach od początku lat 80. skrajna prawica zdobyła w sumie zaledwie 44 mandaty.

Na pierwszy rzut oka liczba 89 miejsc w 577-osobowym parlamencie nie robi wielkiego wrażenia. Zwłaszcza że równo dwa miesiące wcześniej Le Pen w drugiej turze wyborów prezydenckich uzyskała przeszło 40-procentowe poparcie. Tyle że do tej pory dobre wyniki Marine czy jej ojca Jeana-Marie w głosowaniu na głowę państwa nigdy nie przekładały się na mandaty w Zgromadzeniu Narodowym. Żeby to zrozumieć, trzeba przyjrzeć się specyficznemu francuskiemu systemowi wyborczemu. I praktykowanej przez dekady zasadzie „republikańskiej zapory", która w tym roku okazała się całkowicie nieszczelna.

Bat na komunistów

Obecna V Republika narodziła się w 1958 r., gdy gen. Charles de Gaulle, sfrustrowany chaosem i parlamentarnymi przepychankami powojennych lat, postanowił wprowadzić w kraju ustrój skupiający władzę wokół silnego prezydenta. Warunkiem nowego porządku stało się ukrócenie parlamentarnego rozdrobnienia, a środkiem do tego celu – jednomandatowe okręgi wyborcze. Ta teoretycznie najprostsza ordynacja została jednak we Francji skomplikowana. Nie tak jak Brytyjczycy czy Anerykanie, Francuzi wybierają posłów w JOW-ach nie w jednej, a w dwóch turach.

System wygląda w ten sposób – jeśli któryś z kandydatów w danym

Marine Le Pen z Emmanuelem Macronem po rozmowach 21 czerwca 2022 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 927e76a9e7

okręgu już w pierwszej turze otrzyma ponad 50% głosów odpowiadających co najmniej 25% liczby wszystkich zarejestrowanych wyborców, dostaje się bezpośrednio do parlamentu. Jeśli nie, co zdarza się dużo częściej, konieczna jest druga tura. Wchodzą do niej ci kandydaci, którzy w pierwszej otrzymali co najmniej tyle głosów, ile wynosi jedna ósma liczby zarejestrowanych wyborców w okręgu, lub dwóch kandydatów z najwyższymi wynikami. Teoretycznie w drugiej turze mogłoby zatem być nawet ośmiu pretendentów do mandatu, jednak w praktyce niezwykle rzadko zdarza się, by było ich więcej niż trzech, a w ogromnej większości drugie tury to po prostu pojedynki.

Ten skomplikowany system miał dla de Gaulle'a ważną zaletę – praktycznie eliminował z parlamentu komunistów, którzy cieszyli się wtedy we Francji wysokim, niemal 20-procentowym poparciem. Ich kandydaci, nawet jeśli uzyskiwali największą liczbę głosów w pierwszej turze, w drugiej musieli się mierzyć ze zjednoczonymi siłami swoich przeciwników i ostatecznie zazwyczaj nie zdobywali mandatów.

Gdy w XXI w. w siłę urosła skrajna prawica – najpierw pod przywództwem Jeana-Marie Le Pena, a potem jego córki Marine – parlamentarna ordynacja zadziałała przeciwko niej. Reszta francuskiej klasy politycznej stosowała się do zasady nazywanej „zaporą" lub „frontem" republikańskim – jeśli w grę wchodziło gdzieś zwycięstwo lepenistów, należało odłożyć na bok własne spory i poprzeć jednego kandydata, by zapobiec wygranej nacjonalistów. Skrajna prawica była konsekwentnie otaczana „kordonem sanitarnym".

Tak też miało się stać w tym roku. Choć Zjednoczenie Narodowe w pierwszej turze wyborów parlamentarnych zdobyło ponad 18% głosów, renomowane instytuty w przewidywaniach dawały im zaledwie od 20 do 45 mandatów po drugiej turze. Szacunki te okazały się całkowicie nietrafione, a francuskie media od razu po zakończeniu głosowania zaczęły ogłaszać śmierć „republikańskiej zapory".

Bez solidarności

Co więc poszło nie tak? Paradoksalnie Zjednoczeniu Narodowemu pomogło to, że w ostatnich tygodniach pozostawało nieco na uboczu publicznej uwagi. Tegoroczną kampanię zdominowało starcie obozu prezydenta Emmanuela Macrona występującego pod szyldem La République en Marche (LREM) i szerokiej koalicji NUPES, dowodzonej przez charyzmatycznego, skrajnie lewicowego Jeana-Luca Mélenchona.

Le Pen skupiła się na prezentowaniu konsekwencji, jakie dla Francuzów mogą przynieść sankcje nałożone na Rosję.

71-letni Mélenchon, który w kwietniu otarł się o drugą turę wyborów prezydenckich, buńczucznie zapowiadał zdobycie większości i obsadzał się w roli premiera, z którym będzie musiał kohabitować Macron. Sondaże wcale nie wykluczały takiej możliwości, więc proprezydencki obóz swoje najcięższe armaty skierował właśnie w stronę lewicy.

Pierwsza tura przyniosła rozstrzygnięcie jedynie w pięciu z 577 JOW-ów. W pozostałych potrzebne były dogrywki. Tam, gdzie naprzeciwko siebie stanęli kandydaci Razem! i skrajnej prawicy, lewica wbrew zaciekłej niechęci do Macrona, wzywała do głosowania na tych pierwszych, zgodnie z zasadą „republikańskiej zapory". Jednak w okręgach, gdzie doszło do starcia NUPES z nacjonalistami, z wzajemnością bywało różnie.

Dobrym przykładem jest historia z departamentu Allier w centralnej Francji. W pierwszej turze niespodziewanie odpadała tam dotychczasowa deputowana Laurence Vanceunebrock z prezydenckiego LREM. Na placu boju pozostała dwójka politycznych nowicjuszy: 25-letnia komiczka Louise Héritier z NUPES i 29-letni kurier Jorys Bovet ze Zjednoczenia Narodowego. Rozgoryczona Vacneunebrock rzuciła, że „ludzie będą musieli wybierać między dżumą a cholerą, bo obie skrajności są niebezpieczne dla naszej demokracji", tym samym jednoznacznie wyłamując się z solidarności „frontu republikańskiego". W drugiej turze wygrał Bovet z minimalną przewagą 140 głosów nad Héritier. – To niespodzianka dla wszystkich, a najbardziej dla mnie samego – mówił zaskoczony 29-latek tuż po ogłoszeniu wyniku.

Liderzy lewicy odpowiedzialnością za historyczny sukces nacjonalistów szybko obarczyli obóz Macrona. – To porażka moralna ugrupowania prezydenckiego – grzmiał chwilę po ogłoszeniu wyników Jean-Luc Mélenchon i wskazywał, że „nauczyciele macronizmu nie byli w stanie dać jasnych wskazówek wyborczych w 51 okręgach", w których NUPES mierzył się ze Zjednoczeniem Narodowym. Jak sprawdzili dziennikarze „Le Monde", Mélenchon przesadził – na 61 okręgów, w których doszło do pojedynków lewica-skrajna prawica, w 16 kandydaci Macrona wzywali do głosowania na NUPES, a w kolejnych 16 odradzali głosowanie na Zjednoczenie Narodowe. Jednak w pozostałych 27 rzeczywiście nie dali swoim zwolennikom wytycznych lub zachęcali ich do oddania pustego głosu.

Głęboką erozję „frontu republikańskiego" dobitnie pokazuje sondaż Ipsos. Gdy wyborcy LREM mieli w drugiej turze wybór między kandydatami NUPES i Zjednoczenia Narodowego, w 72% przypadków zostawali w domu lub oddawali nieważny głos, a 12% z nich decydowało się nawet na poparcie lepenistów. Jeszcze mniej zasadą „zapory" przejmowali się zwolennicy tradycyjnej, gaullistowskiej prawicy z partii Republikanie. 53% z nich postawionych przed wyborem między lewicą a nacjonalistami nie głosowało wcale, a 35% wolało poprzeć kandydata Marine Le Pen. Wyborcy NUPES – mimo deklaracji liderów – również nie wykazali lojalności wobec „kordonu sanitarnego". Prawie połowa z nich wolała zostać w domu niż głosować na kandydata z obozu Macrona, by zamknąć drogę do elekcji skrajnej prawicy. Ci, którzy poszli do urn, częściej wybierali Zjednoczenie Narodowe niż LREM.

eprasa.pl 927e76a9e7

Wyciszona prorosyjskość

Wybory 20 czerwca potwierdzają skuteczność długofalowej strategii „dediabolizacji", którą obrała Marine Le Pen, gdy w 2011 r. przejęła stery partii od swojego ojca. Chcąc skruszyć „zaporę" trzymającą ugrupowanie na marginesie polityki, konsekwentnie walczyła z wizerunkiem ekstremistów i przedstawiała partię jako formację „zdrowego rozsądku" zwykłych Francuzów. Odeszła od antysemickiej retoryki Jeana-Marie Le Pena i wybielania kolaborującego z Hitlerem reżimu Vichy. Zmieniła nazwę partii ze źle kojarzącego się Frontu Narodowego na Zjednoczenie Narodowe. Starała się trzymać w ryzach otwarcie rasistowskie zapędy niektórych działaczy. Wolała mówić o poprawie bezpieczeństwa, ukróceniu imigracji i walce z radykalnym islamem. Czyli o tym, o czym w ostatnich latach rozprawiali wszyscy, szczególnie po zamachach z 2015 i 2016 r. Le Pen mogła obserwować, jak tradycyjna prawica, a nawet centrum i socjaliści, przejmują jej retorykę i powtarzać: „a nie mówiłam".

Macron, który zapowiadał śmiałe reformy, będzie skazany na polityczne targi i szukanie poparcia dla każdej ustawy.

Swoim bastionem uczyniła północno-wschodnią Francję, w której po wycofaniu się przemysłu pozostały bezrobocie, frustracja i brak perspektyw. Jej antyunijna i antyliberalna retoryka trafiła na podatny grunt. Wskazywała winnych – globalizację i kosmopolityczne paryskie elity, których doskonałym ucieleśnieniem stał się eksbankier Macron. Sama z powodzeniem startowała w Nord-Pas-de-Calais, regionie boleśnie dotkniętym przez upadek górnictwa oraz przemysłu metalurgicznego i tekstylnego.

W wyborczym sukcesie nie przeszkodziła jej inwazja Rosji na Ukrainę i prokremlowskie poglądy. – Francuzi postrzegają wojnę rosyjsko-ukraińską przede wszystkim przez pryzmat własnych problemów. Interesuje ich, na ile spowoduje ona wzrost kosztów życia, w szczególności cen energii i żywności – mówi dr Łukasz Maślanka, analityk do spraw Francji w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. – Marine Le Pen skupiała się w kampanii właśnie na tych elementach. Sprawnie porzuciła prorosyjskie akcenty, których przed wojną nie brakowało. Wcześniej kwestionowała nielegalność aneksji Krymu i uznawała półwysep za odwiecznie rosyjski, spotykała się z Putinem, wysyłała nawet sygnały, że ustrój rosyjski może być lepszy od zachodniego. Po 24 lutego porzuciła tę retorykę i skupiła się na prezentowaniu konsekwencji, jakie dla Francuzów mogą przynieść sankcje nałożone na Rosję. Mówiła, że potępia agresję na Ukrainę, ale nie chce, żeby karanie Rosji odbyło się kosztem poziomu życia Francuzów.

Miliony z budżetu

Rekordowy wynik skrajnej prawicy to tylko część politycznego trzęsienia ziemi, do którego doszło 20 czerwca. Kolejnym zaskoczeniem jest utrata większości parlamentarnej przez obóz Macrona. Prezydencka koalicja, choć uzyskała w wyborach najwyższy wynik, będzie miała tylko 245 deputowanych, czyli o ponad 100 mniej niż w poprzedniej kadencji. Do bezwzględnej większości brakuje jej 44 mandatów i wydaje się mało prawdopodobne, by macronistom udało się podkupić tak dużą liczbę opozycyjnych posłów. Prezydent, który dopiero co zapowiadał śmiałe reformy, będzie skazany na polityczne targi i karkołomne szukanie poparcia dla każdej ustawy z osobna. Francuskie media już w wyborczy wieczór zaczęły wieszczyć paraliż rządu, twierdząc, że krajem nie da się w ten sposób rządzić. Pojawiły się spekulacje, że Macron może skorzystać ze swojej prerogatywy i szybko rozwiązać parlament, próbując poprawić wynik w przyśpieszonych wyborach.

Drugi rezultat w wyborach uzyskała lewicowa NUPES, która obejmie 131 miejsc w parlamencie. Nie oznacza to jednak, że będzie największą opozycyjną siłą. Mniejsi partnerzy w koalicji – zieloni, socjaliści i komuniści – odrzucili apel Mélenchona, by utworzyć wspólny blok w parlamencie i zapowiedzieli powołanie własnych klubów. W tej sytuacji to właśnie Zjednoczenie Narodowe, które poszło do wyborów bez koalicjantów, będzie największą opozycyjną grupą. Stanięcie na jej czele zapowiedziała już Marine Le Pen.

Skrajna prawica uzyska bezprecedensowy dostęp do parlamentarnych przywilejów. Do tej pory, z ośmiorgiem deputowanych, pozostawała praktycznie niewidoczna. Teraz będzie mogła obsadzić stanowisko wiceprzewodniczącego parlamentu i kluczowe fotele w komisjach, wpływać na porządek obrad i grać pierwsze skrzypce w debatach.

Wyborczy sukces oznacza też potężny zastrzyk pieniędzy. Zjednoczenie Narodowe co roku otrzyma na swoją działalność z publicznych środków ok. 10 mln euro dotacji i diet dla deputowanych. Kwota ta powinna pozwolić na uregulowanie niesławnej pożyczki zaciągniętej w 2014 r. w powiązanym z Kremlem banku. Moskiewskie pieniądze ciągnęły się za Le Pen od lat. W ostatniej debacie prezydenckiej Macron wypominał jej, że gdy „rozmawia z Rosją, rozmawia ze swoim bankierem". Teraz prawdopodobnie uda jej się uwolnić od zobowiązania. Skarbnik jej ugrupowania już zapowiedział, że „będziemy mogli bardzo szybko spłacić tę pożyczkę ".

Zaskakujący wynik skrajnej prawicy może budzić obawy o zmianę polityki Paryża na bardziej sprzyjającą Kremlowi. Sprawy zagraniczne należą jednak do prezydenta i rządu, a parlament ma na nie niewielki wpływ. Dr Łukasz Maślanka przewiduje, że obecny gabinet utrzyma się przy władzy mimo braku większości, a kurs w polityce zagranicznej zostanie utrzymany. – Natomiast Macron będzie brał pod uwagę, że w parlamencie jest prawie 90 deputowanych nacjonalistycznych i 80 deputowanych skrajnej lewicy, która jest niechętna NATO, USA i Unii Europejskiej. Być może w swojej retoryce będzie silniej podkreślał te elementy polityki, które mówią o suwerenności Francji, a także prorosyjskie akcenty.

Marcin Terlik

eprasa.pl 927e76a9e7

Wizyta prezydenta Bidena w Rijadzie oznacza rehabilitację księcia Muhammada ibn Salmana.

Jakub Dymek

Wizyta w cieniu krwawych interesów

Czy Biden wróci z Bliskiego Wschodu z Pokojową Nagrodą Nobla, czy z pustymi rękami?

Prezydent Biden obiecał izolować tego przywódcę i uczynić z niego „pariasa, jakim jest". Zerwał umowy na dostawy broni, odmówił spotkania i choćby uprzejmego gestu. Szykowała się chłodna noc dyplomatycznych relacji. I nie, nie chodzi o Władimira Putina po 24 lutego. Mowa o księciu Muhammadzie ibn Salmanie, następcy tronu i faktycznym przywódcy Arabii Saudyjskiej, zwanym dla wygody MBS. W kampanii wyborczej prezydent – a wówczas kandydat – Biden obiecywał surowe ukaranie arabskiego petromocarstwa i wieloletniego sojusznika USA. A jego młodej głowy państwa w szczególności. I do niedawna rzeczywiście tak było, a relacje między dwoma państwami i ich przywódcami spadły na niespodziewanie niski poziom.

Dziś jednak Waszyngton ogłasza, że prezydent Biden poleci w lipcu 2022 r. do Arabii Saudyjskiej, a rehabilitacja MBS-a stanie się faktem. Co się stało? I dlaczego Waszyngton realizuje już trzeci scenariusz w relacjach z królestwem w ciągu niewiele ponad trzech lat? Czy w ociepleniu między Rijadem i Waszyngtonem chodzi o dwustronne relacje obu tych stolic, czy może o coś jeszcze?

Morderca w skórze reformatora

Zacząć wypada od izolacji Arabii Saudyjskiej przez administrację Bidena. Powody były dwa, choć związane ze sobą. W 2018 r. w konsulacie Arabii Saudyjskiej w Turcji pojmany, zamordowany i poćwiartowany został Dżamal Chaszukdżi, który w tamtym czasie był publicystą amerykańskiego „The Washington Post". Trwają spory, czy Chaszukdżi był tylko dziennikarzem i opozycjonistą z prominentnej rodziny, czy zaszedł za skórę władzom królestwa z innych powodów, bo poza pisaniem parał się czymś jeszcze. To jednak drugorzędne. Faktem jest, że w tamtym czasie legalnie pracował i mieszkał w USA, często zabierając głos publicznie. Amerykanów, a media w szczególności, rozwścieczył więc fakt, że sojusznik USA, nie oglądając się na nic, postanawia zlecić brutalne zamordowanie współpracownika waszyngtońskiej gazety. A podejrzenia szybko padły nawet nie tyle na służby specjalne królestwa, ile na młodego MBS-a – wkrótce potem wywiad Wielkiej Brytanii i amerykańskie CIA

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 927e76a9e7

zaczęły dowodzić, że to on właśnie stał za zleceniem morderstwa. To powód numer jeden. Biden obiecał odciąć się od mordercy udającego reformatora i ignorować go (a więc upokorzyć) w oczach świata.

Drugi powód ściśle łączy się z pierwszym. Dokładnie odwrotnie bowiem zachował się wówczas urzędujący amerykański prezydent Donald Trump. Nie tylko odmówił potępienia MBS-a, ale publicznie i bez zażenowania powiedział, że stoją za tym pieniądze. – Saudowie kupują amerykańską broń – tłumaczył dziennikarzom – więc pozbywanie się tak szczodrego partnera handlowego nie leży w interesie USA. Szczególnie że – kontynuował prezydent – my też kupujemy od nich ropę. Relacje między rodziną Trumpów a królewskim dworem były bliskie do granic obsceniczności. W 2018 r. portal śledczy The Intercept donosił, że saudyjski książę przechwala się, że ma zięcia i bliskiego doradcę Trumpa, Jareda Kushnera, „w kieszeni". W kwietniu tego roku amerykańska prasa ujawniła, że firma Kushnera została zasilona inwestycją z Arabii Saudyjskiej w wysokości 2 mld dol.! Sprawę pod kątem korupcji i kupowania wpływów politycznych chce teraz zbadać amerykański Kongres.

Wróćmy jednak do kadencji Trumpa. Demokraci, wówczas partia w opozycji, i media grzmiały z oburzenia. Choć – jak przytomnie zauważył niedawno dziennikarz i laureat Pulitzera Glenn Greenwald – Trump nie zrobił niczego, czego w relacji z Arabią Saudyjską nie robiły wszystkie poprzednie rządy. Przymknął oczy na łamanie praw człowieka i oczywistą brutalność rządzących tam monarchów w zamian za obietnice taniej ropy, inwestowania w amerykańską walutę i obligacje skarbowe oraz nieprzerwany strumień zamówień zbrojeniowych. Trump był tylko bardziej bezczelny (i szczery).

Ale skoro zrobił to Trump, to demokraci postanowili obiecać kompletne odwrócenie kursu. Potępiając przy okazji „umizgiwanie się do morderców i dyktatorów" lokatora Białego Domu. Biden powiedział, że Saudowie „jeszcze zapłacą" za swoje. Rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana. Być może teraz to Biden zapłaci Saudom.

Obietnice i interesy

Początek kadencji prezydenta Bidena wskazywał, że być może głowa państwa wytrzyma w swoim postanowieniu i utrzyma kurs wobec Arabii Saudyjskiej. Aż przyszedł 24 lutego 2022 r. i inwazja na Ukrainę. Choć uczciwość nakazuje powiedzieć, że to najdramatyczniejszy, ale zarazem tylko jeden z kilku kryzysów, które mogą zmusić Waszyngton do pogodzenia się z Rijadem.

Prezydent Biden obiecał izolować faktycznego przywódcę Arabii Saudyjskiej i uczynić z niego „pariasa, jakim jest".

Wskutek wojny, europejskich sankcji i zwiększonego zapotrzebowania na paliwa ceny ropy na światowych rynkach wyskoczyły w górę. Cały świat boryka się z wysokimi kosztami energii dla przemysłu i benzyny dla zwykłych konsumentów, a Rosja i inni producenci energii zarabiają krocie. Wśród nich oczywiście Arabia Saudyjska, jeden z największych eksporterów ropy na świecie. Jak przypomniał niedawno Javier Blas, czołowy reporter do spraw rynków energii w Bloombergu, już w marcu państwo księcia ibn Salmana na eksporcie ropy zarabiało miliard dolarów dziennie. Dziś może to być nawet więcej.

Gdyby Saudowie zechcieli pomóc światu zachodniemu w jego ekonomicznej wojnie z Rosją, mogliby zwiększyć produkcję ropy – jak to niejednokrotnie w przeszłości na prośbę USA robili. Ceny na światowych rynkach by spadły, co pomogłoby też spowolnić wzrost cen i wskaźników inflacji. Ale tego nie robią, bo z Rosją – i innymi producentami surowca – łączy ich porozumienie OPEC+. I do tej pory przedstawiciele władzy w Rijadzie sygnalizowali solidarność z innymi producentami i nie reagowali na coraz głośniejsze żądania wysuwane przez Europę i Waszyngton. „Chcecie ropę? To bierzcie ją sobie z powrotem od naszych kolegów z Rosji", zdawali się mówić zachodniemu światu. Cytowany już tutaj portal The Intercept donosił, że przywódcy Arabii Saudyjskiej (i sąsiednich Zjednoczonych Emiratów Arabskich) wprost nie odbierają telefonów od prezydenta Bidena, czym odpłacają mu się za wcześniejsze groźby upokorzenia ibn Salmana. Teraz oni upokarzają jego, czekając aż do Białego Domu wróci być może w 2024 r. Trump.

Zatem, jak od lutego grzmią lewicowi krytycy amerykańskiej polityki, przez sojuszników USA jesteśmy w podwójnie złym położeniu. Nie chcemy brać ropy od Rosji ze względu na wojnę, więc jesteśmy na łasce Saudów, którzy sami prowadzą wojny, a przy tym swoją polityką zwiększają zyski Putina, czy nam się to podoba, czy nie. Bo choć dziś Biden krytykuje Arabię Saudyjską, to gdy urzędował w Białym Domu w 2015 r. jako wiceprezydent u Obamy, Waszyngton wsparł interwencję zbrojną Arabii Saudyjskiej w sąsiednim Jemenie. Wojna domowa w tym najbiedniejszym państwie arabskim przerodziła się w ciągu lat w – jak pisały agencje ONZ – „największy humanitarny kryzys na świecie" i jedną z największych rzezi cywilów. Jak ujawnił właśnie „Washington Post" – ten sam, do którego pisał Chaszukdżi – Amerykanie przez ten czas szkolili, wspierali logistycznie i zbrojeniowo eskadry myśliwców i ich pilotów, którzy mieli dopuszczać się zbrodni wojennych, w tym ataków na szpitale i cywilów.

Skąd tak wielkie zainteresowanie Arabii Saudyjskiej Jemenem? Wojnę toczą tam między sobą sojusznicy Iranu i Saudów, więc w grę wchodzą religijne i etniczne podziały, ale chodzi też o to, że ataki rakietowe dozbrajanych przez Iran Hutich z północy Jemenu potrafią sięgać już saudyjskich instalacji naftowych. Jak mówią dyplomaci, to z kolei doprowadza do szału Rijad, który oczekiwał, że USA natychmiast staną w obronie Arabii Saudyjskiej i wyślą ogromne siły na pomoc. To, jak wiemy, się nie stało. Ale w sąsiedztwie przygląda się temu również Izrael, który tym bardziej

eprasa.pl 927e76a9e7

obawia się ruchów Iranu. Państwo ajatollahów pracuje przecież nad własną bombą atomową, bo Trump zerwał – tak czy inaczej krytykowane przez Tel-Awiw – porozumienie z Iranem. Napięcie rośnie, a w tej atmosferze Biden nie może dłużej odwlekać wizyty na Bliskim Wschodzie.

Sprawy ważne i ważniejsze

Czy Biden musi wznowić dobre relacje z Arabią Saudyjską? To już trochę bezprzedmiotowe pytanie. Sama wizyta jest znakiem, że to się stanie. Ciekawsze jest, dlaczego to robi. Z europejskiej perspektywy mamy prawo liczyć, że jedzie tam po to, aby wymusić na Arabii Saudyjskiej lub wyprosić obniżenie cen ropy. Patrząc z perspektywy regionalnej, można mieć nadzieję, że spróbuje zachęcić Rijad do uszanowania wynegocjowanego pod auspicjami ONZ rozejmu w Jemenie i powstrzymania się od dalszej eskalacji konfliktu. A do tego, że przyśpieszy proces normalizacji stosunków między Saudami i Izraelem, których łączy przecież wspólny rywal w postaci Iranu. To byłoby zaś kontynuacją polityki Trumpa i jego szefa dyplomacji, Mike'a Pompeo, który budowaniu antyirańskiej koalicji poświęcił najwięcej wysiłku i zasobów. Inni dodają też, że jedzie uzyskać jakąś (pytanie: ile wartą?) deklarację, że „nie będzie drugiego Chaszukdżiego".

Jednak to, co z naszej perspektywy najważniejsze, że Biden uzyska w Rijadzie pomoc w przezwyciężeniu inflacji i ekonomicznych kosztów sankcji na Rosję, jest najmniej prawdopodobne. Najpierw Daniel Yergin, ekspert od energii i geopolityki, brutalnie przypomniał, że Arabia Saudyjska ze względu na różne techniczne przeszkody w światowym łańcuchu produkcji paliw nie może w tym momencie specjalnie pomóc USA. A więc tym bardziej Europie. Potem jego słowa wprost potwierdził Biden – mówiąc dziennikarzom, że w tej wizycie „nie chodzi o ceny energii". Jeśli jednak nie o to, to o co?

O bezpieczeństwo Izraela, odciągnięcie Arabii Saudyjskiej od pogłębiania technologicznych i wojskowych relacji z Rosją i Chinami, domknięcie budowy antyirańskiej koalicji. Po co? Żeby region, jak tłumaczy na stronach magazynu „The Atlantic" były współpracownik Obamy i Bidena Andrew Exum, sam zajął się irańskim zagrożeniem w razie fiaska rozmów z Teheranem. A Stany wróciły do geopolitycznej rywalizacji z Rosją (jako mniejszym) i Chinami (jako podstawowym) przeciwnikiem. „Biden poświęca swoje wartości, by do polityki USA wrócił realizm", obwieszcza Exum. Ten sam realizm, z którym Biden miał zerwać i z jakim do pewnego stopnia rzeczywiście w sprawie Rosji i Ukrainy publicznie się pożegnał. Są jednak sprawy ważne i ważniejsze.

Liczba i lista „pariasów" w amerykańskiej polityce pozostaje niezmienna – wszedł na nią Putin, ale właśnie spada z niej ibn Salman. Czy na tym rachunku skorzystają zwykli Amerykanie, Polacy, Ukraińcy albo nieszczęśni Jemeńczycy, dopiero przyjdzie nam się przekonać. Na razie notowania Arabii Saudyjskiej idą w górę. Niestety dla reszty świata słupki inflacji i ceny benzyny również.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 927e76a9e7

Subkontynent spalony słońcem

Fale upałów, które dewastują Indie, przestały dla kogokolwiek być anomalią

Mateusz Mazzini

W ubiegłym miesiącu średnia maksymalna temperatura w New Delhi wynosiła 40,1 st. C. 15 maja padł rekord absolutny, termometry zbliżyły się do granicy 50 st.: dwie położone na południu miasta stacje meteorologiczne odnotowały odpowiednio 49,1 i 49,2 st. Upał nie był zresztą tylko problemem stolicy, bo w tym czasie mapa pogodowa całego kraju wyglądała jak satelitarne zdjęcie powierzchni Marsa. Poszczególne części subkontynentu różniły się od siebie tylko poziomem intensywności koloru czerwonego, niekiedy przechodzącego w brązowy. W ten sposób oznacza się w meteorologii temperatury wysokie i bardzo wysokie. Przez właściwie cały maj dla mieszkańców Indii właśnie takie warunki klimatyczne były normą.

Już same przytoczone dane mogą szokować. Zwłaszcza że średnia minimalna temperatura w tym czasie nie schodziła poniżej 26 st. Nie to jednak jest najbardziej przerażającym elementem nowej klimatycznej rzeczywistości subkontynentu. Maj, choć wyjęty rodem z piekieł, był i tak pod tym względem miesiącem chłodniejszym od kwietnia. W tym czasie aż 56 razy odnotowano w Indiach temperaturę powyżej 45 st., czyli pułap formalnie uznawany za początek tzw. *heatwave*, fali gorąca, zjawiska pogodowego o charakterze ekstremalnym, wymagającym rządowej interwencji. Od kiedy prowadzone są tego typu pomiary, liczba tak wysokich temperatur w kwietniu nie zdarzyła się nigdy. Dla porównania, równo trzy lata wcześniej wynosiła ona 37 st. W dodatku goręcej robi się dosłownie wszędzie w kraju. W 2019 r. przynajmniej jeden dzień powyżej 45 st. odnotowało 13 stacji meteorologicznych, w tym roku było ich już 25. Biorąc pod uwagę, że wszystkich punktów pomiarowych jest łącznie 204, oznacza to, że więcej niż co dziesiąty z nich przeszedł dwa miesiące temu przez falę gorąca.

Wreszcie powagę sytuacji odzwierciedlały również decyzje władz, zwłaszcza stanowych. Aż 146 razy ogłaszały one stan kryzysowy, wydając ostrzeżenia przed upałami i reorganizując życie swoich obywateli na różne sposoby. Jedynie w 2010 r., takich kroków podjęto więcej (aż 404 razy).

Nowa norma

Tyle mówią liczby. A co oznaczają one dla codziennego życia mieszkańców największej demokracji świata? Po pierwsze, gigantyczny

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 927e76a9e7

zastój gospodarczy. Najczęstszym ruchem ze strony administracji publicznej w reakcji na ogromne upały były bowiem nakazy całkowitego zawieszenia jakiejkolwiek aktywności, w tym zawodowej, w godzinach największego gorąca. Wstrzymywano więc lekcje w szkołach, wykłady na uczelniach, prace na budowach. W Indiach, kraju gospodarki nieformalnej, w którym królują zawody uliczne, a setki milionów robotników utrzymuje się z prac dorywczych, dla wielu takie dyrektywy oznaczały katastrofę, choć nie klimatyczną, ale finansową. Zakaz prac fizycznych oznaczał zero przychodów. Do tego brak możliwości kupienia jedzenia, nie mówiąc o tak potrzebnej w tych warunkach wodzie. W niektórych częściach kraju zaczęto też racjonować energię elektryczną, więc nawet indyjska klasa średnia mogła zapomnieć o luksusie całodobowej klimatyzacji. W Mumbaju, Kalkucie i innych większych miastach władze apelowały, by używać jej tylko przez dwie, maksymalnie trzy godziny dziennie. Nietrudno sobie jednak wyobrazić, że apele te niespecjalnie kogokolwiek obchodziły.

W maju średnia maksymalna temperatura w New Delhi wynosiła 40,1 st. C.

Na tym właściwie tekst o fali upałów w Indiach można by zakończyć. Dodać jeszcze kilka statystyk, spisać je jak w typowym alarmistycznym artykule o katastrofie klimatycznej. Ot, wydarzyło się kolejne zjawisko z natury ekstremalnych, ale powoli już się kończy, można przejść nad tym do porządku dziennego. Problem w tym, że do tego, co w pierwszej połowie 2022 r. dzieje się w Indiach, słowo ekstremalny pasuje już coraz mniej. Wręcz przeciwnie, prognozy pogody, które jeszcze kilka miesięcy temu – bo nawet nie lat – należały do tych zwiastujących katastrofę, dzisiaj stają się absolutną normą.

W kraju gospodarki nieformalnej, w którym królują zawody uliczne, zakaz pracy z powodu gorąca oznaczał katastrofę finansową.

Już teraz wiadomo, że będzie coraz cieplej. Według projekcji indyjskiego ministerstwa ds. środowiska i nauk o ziemi częstotliwość fal gorąca wzrośnie do 2,5 fali rocznie już ok. 2045 r. Zanim bieżące stulecie się zakończy, przez subkontynent przetaczać się będą co najmniej trzy takie fale. Prawdopodobnie dłuższe i bardziej intensywne. Możliwe, że na mapach pogodowych całe Indie zostaną pomalowane na ciemnobrązowo.

W kontekście wydarzeń z kwietnia i maja być może brzmi to logicznie. Ale warto przypomnieć sobie cały geograficzny i klimatyczny kontekst, w którym funkcjonują Indie. To kraj, którego rozciągłość równoleżnikowa wynosi ponad 2800 km, a dostępne strefy klimatyczne uwzględniają zarówno tropik zwrotników, jak i długimi miesiącami chłodne podzwrotnikowe obszary u podnóża Himalajów.

O samym masywie górskim również nie można zapomnieć, bo przecież Indie to też lodowce zasilające rzeki. Te mające swoje źródła w Hindukuszu zapewniają wodę do picia, gotowania i używania w gospodarce dla ponad półtora miliarda ludzi w kilku krajach, nie tylko w samych Indiach. Upały jednak dochodzą i tam. Uwalniając przy tym inną niszczycielską siłę – powodzie.

Topnieją lodowce, ludzie migrują

Fala gorąca z kwietnia, która dotarła też do sąsiedniego Pakistanu, mocno osłabiła strukturę lodowca Shipsher, przez niektórych glacjologów nazywanego lodowcem dnia sądu ostatecznego. Jest on na tyle wielki, że jego całkowite roztopienie się spowodowałoby trwałe zmiany w geografii całego subkontynentu i katastrofę środowiskową mogącą zabić nawet kilkanaście milionów osób w dłuższym czasie. Przedsmak takiego scenariusza wielu mieszkańców Indii i Pakistanu doświadczyło na własnej skórze już teraz. Woda z lodowca przerwała wał wokół jeziora lodowcowego i zasiliła rzekę Hunza. Wezbrana rzeka zniszczyła historyczny wiadukt drogowy Hassanabad, jeden z najbardziej znanych elementów malowniczej Karakorum Highway, autostrady przebijającej się przez najwyższy łańcuch górski świata w kierunku Chin. Poważnie uszkodzone zostały też dwie elektrownie i setki kilometrów dróg, w tym międzypaństwowych.

To szkody relatywnie łatwe do oszacowania. Dużo trudniej mówić o zniszczeniach hektarów pól uprawnych oraz wartości zbóż i żywności, która nie zostanie wyprodukowana i sprzedana, bo podstawowe produkty zwyczajnie zgniją w zalanej ziemi.

Nie ma krzty przesady w mówieniu, że fala upałów jest śmiercionośna, zarówno w perspektywie 10, 50 czy 70 lat, jak i teraz. Doskonale ilustruje to David Wallace-Wells, publicysta „New York Timesa", jeden z najbardziej cenionych na świecie dziennikarzy zajmujących się zmianami klimatycznymi. Zauważa, że konsensus naukowy co do górnej granicy średniej dziennej temperatury pozwalającej na w miarę bezproblemowe przeżycie rodzaju ludzkiego ustanawia ją na poziomie 35 st. To tzw. temperatura mokrego termometru i odnosi się do najniższego możliwego odczytu, przy którym w panujących warunkach klimatycznych da się schłodzić ludzki organizm za pomocą procesu parowania. Tymczasem w niektórych miastach Indii, pisze Wallace-Wells, na przykład położonym tuż przy granicy z Pakistanem 200-tysięcznym Jacobabadzie, „temperatura mokrego termometru" wynosiła już 33,1 st. Granica została więc prawie przekroczona. Subkontynent oficjalnie stał się przedmurzem piekła.

To piekło klimatyczne od biblijnego różni się na szczęście tym, że można je opuścić, przynajmniej w teorii. Dlatego kolejnym wielkim,

eprasa.pl 927e76a9e7

prawdopodobnie też katastrofalnym w skutkach procesem, który wywołają fale upałów, będą migracje klimatyczne. Według szacunków ActionAid, międzynarodowej organizacji pozarządowej działającej w krajach rozwijających się najbardziej optymistyczny scenariusz zakłada, że tylko do końca bieżącej dekady z powodu problemów wywołanych zmianami klimatu swoje obecne miejsce zamieszkania opuści aż 600 tys. mieszkańców Pakistanu. Dla całego regionu subkontynentu indyjskiego i Azji Południowo-Wschodniej liczba ta wyniesie aż 62 mln osób do roku 2050. Powodem będzie nie tylko ekstremalny upał, ale też coraz częstsze powodzie, albo przeciwnie – brak dostępu do wody pitnej.

Coraz więcej osób, dodaje Wallace-Wells, będzie też migrować tymczasowo, bo o ile mieszkać na swoich terenach będą jeszcze mogli, to już uprawiać ziemię albo hodować zwierzęta – prawie w ogóle albo wcale. Będą więc poszukiwać żyznych gleb, a że te staną się towarem deficytowym, wyjadą do miast. I choć brzmi to trywialnie, w tym miejscu scenariusz katastrofy klimatycznej staje się też wybuchowy z politycznego punktu widzenia. Już raz bowiem świat przez to przechodził.

Zmiany klimatyczne wywołały suszę i kryzys rolnictwa, który z kolei uruchomił migrację, najpierw wewnętrzną, z bardziej religijnej wsi do zsekularyzowanych miast, gdzie jeśli już ktoś wierzył, to w inny odłam tej samej wiary. Tak zaczęła się wojna w Syrii, której konsekwencje rozlały się na cały Bliski Wschód i mocno zdestabilizowały Europę, do której płynęły miliony migrantów. Jeśli obraz ten przełożyć na Indie, kraj ogromnych napięć religijnych, dodatkowo podjudzanych przez nacjonalistyczno-populistyczny rząd Narendry Modiego, łatwo wyobrazić sobie wybuch społecznego niezadowolenia, który szybko może eskalować, stając się podłożem aktów agresji.

Farmerska partyzantka

Sam Modi niespecjalnie wydaje się przejmować zmianami klimatycznymi na terytorium swojego państwa. Indie pozostają jedną z najbardziej energochłonnych gospodarek świata, a udział odnawialnych źródeł w krajowym miksie energetycznym wynosi 38%. Relatywnie to dużo, ale biorąc pod uwagę sam rozmiar tamtejszego przemysłu, pozostałe 62% truje planetę w sposób trudny do wyobrażenia. W dodatku New Delhi korzysta na wojnie w Ukrainie, bo Putin wciąż dla Modiego pozostaje ważnym strategicznym partnerem. Import rosyjskiej ropy do Indii wzrósł pięciokrotnie w stosunku do końcówki ubiegłego roku, a indyjskie rafinerie skutecznie wymuszają na Rosjanach obcięcie cen o nawet jedną trzecią względem globalnych standardów rynkowych. Perspektyw na zeroemisyjność za bardzo nie ma, nawet przy szumnych zapowiedziach rządu.

Z upałami próbuje on poradzić sobie klasyczną ucieczką do przodu. Coraz częściej wśród indyjskich elit politycznych mówi się o zmianie modelu rolnictwa, które teraz miałoby funkcjonować w godzinach popołudniowych, a nawet nocnych, by uniknąć gorąca. To jednak gonienie własnego ogona, bo wszelkie tego typu innowacje pochłaniają jeszcze więcej zasobów naturalnych, przede wszystkim wody. Nie mówiąc już o konsumpcji energii elektrycznej.

Na razie farmerzy próbują radzić sobie po partyzancku. Część z nich instaluje wielkie wiatraki w oborach, co bogatsi kąpią swoje bydło w zimnej wodzie. Kryzys w produkcji żywności jest realnym zagrożeniem. Jak wynika z opublikowanych w czasopiśmie naukowym „The Lancet" badań zespołu prof. Philipa Thortona, eksperta w dziedzinie nauk o rozwoju, fale gorąca mogą zredukować ilość wypuszczanego na rynek w Indiach krowiego mleka aż o 25% – z powodu wymierania bydła, ale też pustynnienia pastwisk. Biorąc pod uwagę, że aż dwie trzecie całego nabiału na subkontynencie produkują małe gospodarstwa rolne, nietrudno przewidzieć problemy z zaopatrzeniem sklepów już w najbliższej przyszłości.

Modi zapowiedział wprawdzie dopłaty dla najmniejszych i najuboższych farmerów, ale one sytuacji nie poprawią, również dlatego, że koszty energii idą w górę, a przychody gospodarstw zżera inflacja. Innymi słowy, problemy w Indiach są dziś takie same jak wszędzie na świecie, tylko tam jest jeszcze niewyobrażalnie gorąco.

Dzisiejsze realia klimatyczne w Azji Południowo-Wschodniej są papierkiem lakmusowym dla reszty świata, uwerturą globalnego kryzysu klimatycznego, który realnie wstrząśnie życiem wszystkich mieszkańców planety. Na razie, zwłaszcza w krajach Północy, konsekwencje ocieplenia klimatu udaje się zmarginalizować albo przynajmniej opisać jako z klimatem niezwiązane. W Europie wciąż ignoruje się liczby przedwczesnych zgonów z powodu upałów, już widoczne niedobory wody i susze. Coraz wyższe ceny żywności przypisuje się inflacji, wojnie w Ukrainie, problemom politycznym. Związku ze zmianami klimatycznymi ciągle wiele osób nie chce dostrzec, wybierają odwrócenie głowy w drugą stronę. W Indiach tak już się nie da, jest na to za gorąco. A przede wszystkim – za późno. Mapa subkontynentu będzie teraz czerwona, pomarańczowa czy coraz częściej brązowa. Ale kolory te zaczną wkrótce rozlewać się poza Indie. Coraz więcej obszarów na planecie lada moment przestanie być zamieszkiwanych, przynajmniej w takiej formie życia, jaką znamy dzisiaj i tak bardzo cenimy. To już fakt, nie opinia.

Wśród elit politycznych mówi się o zmianie modelu rolnictwa, które miałoby funkcjonować w godzinach popołudniowych, a nawet nocnych, by uniknąć gorąca.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 927e76a9e7

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Dzień, w którym Jarosław się odpremierzył...

Odszedł z rządu, tylko z rządu, rzecz jasna, żeby nie było, że nas opuścił; już on nas sam z siebie nie opuści. Czy odchodzi, czy dochodzi, czy zostaje – w sumie żadna różnica. Zbawca może być tylko jeden i żadne formalne umocowania, żadne tryby, jakieś procedury bzdury jego się nie imają. Onże Prezes przepisom się nie kłaniał, nie kłania i nie będzie kłaniał. Ale tego dobra będziem strzec. Tysiące policjantów, policjantek, radiowozów wyprężonych na baczność już stanowią polityczną i historyczną zarazem ikonografię tych lat. „Tych lat" na „tej ziemi". Ale ja nie o tym, nie o nim chciałem. Chciałem o nas. Jak my, naród polski, możemy się odwdzięczyć, jak podziękować za ten dar służby państwu polskiemu, nam wszystkim, narodowi właśnie, jak się wywdzięczyć, jak się dziękczynnie odnieść do tego premierowania nie do zapomnienia i nie do zapamiętania?

Byłże Jarosław Kaczyński wicepremierem, w skrócie premierem, w czasie trudnym, gorącym, pełnym wyzwań, w czasie wojennym, w czasie nawałnicy pandemicznej, w czasie potężnych wahań bitcoina i rozwibrowań inflacyjnych. I jako wice..., pardon, premier ds. bezpieczeństwa nas przez to morze czerwone, wrogie, zawistne, śmiertelnie groźne – suchą nogą i gołą piersią, z podniesionym czołem i bez zadyszki – przeprowadził. Ukrzywdzić nie dał, obronił, osłonił, dał wytchnienie i nadzieję. Nie mówiąc prawie nic, przemówił tak potężnie. Działał w skrytości i niepostrzeżenie, nie afiszował się swoimi genialnymi analizami, zamysłami strategicznymi i wreszcie jakże trafnymi działaniami. Czynami – nie bójmy się tego słowa. To był wicepremier milczącego, wszechwładnego, ogromnego czynu. Wylewał oliwę pokoju na wzburzone fale zjednoczonej prawicy, chłodził gorące chłopackie głowy swoich ministrów, od tak drogiej mu (Brat, pamiętaj brata!) sprawiedliwości czy cudów inwestycyjnych, których zazdrości nam świat. Przypomnijmy tylko żałosny rechot z fotografii, kiedy wbijał łopatę w piach Mierzei Wiślanej! No i co? Dziś płynie tam woda, woda z morza – dodajmy. A przekopem przepłyną okręty NATO, żeby nas i innych aktywnie – jak to przywykli – bronić. A ileż było śmiechów z Centralnej Łąki Narodowej pod Centralny Port Komunikacyjny, że tyle milionów poszło na pensje, premie i kurtki tych wizjonerów przyszłości, a łąka rośnie, jak rosła. Tak czynią umysły i wargi zawistne i nienawistne. Nie docenią, choćby i świat zawył z zachwytu. A jak nie zawył jeszcze, to tylko wypatrywać, kiedy to uczyni.

I za tym wszystkim jeden człowiek. Skromny. W jednym domu mieszkający. Sam. Bez potrzeb zbytecznych, tylko te konieczne, jak ochrona za miliony rocznie. Ale nie dziwmy się, Jarosław zna swoją wartość i wie, że od tego naporu entuzjazmu społecznego mogłoby się zrobić ciasno. I niewąsko.

Jak możemy podziękować za tę partię szachów mistrzowską ze światem złym, niechętnym, szyderczliwym rozegraną? Partię bez wątpienia zwycięską, choć jej zapis pozostaje i pozostanie niedostępny. Nie ma takiego bukietu, który by był odpowiedni. Nie ma słów, nie ma nut, nie ma tylu łez. Ta wdzięczność jest tak przeogromna, że nie wiadomo nawet, czy pomnik jakiś by to uniósł. To by musiało być jak, nie przymierzając, Statua Jedności w stanie Gudźarat w Indiach ku czci Vallabhbhaia Patela, znanego jako Sardar Patel. 182 metry. A przymierzając – jeszcze coś większego, tak jak Jezus świebodziński góruje nad tym z Rio de Janeiro. Ale i to nie oddałoby skali odczuć, poza tym nie chcielibyśmy, żeby to był tylko martwy monument; chcemy, żeby było to doświadczenie tętniące prawdziwymi uczuciami, jak te podczas próby skandowania „Jarosław, Jarosław" w Sochaczewie. Ludzie w mig podchwycili cały tekst, zapamiętali i zapamiętale skandowali. To chyba coś mówi, nieprawdaż? To jest niemal tak, jakby papież nasz znowu ojczyznę nawiedził.

Śmiali się, że wywiadzie wyznał Torańskiej, że chciałby być emerytowanym zbawcą narodu. No i komu dziś do śmiechu?

I co teraz? Jak żyć? Komu zaufać? Wiemy, że Mariusz Błaszczak sroce spod ogona nie wypadł, że amerykańską broń kupować na potęgę zamierza, ale, no szczerze, tej charyzmy dobroci i obronności jak Prezes nie ma. Bo i kto mógłby mieć? To się zdarza raz, a rzadko, na dekadę, na stulecie, na tysiąclecie. I to nie we wszystkich państwach. A u nas i owszem. I Ojciec Święty tysiąclecia, i prymas, i Jarosław. Tego świat zazdrości, Putin się boi, Niemcy drżą, Francja przestępuje z nogi na nogę, królowa brytyjska cmoka z niedowierzaniem, Trump twittuje z zawiścią. A on po prostu odchodzi. Już. Wypełniło się. Dokonało. A teraz nowy odcinek, nowy front, nowy wróg. Tego w szkołach powinno się uczyć! I będzie! Szczególnie, że nauczyciele odchodzą masowo. To po prostu powinien być taki przedmiot w planie lekcji: język polski, matematyka, geografia, historia, religia i jarosław kaczyński. Co dostałeś z kaczyńskiego? Pałę. Orła białego. A jest już na maturze? A jakżeby inaczej! Ale korzyści z nauki – niewyobrażalne. Dziękujemy. Dzię-ku-jemy, że kujemy, dzięki temu dobrze jemy. Śmiali się, że wywiadzie wyznał Teresie Torańskiej, że chciałby być emerytowanym zbawcą narodu. No i komu dziś do śmiechu? A gdzie jest wrak?

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 927e76a9e7

Bogdan Galwas

Cel lewicy: państwo socjalne

Zadaniem polskiej lewicy jest zahamowanie i odwrócenie amerykanizacji modelu naszego państwa

Wojna na wschodzie Europy, pandemia, kryzys gospodarczy i inflacja są dominującymi tematami publikacji ostatnich tygodni. Jednak na łamach PRZEGLĄDU, „Trybuny" i kilku jeszcze wydawnictw lewicowych trwa dyskusja o programach i zadaniach partii lewicowych w Polsce i w Europie, przyczynach małej popularności poglądów lewicowych w naszym kraju, ocenianej poparciem, jakie Lewica otrzymuje w sondażach (zwykle poniżej 10%). Ludzie, którzy państwo i społeczeństwo oceniają kryteriami znanymi jako lewicowe, są tym bardzo zmartwieni. Doszukują się błędów w decyzjach podejmowanych przez kierownictwa partii i klubu parlamentarnego lewicy lub braku decyzji. Znajdują błędy w formułowaniu i prezentacji programów lewicowych, co czyni je mniej pociągającymi dla wyborców w porównaniu z programami innych partii. Jedni uważają, że lewica powinna bardziej zdecydowanie bronić osiągnięć PRL. Drudzy wskazują, że lewica pozostawiła ludzi pracujących samym sobie. Wszystkie wymienione tematy są ważne. Jednakże pragnę tutaj podjąć temat inny, według mnie fundamentalny. Jest to problem wpływu i udziału lewicy w tworzeniu modelu naszego państwa, które docelowo powinno być państwem socjalnym.

Więcej niż państwo opiekuńcze

Reprezentowana przez partie polityczne lewica w krajach zachodniej Europy w drugiej połowie XX w. ukształtowała w istotnym stopniu trwałe modele państwowości tych krajów. Dotyczy to krajów skandynawskich, także Niemiec, Francji, Włoch i kilku innych członków Unii Europejskiej. W rezultacie Unia przed rozpadem bloku wschodniego stała się regionem dobrobytu i dobrostanu. W opisach modeli państwowości tych krajów używa się często terminu „państwo opiekuńcze". Ja użyłem terminu „państwo socjalne", gdyż w moim rozumieniu oznacza to istotnie coś więcej niż państwo opiekuńcze.

Państwo socjalne jest jednym z przypadków możliwych zależności między społeczeństwem, państwem, sektorem finansów i gospodarką. W państwie socjalnym społeczeństwo, jest suwerenem i znajduje się na szczycie piramidy. Społeczeństwo preferując programy partii politycznych, decyduje w procesie wyborczym o celach działania całego systemu i relacjach między jego składnikami. Nie ma tu konfliktu między społeczeństwem a państwem. Społeczeństwo nie prowadzi sporów z państwem o jego uprawnienia, system podatkowy czy też prawny. Jako suweren powołuje państwo do realizacji określonych celów narzędziami i sposobami, które uznaje za stosowne, i w kolejnych wyborach rozlicza wyniki działania państwa oraz dokonuje koniecznych korekt.

We współczesnych krajach sektor finansów i gospodarka odgrywają bardzo ważną rolę. Ich stan i rozwój decydują o poziomie życia społeczeństw. Państwo socjalne w imieniu społeczeństwa sprawuje nad nimi opiekę i kontrolę. Cele, które stawiają sobie sektor finansowy i gospodarka, nie mogą być w żadnym razie sprzeczne z interesami i celami stawianymi przez społeczeństwo.

Popatrzmy na przykłady relacji społeczeństwo-państwo-gospodarka-sektor finansowy w wybranych państwach. Model z dominującą rolą państwa odnajdujemy w Chinach. Tam państwo, opierając się na jednej partii, definiuje i realizuje potrzeby społeczeństwa. Nie ulega wątpliwości, że rząd sprawuje kontrolę nad gospodarką i sektorem finansów oraz oczywiście nad społeczeństwem. Wynikiem funkcjonowania tego modelu w Chinach są ogromne wzrosty dochodu narodowego w ostatnich kilku dekadach, które zadziwiły świat. Można postawić tezę, że większość społeczeństwa akceptuje – do tej pory – powstałe relacje i skutki działania tego modelu. Singapur jest kolejnym przykładem dominującej roli państwa, które skutecznie pokierowało rozwojem gospodarki i społeczeństwa w powszechnie akceptowanym kierunku. Można jednak wymienić wiele krajów, w których dominującą rolę odgrywa państwo (np. Indonezja, Filipiny, Egipt), a których droga rozwoju jest pełna zakrętów, a tempo wzrostu gospodarki niewielkie.

O modelu demokracji w USA, uważanym za wzorcowy, napisano tysiące tomów. Wiele osób uważa jednak, że w USA dominuje sektor finansowy, a państwo jest jego narzędziem. Sektor finansowy kontroluje gospodarkę i ma istotny wpływ na poglądy społeczeństwa, a tą drogą na dokonywane wybory między nieznacznie różniącymi się programami dwóch partii. Przeciwnicy tego poglądu powiedzą, że to społeczeństwo wybiera prezydenta, Kongres i Senat, że to państwo wypowiada wojny, wysyła i wycofuje wojsko. To prawda, ale wszystko to dzieje się w polu sił sektora finansowego, który na tych działaniach zawsze wychodzi najlepiej. Pole sił sektora finansowego USA rozciąga się na prawie cały glob. W polu tym funkcjonują Unia Europejska i oczywiście Polska. Ale to już inna opowieść.

Szukając przykładów krajów, które zbudowały u siebie modele państwa socjalnego, zwracamy się w stronę

eprasa.pl 927e76a9e7

krajów skandynawskich: Danii, Szwecji, Norwegii i Finlandii. To tam społeczeństwa są suwerenem, państwo pełni rolę służebną, a gospodarka i sektor finansowy sprawnie funkcjonują w ramach stworzonych przez prawo, pod kontrolą państwa i na rzecz społeczeństwa.

Nie tylko Skandynawia

Zgodnie z przemyśleniami Adama Smitha państwo powinno wykonywać trzy zadania. Przede wszystkim państwo chroni społeczeństwo przed gwałtem lub inwazją ze strony innych państw (polityka zagraniczna, wojsko). Ma obowiązek obrony każdego obywatela przed niesprawiedliwością i uciskiem ze strony innych członków społeczeństwa, czyli obowiązek ustanowienia i ścisłego przestrzegania prawa (policja i wymiar sprawiedliwości). Ma także obowiązek utrzymania wielu ważnych i potrzebnych społeczeństwu urządzeń i instytucji publicznych, z których dochód nigdy nie pokryje kosztów ich utrzymania. Otóż w państwie socjalnym to trzecie zadanie zostało odpowiednio doprecyzowane, o wiele głębiej i szerzej niż zalecał to Smith. Zgodnie z przyjętą umową społeczną państwo tworzy i utrzymuje jednakowy dla całego społeczeństwa system ochrony zdrowia. Lata pandemii pokazały, jak istotną rolę odgrywa system ochrony zdrowia, ile wysiłku i środków kosztuje jego usprawnienie i jak ważna jest rola państwa. Państwo tworzy również i utrzymuje system edukacji od przedszkola do uniwersytetu z jednakowo otwartym dostępem dla wszystkich. To system edukacji przygotowuje kolejne generacje młodych obywateli do życia i pracy w szybko zmieniającym się świecie w czasach rewolucji technologicznej.

Oba te systemy pochłaniają znaczne środki pokrywane przez społeczeństwo w systemie podatkowym, który jest kolejnym tworem państwa. Natomiast właściwe ubezpieczenia chronią system emerytalny dla ludzi w zaawansowanym wieku, niepełnosprawnych i ofiar wypadków. Poza tym państwo socjalne odpowiada za stan infrastruktury kolejowej i drogowej, za gromadzenie, uzdatnianie i rozprowadzanie wody, usuwanie i spalanie śmieci itd. Osobnym działem, nad którym także państwu powierzono opiekę, jest kultura *(last but not least)*.

Model państwa socjalnego w wydaniu skandynawskim jest wprawdzie znany, ale nie jest popularyzowany, ma wielu przeciwników. Spotkałem wiele opinii, że jest to twór unikatowy, który mógł powstać tylko w warunkach Skandynawii. Prawda jest inna. Jeśli porównamy rozwiązania systemów edukacyjnych, ochrony zdrowia i emerytalnych w takich krajach jak Niemcy, Francja, Hiszpania czy Austria, to znajdziemy rozwiązania podobne do skandynawskich. Natomiast rozwiązania w USA są zasadniczo inne. Państwa stworzonego przez obywateli USA nie można nazwać socjalnym.

> Mimo że Skandynawia jest blisko, to wzorem dla nas stał się model amerykański, który w naszym wykonaniu staje się jego karykaturą.

Jak to jest w Polsce

Czy model naszego państwa jest zbliżony do modelu państwa socjalnego? Nie, nie jest zbliżony, a z czasem różnice rosną. Nasze państwo chętnie oddaje edukację pod opiekę samorządom, Kościołowi oraz właścicielom prywatnych szkół i uczelni. Skąpe środki przeznaczone na finasowanie systemu kształcenia skłaniają zamożnych obywateli do posyłania dzieci do szkół prywatnych i zagranicznych. W Polsce nie podjęliśmy pracy nad stworzeniem systemu kształcenia ustawicznego. Ogromne tempo rozwoju nauki zmusza wszystkich do ciągłego uzupełniania oraz aktualizacji wiedzy i umiejętności, dokształcania, a często zmiany zawodu. Problem ten nie jest dostrzegany przez państwo.

System publicznej służby zdrowia jest niedofinansowany, przeciążony i znajduje się w organizacyjnym chaosie. Państwo sprzyja przejmowaniu zadłużonych szpitali przez kapitał prywatny. Obok publicznej służby zdrowia funkcjonuje kilka struktur prywatnych, które wspomagają ten pierwszy, ale za dodatkowe opłaty. Ugruntowuje to przekonanie, że – podobnie jak w USA – wystarczy mieć pieniądze, by znaleźć dobrą szkołę i lekarza.

Do niedawna państwo rozważało, czy i jak sprywatyzować kolej, pocztę i autostrady. Ostatnie wydarzenia odsunęły te pomysły na dalszy plan. Mimo że Skandynawia jest blisko, to wzorem dla nas stał się model amerykański, który w naszym wykonaniu staje się jego karykaturą.

Mechanizmy funkcjonowania i kierowania naszym państwem są niedopracowane, a ekipy tworzące kolejne rządy wykazują rażącą nieporadność. Stan służby zdrowia, systemów edukacji i sądownictwa w ostatnim dziesięcioleciu jest tego dowodem.

Oceniając rządy aktualnej ekipy politycznej, należy zauważyć, że państwo postanowiło kształtować i modyfikować sposób myślenia i potrzeby społeczeństwa. Państwo, jego urzędnicy wraz z naczelnikiem usytuowali się na wierzchołku piramidy, a pomyślne wyniki sondaży i preferencje wyborcze są najważniejszymi celami bieżącej polityki.

Zadaniem polskiej lewicy jest zahamowanie i odwrócenie procesu amerykanizacji modelu naszego państwa, stałe i uporczywe dążenie do wprowadzania elementów państwa socjalnego. Jest to zadanie na całe pokolenie, wymagające współpracy kilku partii politycznych i oczywiście akceptacji społeczeństwa. Jest zrozumiałe, że ludzie lewicy, reprezentujący nas w Sejmie i być może w rządzie, powinni stawiać i realizować aktualne zadania, które przynosi życie. Ale długofalowa praca nad poprawą i doskonaleniem mechanizmów funkcjonowania państwa, by uczynić je socjalnym, jest i powinna być celem strategicznym.

Bogdan Galwas jest emerytowanym profesorem Politechniki Warszawskiej, członkiem Komitetu Prognoz PAN.

eprasa.pl 927e76a9e7

Potrzebujemy prawdziwej debaty na temat wojny w Ukrainie

Przekaz płynący z mediów oraz od przedstawicieli politycznego establishmentu to w większości jednostronna relacja

Katrina vanden Heuvel jest absolwentką *summa cum laude* Uniwersytetu w Princeton w zakresie studiów politycznych i wydawcą oraz współwłaścicielką „The Nation" – najstarszego wydawanego nieprzerwanie w USA tygodnika prezentującego progresywne idee, opinie i analizy w odniesieniu do sfery polityki i kultury. Skalę postępowości vanden Heuvel wyraża jej opinia z amerykańskiej kampanii wyborczej w 2016 r., kiedy oświadczyła, że Bernie Sanders „jest realistą, którego powinniśmy wybrać na prezydenta". W latach 1995-2019 była redaktorką „The Nation". Obecnie ma stałą kolumnę w „The Washington Post". Jej mężem był zmarły w 2020 r. Stephen F. Cohen – wybitny znawca Rosji, wykładowca uniwersytetów w Princeton i Nowym Jorku (obecny na łamach PRZEGLĄDU w wydaniach z 10 marca 2014 r. i 4 września 2017 r.).

Vanden Heuvel jest współautorką (wraz z mężem) opublikowanej w 1990 r. głośnej książki „Voices of Glasnost: Interviews with Gorbachev's Reformers" (Głosy Głasnosti: Wywiady z reformatorami Gorbaczowa). W 2011 r. opublikowała książkę „The Change I Believe In. Fighting for Progress in the Age of Obama" (Zmiana, w którą wierzę. Walka o postęp w dobie prezydentury Baracka Obamy). Współredagowała również z Robertem L. Borosage m.in. pracę „Taking Back America: And Taking Down the Radical Right" (Odzyskać Amerykę i obalić radykalną prawicę).

W prezentowanych fragmentach rozważań, które ukazały się w „The Washington Post" 24 maja 2022 r., domaga się poszerzenia spektrum dyskusji na temat konfliktu w Ukrainie o racjonalne argumenty stawiające pod znakiem zapytania oficjalną narrację elit politycznych Waszyngtonu. Trzeba jej oddać, że jako wydawca „The Nation" dba o takie szerokie spektrum. Przykładowo, to na łamach tego pisma znaleźć można świetnie udokumentowane analizy skrajnie prawicowych zagrożeń obecnych w przedwojennej polityce Ukrainy autorstwa Lwa Golinkina.

Katrina vanden Heuvel

Nadszedł czas, aby podać w wątpliwość ortodoksyjne spojrzenie na wojnę w Ukrainie. Ponieważ rozpoczyna się czwarty miesiąc nielegalnego i brutalnego najazdu Rosji (na Ukrainę – przyp. P.K.), jego wpływ na Europę, globalne Południe i cały świat jest już głęboki. Jesteśmy świadkami wyłaniania się nowego politycznego i militarnego światowego porządku. (…)

Im bardziej wojna w Ukrainie będzie się przeciągać, tym większe staje się zagrożenie użycia broni nuklearnej. Jest też jasne, że Stany Zjednoczone i NATO prowadzą wojnę zastępczą (*proxy war*) z Rosją, wziąwszy pod uwagę strategię administracji Joego Bidena polegającą na jej „osłabieniu", czemu służą dostawy broni, łącznie z pociskami zdolnymi zatapiać okręty wojenne, i dzielenie się danymi wywiadowczymi z Ukrainą. Czy konsekwencje, niebezpieczeństwa i wieloaspektowe koszty tej wojny zastępczej nie powinny być centralnym tematem w mediach, podobnie jak kompetentna analiza i dyskusja? Jednak przekaz płynący z mediów oraz od przedstawicieli politycznego establishmentu to w zdecydowanej większości przypadków jednostronna relacja, którą trudno nazwać debatą. To tak, jakbyśmy żyli w tym, co dziennikarz Matt Taibbi określił mianem „intelektualnej strefy zakazu lotów". Ci, którzy nie reprezentują ortodoksyjnej linii mówienia o Ukrainie, są stale wykluczani i marginalizowani przez media głównego nurtu. W rezultacie można odnieść wrażenie, że alternatywne i przeciwstawne poglądy oraz głosy nie istnieją. Czy nie byłoby rzeczą pożyteczną stykanie się z większą różnorodnością stanowisk prezentujących kontekst historyczny, a nie tylko z „odchyleniami przy generalnej zgodzie"?

Ci, którzy odnoszą się do historii i zwracają uwagę na wiodącą rolę Zachodu w ukraińskiej tragedii, nie usprawiedliwiają zbrodniczego ataku Rosji. Miarą takiego myślenia i retorycznej lub intelektualnej strefy zakazu lotów jest to, że wybitne postaci, takie jak m.in. Noam Chomsky, profesor Uniwersytetu Chicagowskiego John Mearsheimer i były ambasador USA Chas Freeman, są demonizowane albo oczerniane za podnoszenie racjonalnych argumentów i nakreślanie tak potrzebnego kontekstu służącego wyjaśnieniu podłoża tej wojny.

(…) Czy nie jest zasadne pytanie o to, czy wysyłanie Ukraińcom coraz większej ilości broni jest najmądrzejszym kursem politycznym? Czy prośba o pogłębioną dyskusję, w jaki sposób zmniejszyć niebezpieczeństwo konfliktu nuklearnego, to naprawdę zbyt wiele? Dlaczego nonkonformiści są oczerniani za zwrócenie uwagi – na podstawie niepodważalnych faktów – na rolę sił nacjonalistycznych, skrajnie prawicowych oraz, owszem, neonazistowskich w Ukrainie? Odrodzenie faszyzmu czy neonazizmu to toksyczny czynnik w wielu krajach – począwszy od Europy, na USA skończywszy. Dlaczego historia Ukrainy jest w tym kontekście ignorowana, a nawet negowana?

(…) Zakończenie obecnej wojny będzie wymagało nowego myślenia i zakwestionowania ortodoksji naszych czasów. Jak zauważył kiedyś wielki dziennikarz amerykański Walter Lippmann: „Kiedy wszyscy myślą podobnie, nikt nie myśli zbyt głęboko".

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

eprasa.pl 927e76a9e7

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Pikowanie

Omijam rządową telewizję ostrożnie, jak rozlane szambo, ale czasami przez nieuwagę wdepnę. Wystarczy sekunda zagapienia i już na czerwonym pasku TVP Info widzę napis: „Platforma Obywatelska jak Goebbels, oskarża rząd o inflację". Panicznie wyskakuję z lepkiej, śmierdzącej substancji. No proszę, zabrali nam nawet Goebbelsa, bo przecież to my ciągle propagandę pisowską porównujemy do Goebbelsowskiej. Faszystowska Rosja oskarża o faszyzm Ukrainę, to był pretekst tej wojny. Jak ktoś nie ma wiedzy i rozeznania, może się poczuć zupełnie zdezorientowany. Tacy zagubieni ludzie odsuwają się od zgłębiania prawdy albo wybierają sobie jakąś wersję, w którą wierzą bezmyślnie, jak w religię.

•

Czytam książkę „Szybciej" Jamesa Gleicka o zjawisku przyśpieszenia w naszej cywilizacji. Tak, wszystko dzieje się teraz szybciej i krócej, sceny w filmach, podróże, pranie, mierzenie gorączki, szybciej zmienia się dizajn samochodów, a chociaż prędzej biegniemy, to jednak starzejemy się jakby wolniej. Takie pośpieszenie nie jest normalne, zostaliśmy stworzeni do bardziej powolnego życia. Atakuje nas tak wiele bodźców, że przestajemy sobie dawać radę z tempem i z nadmiarem. Książka Gleicka została napisana ponad 20 lat temu i jest już trochę przestarzała, książki też szybciej się teraz starzeją. Gleick nie zdążył napisać o tym, jak przyśpieszenie powoduje podziały polityczne. Społeczności dzielą się na dwa narody. Jeden, przerażony szybkością zmian, chowa się w prawicowy konserwatyzm, drugi, liberalny, akceptuje zmiany i nastawiony jest na przyszłość. Polska jest tu dobrym przykładem, ale przecież jakoś podobnie jest choćby w Anglii, we Francji czy w Stanach.

W książce znajduję świetny cytat pochodzący od Sebastiana de Grazii: „Możesz ocenić wewnętrzne zdrowie kraju przez zdolność jego mieszkańców do nicnierobienia – do bezpiecznego dumania w łóżku, do wędrowania bez celu, do spokojnego picia kawy – ponieważ każdy, kto może nic nie robić, pozwalając swoim myślom błądzić swobodnie, musi żyć w zgodzie z samym sobą". Nas od razu zjada niepokój bądź nuda. De Grazia twierdzi, że w języku starogreckim ani w angielskim do bardzo niedawna nie było słowa nuda. Nuda, gdy się nie biegnie, to wynalazek naszej epoki.

•

Ostatnio publikowane badania religijności Polaków nie pozostawiają złudzeń, Polska gwałtownie się laicyzuje, idzie więc drogą krajów zachodnich. Jestem ateistą, ale nie wojującym, rozumiem, że człowiek stojący wobec grozy istnienia lepiej się czuje, wierząc w Boga, wymyślił go ze strachu przed istnieniem i nieistnieniem. I by jakoś wyjaśnić zagadkę życia w mroźnej pustce kosmosu na trzeciej planecie od Słońca. Ale instytucje Kościoła są grzeszne, deprawuje je władza, którą mają. Utratę wiary wyprzedzają masowe rozwody i powszechny seks przedmałżeński. Nasza kultura jest ze swojej istoty liberalna, więc ten proces będzie postępował. Na dodatek w Polsce konserwatywny Kościół kompromituje się na wiele sposobów, o czym dowiadujemy się dzięki wolnym mediom; zniewolone, czyli pisowskie, wszystko by ukryły. Teraz ujawniono, jak w Jordanowie siostry zakonne traktowały dzieci w domu opieki. Ojciec dyrektor woła, że to spisek mediów. A światowemu Kościołowi niespodziewanie dokłada papież Franciszek, którego tak lubiłem. Podpadł wszystkim, zabierając niefortunnie głos w sprawie Ukrainy, ale ujmował młodych liberalnymi poglądami. A tu niespodziewanie podtrzymuje przykazanie Kościoła, by zachować czystość przedmałżeńską. Dzisiaj to już zupełny anachronizm. Papież popiera tylko czułość przedmałżeńską. Nie radzi natomiast, jak się czulić do siebie, unikając grzechu zbliżenia. Może przytulając się, para powinna liczyć owce i barany.

> Wszystko dzieje się teraz szybciej i krócej, sceny w filmach, podróże, pranie, a chociaż prędzej biegniemy, to starzejemy się jakby wolniej.

•

Rozmawiam z bliskim mi szefem Iskier Wieśkiem Uchańskim, siedzimy w jego wielkim salonie przy placu Zbawiciela, z widokiem na nieobecną tęczę i na sam plac. Pikuje dłonią, pokazując, jak spada sprzedaż książek. Mówi, że słyszał o badaniach, z których wynika, że winna jest też pandemia, po niej ludzie nauczyli się więcej spać, a czytali książki kosztem snu. Teraz, zamiast czytać, śpią. Jakoś nie wierzę w to za bardzo. To sprawa trzeciorzędna, rzecz jest niestety bardzo prosta. Starsi, którzy powszechnie czytali, odchodzą w niebyt, ludzie w średnim wieku nie mają czasu na czytanie, biegną, a nie da się czytać w biegu. Młodzi nie czytają, nie mają nawyku. Mają inne atrakcje. Moi dwaj synkowie, lat 11 i 15, nie czytają, bo grają i oglądają filmy, a mój dorosły syn, lat 47, też prawie nie czyta, nie ma na to czasu, „Kurczą się, kurczą nasze wyspy", powiedział kiedyś Miłosz, nie przewidział, jak bardzo się skurczą.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 927e76a9e7

Tak blisko, a tak daleko

Czesi czują się częścią zjednoczonej Europy, a zatrudnienie Polki nie jest zagrożeniem dla ich tożsamości

ALICJA KNAST
– dyrektorka generalna Galerii Narodowej w Pradze

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Pani Knastova czy Knast?

– Oczywiście Czesi mówią czasem Knastova, uważam to za bardzo sympatyczne.

Polka zarządza sześcioma czeskimi obiektami historycznymi, a w nich bezcennymi narodowymi zbiorami Czechów. Czy narodowość ma tu znaczenie?

– Wyjaśnię, to trzy pałace na Hradczanach, jeden na Starym Mieście, klasztor w sercu Pragi i budynek Pałacu Targowego, którym zachwycał się Le Corbusier. Galeria Narodowa jest oczywiście bardzo ważna dla Republiki Czeskiej. Jest przedmiotem dumy nie tylko z powodu zgromadzonych dzieł sztuki, ale również znaczącego mecenatu państwowego i prywatnego, którego rezultatem jest jedna z najważniejszych kolekcji sztuki w Europie. Dla mnie to interesujące wyzwanie intelektualne, ale nie tylko. Większość ludzi tutaj nie wie, na czym polegała moja praca w Polsce i co udało mi się osiągnąć, więc nie „odcinam kuponów". Cieszę się z zaufania ludzi, ale też z możliwości głębokiego poznania tej kultury. Czesi czują się immanentną częścią zjednoczonej Europy i nie boją się, że zatrudnienie Polki zagrozi ich tożsamości. Poza tym jestem Ślązaczką. Moja prababcia urodziła się w Orłowej, to jest dzisiejsza Republika Czeska, w związku z czym dziedzictwo pogranicza na Śląsku, gdzie się wychowałam, zawiera silne akcenty czeskie. Wyraża się to m.in. obecnością wielu czechizmów w języku z okolic Radlina, którym się posługuję w rozmowach z rodziną.

Jak powstawała kolekcja obecnej Galerii Narodowej?

– Fascynuje mnie, jak w przestrzeni publicznej dostrzec można to, że energia z czasów Pierwszej Republiki Czechosłowackiej miała ogromny wpływ na dzisiejszy kształt galerii. W 1923 r. w młodej pierwszej republice, kraju stosunkowo bogatym z uwagi na rozwinięte i przemysł, i stosunki handlowe z Europą, Vincenc Kramá,

FOT. ZUZANA BÖNISCH

eprasa.pl 927e76a9e7

ówczesny dyrektor protoplastki dzisiejszej Galerii Narodowej, przekonał rząd do zakupu olbrzymiego zbioru sztuki francuskiej, by zaktualizować kolekcję o prace europejskich artystów ówcześnie żyjących. W skład kolekcji wchodzą dzieła m.in. Cézanne'a, Gaugina, van Gogha, Picassa, Pissarra, Rousseau, Sisleya, Toulouse-Lautreca czy Bourdella. Warto dodać, że takiej kolekcji w Polsce niestety nie ma. Oprócz tego mecenasi wzbogacali zbiory galerii, sprzedając lub darowując posiadane dzieła. Tak powstawała niezwykle ważna kolekcja sztuki nowożytnej. Po II wojnie światowej oczywiście gromadziło się zbiory sztuki nieco inaczej. Pokaże to ekspozycja stała, którą otwieramy w przyszłym roku, dotycząca okresu od 1939 r. aż po 2021 r. Świetnie widać na przykładzie Czechosłowacji, a później Republiki Czeskiej, jak w krajach za żelazną kurtyną wyglądało gromadzenie, badanie i prezentowanie sztuki i co się zmieniło po rewolucji w 1989 r.

Jak dużym zespołem pani zarządza?

– 180 pełnych etatów, przy czym jest to 220 osób, bo część pracuje na pół etatu. Do tego ok. 400 osób pracujących na umowę-zlecenie lub w ramach przetargów w obszarach takich jak rozwój publiczności, konserwacja, utrzymanie infrastruktury, służby ochrony, promocja czy komunikacja wizualna. Wciąż jeszcze poznaję zespół, bo poznałam go w maseczkach, więc jak ktoś kłania mi się na ulicy, to muszę się zastanawiać, kto to jest. To świetny zespół identyfikujący się z instytucją i dumny ze swojego miejsca pracy.

Czuje się już pani w Czechach, w Pradze „u siebie"?

– Jesteśmy sąsiadami, ale tak naprawdę bardzo mało się znamy, a kulturowo jesteśmy od siebie dalej, niż byśmy chcieli. Praga ciąży ku Wiedniowi, Berlinowi, Dreznu. Warszawa i Kraków to nie są kierunki dla Czechów, chyba że w sprawach biznesowych. Nie ukrywam i zawsze mówię, że nie jestem do końca osobą z tego kręgu kulturowego, co oznacza pewien plus, ponieważ jeżeli o czymś dyskutujemy w zespole, to koledzy muszą mi tłumaczyć dany fenomen „od Adama i Ewy", sytuację dobrze uargumentować. Jeśli posługują się stereotypem, muszą umieć go osadzić w kontekście. To w sensie intelektualnym jest dla mojego zespołu wyzwanie, bo muszą mi tłumaczyć siebie, swoją kulturę. Robią to z wielką cierpliwością, ale też chyba z radością i dumą.

Swoboda wypowiedzi i artystyczna wolność w Czechach jest bardzo chroniona przez media publiczne.

Czy zauważa pani różnice w podejściu do pracy w Czechach i w Polsce?

– Obowiązuje tu bardzo wysoka kultura dyskusji. Nie zdarza się, by ktoś ze mną (np. minister) czy ja z kimkolwiek pracował wyłącznie metodą wydawania poleceń. Koledzy są żywotnie zainteresowani kontekstem problemu, chcą wiedzieć, co leży u podstawy decyzji. Dzisiaj miałam Radę Dramaturgii, której zadaniem jest przedyskutowanie, jak ułożyć następstwo wystaw, w jakiej przestrzeni powinny się odbyć i jaki to wywoła skutek. W Polsce dostałabym wszystkie materiały od kolegów i zrobiłabym to sama. Tu zespół chce pracować nad jak najlepszym rozwiązaniem i ponosi też tego konsekwencje. Rzadko muszę używać swojego przywileju ostatniego słowa, najczęściej jest to konsensus. I tak jest na poziomie zarówno tej rady, jak i gremiów dotyczących budżetu, wprowadzania dzieł do inwentarza muzealnego itd. W Polsce bardzo często dyrektorzy instytucji kultury są „władcami" i do nich należy jedyne i ostatnie słowo. Mam świadomość, że idealizuję, ale zrobiłam to specjalnie. Różnica w zarządzaniu jest ogromna.

A jak wygląda strona finansowa Galerii Narodowej?

– Instytucje kultury nie mają tu tyle pieniędzy, ile w Polsce. Bardzo proszę, by dyrektorzy instytucji kultury w Polsce w mojej obecności nie narzekali na brak pieniędzy, bo ich zaproszę do Galerii Narodowej na wolontariat. Tu jest potworne niedofinansowanie. W Polsce jest mnóstwo programów operacyjnych, do których można sięgać, jest możliwość korzystania z funduszy unijnych, co nie jest możliwe w Czechach, ponieważ pieniądze na wkład własny są zaporą, w związku z czym bardzo często instytucje muszą rezygnować. My naprawdę musimy zarabiać pieniądze. Dochód z biletów jest włączany do budżetu na rok następny; wiem, że w niektórych instytucjach w Polsce jest podobnie, ale tu jest na styk, na razie żadnych oszczędności nie da się zrobić. Dochodzi olbrzymie niedofinansowanie infrastruktury. Muszę przyznać, że liczba rewitalizacji instytucji kultury w Polsce, w tym głównie muzeów, magazynów muzealnych jest bardzo duża. Tutaj nic się nie wydarzyło w tym zakresie z wielu powodów – bo wkład własny, bo konieczność zagospodarowania ogromnego dziedzictwa materialnego w postaci pałaców, domów mieszczańskich z XVIII i początków XIX w. Nie zmienia się rozlokowania wnętrz, czyli najczęściej nie ma mowy np. o windach dla osób z niepełnosprawnościami. W Polsce mamy ustawę od 2019 r., długo procedowaną, wywalczoną przez środowiska osób z niepełnosprawnościami, tutaj tego nie ma. Nakłady na remonty zabytków są duże, natomiast w Polsce buduje się od nowa z pomocą funduszy unijnych, funduszy wspieranych przez władzę lokalną, województwa, więc to

Alicja Knast – kuratorka i menedżerka, muzykolożka; była m.in. dyrektorką Muzeum Śląskiego w Katowicach i Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, dyrektorką generalną Wystawy Głównej Muzeum Historii Żydów Polskich i kuratorką Muzeum Fryderyka Chopina. Stypendystka The Metropolitan Museum w Nowym Jorku.

eprasa.pl 927e76a9e7

kolejna różnica, także w odczytaniu tej drogi po 1989 r. Widzę tę różnicę i muszę umieć z nią pracować.

Przeprowadza pani czeską narodową galerię przez wielkie wyzwania.

– Czesi widzą, że zbiór osób, które mogą być menedżerami takiej dużej instytucji, nie jest za duży i to, że wybrano właśnie mnie, wiązało się głównie z faktem, że galerię czeka wiele inwestycji, które trzeba przygotować. Jakby chciano podkreślić, że to nie jest kwestia znajomości sztuki czeskiej, tylko znajomości fachu, który polega na przeprowadzeniu instytucji przez bardzo duży proces inwestycyjny, proces zmiany i tego, co dotyczy pracy zespołu, tj. sposobu programowania.

Jesteśmy sąsiadami, ale bardzo mało się znamy, a kulturowo jesteśmy od siebie dalej, niż byśmy chcieli.

Ma pani doświadczenie, szczególnie z okresu szefowania Muzeum Śląskiemu w Katowicach.

– Robiłam to już trzy razy, wiem, z czym to się wiąże, i mam też w tym pewną swobodę. Zakończenie inwestycji w Katowicach było bardzo trudne, bo groziło niedotrzymanie terminów związanych z finansowaniem z UE, mieliśmy bardzo duże problemy z wykonaniem budynku, przekazano tę sprawę do rozstrzygnięcia przez sąd. To była olbrzymia praca, żeby doprowadzić do zdiagnozowania, kto czego nie zrobił. Budynek był projektowany i wykonywany, zanim ja objęłam stanowisko. Wiem, jak wygląda realizacja, gdzie są skróty robione przez firmy budowlane, gdzie mogą sobie nie radzić. Obecnie kończymy projekt wielkiego centrum dla kolekcji z magazynami, pracowniami konserwacji i digitalizacji. Trzeba będzie zorganizować przeprowadzkę całej kolekcji. Wiem też, że będą się pojawiały zupełnie nowe problemy, z którymi jeszcze się nie zetknęłam.

No właśnie, jedną taką trudną sytuację ma pani za sobą.

– 30 czerwca zeszłego roku, pamiętam ten dzień jak dzisiaj, było to dosyć traumatyczne doświadczenie. Do galerii przybyli artyści, którzy protestowali przeciwko pustym przestrzeniom w pałacu, co de facto było wymierzone we mnie. Oni nie mieli poczucia, że jestem tą osobą, która powinna zarządzać tą instytucją. Nie chcieli atakować mnie osobiście i wymyślili ten powód, ale chyba nie najtrafniej. Nikt, kto trochę rozumie funkcjonowanie tak dużych instytucji, nie będzie oczekiwał, że miesiąc po zniesieniu obostrzeń związanych z pandemią, sześciu miesiącach od rozpoczęcia mojej kadencji będą organizowane nowe wystawy, przecież byłoby to nie fair wobec wcześniej zaplanowanych. To była grupa ok. 20 artystów z osobami towarzyszącymi pod wodzą Jerzego Dawida z formacji Tvardohlavi, związanej z Vaclavem Havlem. Przynieśli swoje dzieła, wystawili je na kilkadziesiąt minut. Przywitałam ich, zaprosiłam na rozmowę, ale odmówili. Nie podobało im się również, że nie mówię po czesku. Wtedy jeszcze moja znajomość tego języka była wyłącznie bierna. To był pierwszy i jedyny na razie moment, kiedy pomyślałam, że zrobiłam niedobrze, przyjeżdżając do Pragi. Co ja tu robię? – myślałam.

W Polsce bardzo często dyrektorzy instytucji kultury są „władcami" i do nich należy jedyne i ostatnie słowo.

Jakie były reakcje Czechów, polityków, artystów?

– Jeden z istotnych polityków ówczesnej opozycji napisał na Twitterze, że jak to jest, że dyrektorką galerii narodowej jest Polka, nie ma nic przeciwko Polakom, ale to trochę dziwne. Dosyć późno się zorientował, na co zwrócił mu uwagę ówczesny minister kultury, że jak się dowie, kto jest dyrektorem artystycznym Czeskiej Filharmonii Narodowej (Simon Byczkow, Rosjanin z amerykańskim paszportem) lub też dyrektorem artystycznym Teatru Narodowego (Per Boye Hansen, Norweg), to wtedy można zacząć rozmawiać. Oczywiście bycie dyrektorem generalnym a artystycznym to dwie różne rzeczy. Rozumiem tego polityka. Cieszyłam się, że to się stało prędzej niż później. Potem całe środowisko bardzo to skrytykowało. Mój zespół po wszystkim stanął po mojej stronie, czułam ich wsparcie. Widziałam, że pracuję z ludźmi, dla których nie ma znaczenia, że jestem Polką. Wystarcza, że jestem profesjonalistką i zależy mi na zespole, a tym samym na instytucji.

Jednak perspektywa pracy za granicą wymaga chyba większej odwagi.

– Trzeba jedynie pamiętać, że nie ma sytuacji bez wyjścia. To, że się wygrywa w konkursie, dodaje skrzydeł. Jest ta krótka polityczna „osłona" na początku, potem trzeba pracować z zespołem i otoczeniem danej instytucji. W Czechach wszystko przegaduje się „w kawiarni", więc każde działanie galerii jest dokładnie omówione. To, że cieszę się z każdego dnia pracy tutaj, świadczy o tym, że może nie była to zła decyzja.

Interesują mnie pani obserwacje na temat dzisiejszej obecności myśli Vaclava Havla, symbolu przełomu i aksamitnej rewolucji, w świadomości Czechów.

– Dziedzictwo Vaclava Havla widać wszędzie i to mnie nieustannie fascynuje! Czesi oczywiście różnie je komentują, ale nie tak skrajnie, jak w Polsce dorobek Lecha Wałęsy. Myślę, że mają uznanie dla wkładu Havla w myślenie o sobie jako o dojrzałej społeczności, o stosunku sztuki do polityki. Nie ma wątpliwości co do oddzielenia sztuki i kultury od polityki. Dzięki Vaclavowi Havlowi te relacje od samego początku były lepiej poustawiane. Wyraźnie widać, że ruch dysydentów był bardzo intelektualny i nie tak związany z Kościołem, jak w Polsce. Oczywiście, jest to uproszczenie na użytek odpowiedzi na to konkretne pytanie.

eprasa.pl 927e76a9e7

Dostrzega pani na co dzień ten rozdział kultury i polityki w Czechach?

– Swoboda wypowiedzi i artystyczna wolność są bardzo chronione przez media publiczne, mogłabym opowiadać o tym w nieskończoność. Czesi płacą abonament, on jest niewielki, ale nikt nie obchodzi systemu. Z tego powodu poziom przychodów z abonamentu nie powoduje anormalnej sytuacji, w której dochodzi do zwasalizowania mediów przez dotacje rządowe. Jestem z urzędu członkinią rady widzów czeskiej telewizji i mam możliwość obserwowania, jak to wygląda. Telewizja publiczna jest krytykowana przez polityków, próbują oni swoich wpływów, ale media publiczne są dość odporne. Po aksamitnej rewolucji poproszono o konsultację z BBC, która dla telewizji czeskiej stanowiła wówczas wzór. Widzę, że funkcjonuje dobrze, chociaż oczywiście Czesi narzekają. Redaktorzy i reporterzy są traktowani jak artyści. Może znowu idealizuję, ale nie widzę tutaj osób, które się autocenzurują, wręcz przeciwnie, mogą sobie pozwalać na bardzo dużo. Zawsze z przyjemnością patrzę, jak wygląda „maglowanie" wszystkich możliwych stron, obowiązuje kultura dyskusji, nie wolno słuchać tylko jednej ze stron, musi być równowaga – jeżeli zapraszamy jednego polityka z opozycji, to drugiego z obozu władzy itd. Kłopot jest z kobietami. W Czechach mogłoby być więcej kobiet w życiu publicznym, ale one wolą być tą „dwójką", jak mawiają.

Galeria Narodowa jest pełna kobiet.

– Mamy trzy wicedyrektorki i jednego wicedyrektora. Zespół jest głównie żeński. I to jest niebezpieczne, bo gdy zrobiliśmy badania, kto przychodzi do galerii, to okazało się, że są to głównie kobiety w wieku 25-45 lat. Być może dlatego, że kobiety są autorkami marketingowych narzędzi i to kobiety są liderkami. Jestem przekonana, że mamy wpływ na kształt komunikacji, a tym samym docieramy do tej publiczności. Musimy o tym pamiętać, bo jeżeli galeria ma być narodowa, to nie tylko dla żeńskiej części narodu. Musimy wręcz zapomnieć, że jesteśmy kobietami i pracować np. z mediami, których odbiorcami są głównie mężczyźni. O tej tendencji słyszałam od dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie, pan Łukasz Gaweł również widzi to w swoich badaniach, więc może to być środkowoeuropejska przypadłość, że ta grupa korzysta z tego, co dają galerie i muzea. Zatem pytanie jest u nas inne: jak to zrobić, żebyśmy byli w równowadze. Musimy być bardzo tego świadome.

Poza tym słowo przyzwoitość często jest wskazywane jako wartość, jaką należy się w życiu posługiwać… Taki sposób postrzegania świata, szacunek dla „innego" wiąże się z tymi długimi dyskusjami, które w Polsce nie miałyby miejsca. Czasem sobie myślę, że mogłyby nie trwać tak długo, przecież już wszystko powiedzieliśmy, wystarczy podjąć decyzję. Ale to jest po prostu jak jazda na innej przerzutce i w innym tempie.

Nie ma wątpliwości co do rozdziału sztuki i kultury od polityki.

Byłam w kwietniu w kilku obiektach Galerii Narodowej, obejrzałam „Starych mistrzów", stałą ekspozycję, zdążyłam obejrzeć bardzo ciekawe wystawy czasowe „Budda z bliska" i „Falsyfikat? Falsyfikat!".

– Jestem bardzo rada z obu tych wystaw, choć były przygotowywane w warunkach sporych oszczędności i w czasie pandemii. Ta z Buddą w roli głównej nie byłaby możliwa w Polsce, kraju katolickim. Nie wyobrażam sobie, żeby Muzeum Narodowe zrobiło taką wystawę i nie wiem, jaka byłaby reakcja. Tutaj bardzo niski procent społeczeństwa stanowią praktykujący katolicy czy protestanci, ale ludzie są niezwykle uduchowieni.

Ma pani poczucie, że zmieniła tę swoją przerzutkę, swój krok? W Polsce się biegnie…

– Absolutnie. Wszyscy moi znajomi mówią: „Wyglądasz, jakbyś była w sanatorium". Wydaje mi się, że jestem jakaś spokojniejsza, częściej się uśmiecham, więc coś musi w tym być.

Czego pani dyrektor życzyć?

– Życzę sobie, żeby skończyła się wojna w Ukrainie. To jest chyba jedyne moje marzenie, pragnienie. Resztę wypracujemy.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

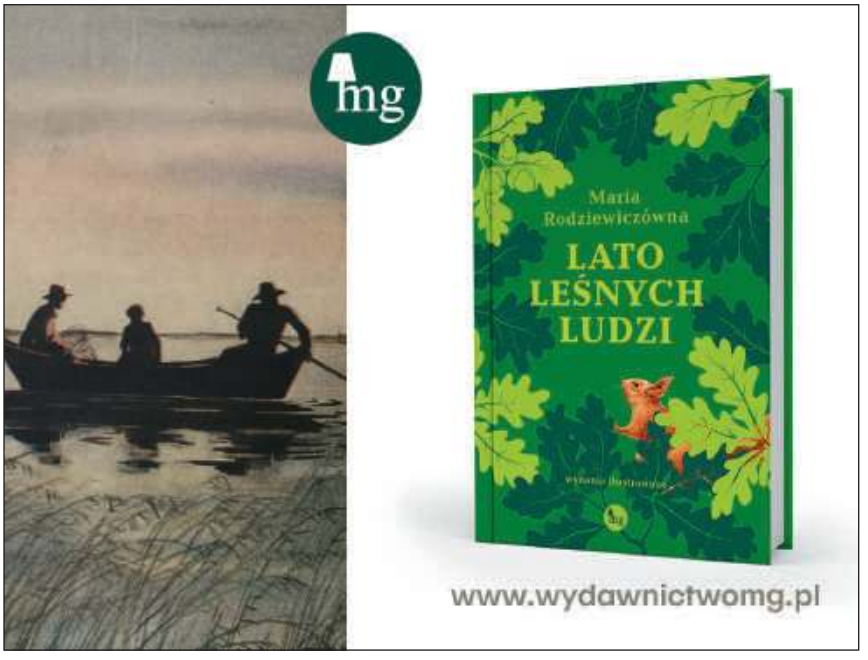

eprasa.pl 927e76a9e7

Inteligent, twardziel, obywatel

Bogusław Linda kończy 70 lat

Wiesław Kot

„Przed komisją weryfikacyjną staje porucznik Franciszek Maurer...", mówił z offu Zbigniew Zapasiewicz do rozpartego nonszalancko ubeka w pierwszej scenie filmu „Psy". Był rok 1992 i szeroka widownia wydawała się dostrzegać Bogusława Lindę po raz pierwszy. Nic dziwnego – 13 wcześniejszych filmów z jego udziałem powędrowało na półki. A teraz dla samego aktora, dla polskiego kina i dla naszego życia publicznego otwierał się nowy rozdział.

A przecież Linda zaczął się kręcić w filmowym świecie 20 lat przed „Psami". Choć debiutował skromnie. W serialu „Czarne chmury" (1973) zagrał halabardnika. „Fantastyczna rola, zero odpowiedzialności – mówił po latach. Można pokazać rodzinie. Tu, w lewym rogu, jestem ja". Kiedy jednak we wrocławskim przedstawieniu Jerzego Grzegorzewskiego zagrał Hamleta, Andrzej Wajda z Agnieszką Holland poszli do garderoby z pytaniem, jak to możliwe, że do tej pory nie wiedzieli o jego istnieniu. Sam aktor wspominał, że ta rola dała mu pierwsze w życiu poczucie pewności siebie: „Że można trzy godziny być tak naprawdę jedyną osobą na scenie. Zagranie tej roli to wielki egzamin. Hamlet zostaje w aktorze na zawsze".

Krótko potem Agnieszka Holland dała mu niewielką rolę anarchisty w „Gorączce" (1980), gdzie samą swoją obecnością gasił smutnych rutyniarzy. A Wajda przeznaczył mu w tym samym roku rolę idealisty na posadzie operatora regionalnej telewizji w „Człowieku z żelaza". Ten film trafił na ekrany, dostał nawet Złotą Palmę w Cannes, co było możliwe tylko w nieopisanym bałaganie, jaki panował w kraju latem 1980 r. Rzecz umknęła cenzurze, ponieważ dialogi kilku współscenarzystów, w tym Holland, pisało z dnia na dzień. Na plan filmowy, na Wybrzeże podsyłano je codziennie rano pociągiem z Warszawy.

Zresztą myślenia kinem Linda nauczył się od Wajdy już wtedy, gdy jako dziecko oglądał w telewizji „Kanał". Ale też wtedy, kiedy jako początkujący aktor, zakwaterowany w pokoiku przy Starym Teatrze w Krakowie, chadzał korytarzykiem do ubikacji, a z dołu ze sceny dobiegały kwestie z „Nocy listopadowej", wystawianej

„Artystą się nie jest non stop. Artystą się bywa. I to krótko", mawia Bogusław Linda, który 27 czerwca świętuje 70. urodziny.

eprasa.pl 927e76a9e7

tam właśnie przez Wajdę. No i zagrał jeszcze u Wajdy – na finał – malarza Władysława Strzemińskiego w „Powidokach" (2016). Tyle że wbrew Wajdzie, bo ten chciał uczynić z łódzkiego awangardzisty uniwersalną figurę artysty, który zmaga się z opresją władz. Tymczasem Linda interpretował Strzemińskiego szerzej. „To jest dla mnie bohaterstwo na polską miarę – tłumaczył. – Walczę z władzą, a w domu leję żonę". Ale tego z kolei Wajda wolał w biografiach Strzemińskiego i Katarzyny Kobro nie dostrzegać.

Dylematy inżyniera z Ursynowa

Właśnie taką postać skrachowanego romantyka, inteligenta po przejściach proponowali mu w latach 80. Kieślowski, Zaorski, Bajon. I nie wiedzieć kiedy stał się twarzą „kina moralnego niepokoju". Aż mu się przejadło. Po latach puentował: „Aktor podobnie jak samochód – szybko może się ludziom znudzić… Przyszedł taki moment, w którym miałem już dość ról inteligenckich. Czułem, że taki inteligent bez poważniejszych doświadczeń życiowych, targany idealistycznymi sprzecznościami to już nie jest bohater na nowe czasy. I to nie ja…". Jak sam mówił, miał dość grania w kółko tego samego inżyniera z ciasnego mieszkanka w bloku na Ursynowie, który ciągle dostaje w dupę od systemu.

Ale też pilnował proporcji. Po premierze „Psów" krytyka wybrzydzała: „Jaka filozofia, moralność, wizja świata stoi za jego filmem? Żadna! To tylko głupia bajka. Knajacka i zaściankowa". A Linda prostował, że grając w „Psach", ciągle tworzy „kino moralnego niepokoju", tylko w nowej epoce. I tłumaczył: „Jako twórcy byliśmy zdegustowani rządzeniem »czarnych« w Polsce. Byłem po 13 filmach i wszystkie były na półkach. Po coś robiłem te filmy, ale nie po to, by w Polsce do głosu dochodziła obłuda". Ostatecznie „Psy" były nie tylko czarnym filmem gangsterskim osadzonym w polskich realiach. Był to także film polityczny. Pakowanie teczek tajnych agentów przeznaczonych na spalenie kręcono na dziedzińcu gmachu MSW w czasach, kiedy resortem kierował Antoni Macierewicz. A on ogłosił właśnie listę polityków zarejestrowanych przez Służbę Bezpieczeństwa w roli tajnych współpracowników. W czerwcu tego samego 1992 r., kiedy „Psy" wchodziły na ekrany, afera związana z teczkami doprowadziła do upadku rząd Jana Olszewskiego.

„Psy" zaetykietkowały Bogusława Lindę po raz wtóry. Linda twardziel! Z czasem Linda z coraz większym sceptycyzmem podchodził do wąsko wyprofilowanych ról twardzieli w filmach Pasikowskiego i innych, pomniejszych reżyserów. Wycofywał się. Pasikowski replikował, że dalej będzie kręcił podobne fabuły, ale teraz musi znaleźć kogoś, kto w nich zagra Bogusia. Dziennikarze, którzy robili z nim dziesiątki, może nawet setki wywiadów, chcieli uzyskać potwierdzenie tego hasełka. Że jest arogancki, nieprzyjemny, nosi się jak udzielny książę, pozwala się adorować przez kobiety, którymi w gruncie rzeczy gardzi. Że w filmach ciągle pije, byle tylko stylizować się na detektywów z Chandlera. To prawda, w „Psach" czy w „Sarze" (1997) kokietował męską widownię, pijąc wódkę z gwinta. Poza ekranem nigdy tego nie robił. Raz, że wódka bez przymieszki to dla niego zbyt wysoko zawieszona poprzeczka, a dwa, że aktor nie znosi „gwinta", bo jest „obrzydliwy". Choć w szkole aktorskiej adeptów testowano w ten sposób, że musiał taki jeden wypić ćwiartkę wódki z plastikowego kubka duszkiem, leżąc w pustej wannie. Student Linda tego egzaminu nie zaliczył.

Z czasem wszystko to przestawało się podobać. 10 lat po roli w „Psach", która uczyniła z niego kogoś w rodzaju bohatera narodowego, łaskawość publiczności się wahnęła. W internecie pojawiły się na jego temat komentarze nieprzychylne, nawet napastliwe. „Byłem mocno podłamany – wspominał. – Dopiero potem mądrzy ludzie powiedzieli mi, że tego się nie czyta".

Policzyć do trzech i otworzyć spadochron

Próbował różnych rzeczy – nie wszystkie wychodziły. Kilku projektów nie udało się wdrożyć. Marzyło mu się wyreżyserowanie „Krzyżaków". Układał już nawet mocne, batalistyczne sceny, wybierał plenery na Mazurach. Niestety, po klapie „Quo vadis" hojne banki i państwowi sponsorzy zakręcili kurek z pieniędzmi. Niewiele wyszło także z projektu, wedle którego Bogusław Linda miał zagrać majora Henryka Sucharskiego, dowódcę obrony Westerplatte. Film miał być rewizją, a nawet atakiem na legendę obrońców tej placówki, z szumnie zapowiadaną sceną obsikiwania przez żołnierzy portretu marszałka Rydza-Śmigłego. Z występu w „Westerplatte" zrezygnował, kiedy scena po scenie wykreślano jego rolę. Na początku tych scen było 57, na koniec zostało sześć. Miał być tylko maskotką, wabikiem, a nie pełnokrwistą postacią filmową. No i najtrudniejsze sceny batalistyczne miały być nakręcone w siedem dni. Już było widać, że to skrajne partactwo. Podziękował za uwagę.

Uważa się za aktora pierwszego dubla i tłumaczy: „W pierwszym gram. Potem już mi się nie chce".

Poza tym Bogusław Linda dawał o sobie znać w życiu publicznym na różne sposoby. Na przykład wtedy, kiedy zdecydował się zostać aktorem wyłącznie filmowym, choć przeważająca większość kolegów zachowywała etat w teatrze. Swoją decyzję tłumaczył: „Nie potrafię co wieczór siedzieć jak idiota przed lustrem w garderobie, stroić miny i wysłuchiwać nudnych opowieści kolegów o robieniu zakupów albo o kolacji, którą zamierzają zjeść po spektaklu". Przed kamerą dzieje się niby to samo, tyle że to mizdrzenie łatwiej znieść, kiedy aktor Linda pozuje przed bezdusznym okiem obiektywu. I robi to raz, najwyżej kilka razy, jeżeli kręci się duble. „Granie w filmie

eprasa.pl 927e76a9e7

przypomina skok z dużej wysokości. Trzeba policzyć do trzech i otworzyć spadochron. Albo wyjdzie, albo nie".

Przypominał, że pracę na planie filmowym zaczynał w czasach, kiedy metr taśmy filmowej kosztował dolara. To były w ówczesnej Polsce ogromne pieniądze. Od tamtych czasów uważa się za aktora pierwszego dubla i tłumaczy: „W pierwszym gram. Potem już mi się nie chce". Ustawienie aktywności zawodowej powoduje, że trzeba przyjmować także te role, z których nie jest się potem dumnym, byle zarobić na życie na poziomie, do którego się przywykło. „Gdybym żył w Niemczech czy w Szwecji, to z pozycją, jaką tu mam, mógłbym grać raz na dwa-trzy lata – tłumaczył. – Ale w Polsce nie stać mnie na taki luksus".

Linda, wróg meneli

Jeszcze w 1986 r. Linda założył pierwszą w Polsce agencję aktorską, między innymi po to, by walczyć z absurdalnym systemem wynagradzania artystów. Polskiemu aktorowi bardziej opłacało się grywanie dziesiątków epizodów niż przykładanie się do jednej poważniejszej roli, bo tylko biegając z planu na plan, wychodził w sensie finansowym na swoje. I Linda podawał przykład – kiedy grał w „Przypadku" (1981) Krzysztofa Kieślowskiego główną rolę, a właściwie rolę głównego bohatera w trzech wcieleniach, na trzy dni zdjęciowe zjawił się na planie epizodysta Ryszard Kotys (najszerzej znany jako Paździoch z serialu o Kiepskich). System płacowy był wtedy tak ustawiony, że w rezultacie Ryszard Kotys za swój epizod dostał gażę sześciokrotnie wyższą niż Linda za rolę główną.

10 lat później, na fali szczytowej popularności, Linda w sposób precedensowy wystąpił w sądzie przeciwko kolorowemu tygodnikowi „Halo", który oskarżył o naruszenie jego prywatności. Zakończyło się to ugodą pozasądową, co praktycznie oznacza wypłacenie odszkodowania.

Kiedy w jednym z wywiadów Linda ubolewał nad upadkiem łódzkiej Filmówki i uzupełniał, że teraz będzie to już tylko „miasto meneli", Łódź nie pozostała mu dłużna. Podczas kręcenia „Powidoków" mieszkańcy hałasowali, wystawiali w oknach ryczące głośniki, obrzucali nawet ekipę filmową jajkami, byle tylko odegrać się na aktorze, który tak nisko ocenił ich miasto. Wypominano także Lindzie, że przed wielu laty, kiedy mieszkając w Łodzi, miał dokładnie tyle samo pieniędzy co dzisiejsi menele, biegał nocą na melinę przy Włókienniczej po wódkę. W internecie łódzcy „menele" pisali: „To nie Kana Galilejska, panie Linda, tu trzeba zapierdalać".

W „Dekalogu VII" Krzysztofa Kieślowskiego.

W 1986 r. założył pierwszą w Polsce agencję aktorską, by walczyć z absurdalnym systemem wynagradzania artystów.

Wprawdzie ze szkoły aktorskiej wyrzucali go za zerowe postępy w nauce śpiewania aż trzykrotnie, ale kiedy melodeklamował wiersz Marcina Świetlickiego „Nigdy nie będzie takiego lata", to ciarki przechodziły po skórze. Świetlicki miał nawet pretensje, że Linda nagrał z jego zespołem tylko jedną płytę. Zarobił na niej sporo pieniędzy, ale do dłuższej współpracy się nie palił. „Absolutna prawda. Dzięki Świetlikom stałem się milionerem, no i wreszcie jestem rozpoznawalny" – skomentował aktor. A w tej konstelacji były jeszcze inne szalone projekty. Marcin Świetlicki, Grzegorz Dyduch i Bogusław Linda mieli zagrać trzech braci, którzy dzielą się kochanką. W tej roli zamierzali obsadzić Annę Dymną. Nie wiadomo, co na to sama aktorka, bo projekt chwilowo uległ zawieszeniu. No i Świetlicki nie mógł mu darować jeszcze jednej rzeczy. Że to właśnie Linda, a nie on, wymyślił słynny tekst: „Będzie dobrze albo niedobrze".

Przy tym wszystkim Linda uważa się za aktora z powołania, ale zaraz uściśla, co to znaczy. A zwłaszcza, co znaczy w Polsce, gdzie aktor często jest przekonany, że ma do wypełnienia szczególną społeczną misję, że stoi niewiele niżej od narodowego wieszcza. „Zwykle twierdzą tak ci, którzy zaczynają od grania halabardników i na tym kończą" – komentuje. I dodaje: „Artystą się nie jest non stop. Artystą się bywa. I to krótko". Powtarza też często: „Gdybym miał kasę, z przyjemnością bym to rzucił. Żenuje mnie ten zawód". W aktorach najbardziej przeszkadza mu narcyzm, płytkość osobowości, pogoń za sławą. Tyle że, jeżeli miałby się raz w życiu otrzeć o coś, co można nazwać sztuką przez duże S, to warto nawet przez wiele lat plątać się po planach byle jakich filmów: „Sztuka istnieje tylko przez moment, a reszta to ciężka praca". Kiedy pytają go, jak można zostać gwiazdą w Polsce, z miejsca podaje przepis: „Wystąp w telewizji. Niezależnie jak i niezależnie gdzie. Nawet raz. Najlepiej w najgłupszym programie. Wtedy jest szansa, że obejrzy cię bardzo dużo ludzi".

Na pytanie, czy samego siebie kocha, odpowiada: „Nie widzę powodu".

Wiesław Kot

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS, EAST NEWS/INPLUS

eprasa.pl 927e76a9e7

FESTIWAL

28. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce

Pierwsza sobota lipca oznacza wyczekiwany powrót jazzu na warszawską Starówkę. Wyśpiewa go – co zainteresuje nie tylko jazzową publiczność – Ewa Bem, z towarzyszeniem kwartetu pianisty Andrzeja Jagodzińskiego. Ich współpraca trwa, z krótkimi przerwami, od 1987 r. To, co w naszej muzyce jazzowej najlepsze, zaprezentują tego lata również kwintet wirtuoza harmonijki Kacpra Smolińskiego, Heavy Metal Sextet, piętnastka z Young Power New Edition oraz Marcin Wasilewski Trio. Scenę zagraniczną reprezentować będą trio amerykańskiego pianisty i kompozytora Emmeta Cohena, kwartet brytyjskiego saksofonisty Denysa Baptiste'a, austriaccy mistrzowie Bertl Mayer grający na harmonijce chromatycznej i Flip Philipp – wirtuoz wibrafonu, a na zakończenie, 27 sierpnia, Rosario Giuliani Trio & Luciano Biondini z programem „Cinema Italia", czyli tematami filmowymi Ennia Morriconego i Nina Roty. *(ap)*

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 2 LIPCA, GODZ. 19

NA POWAŻNIE

Taniec z sensem

Tryptyk baletowy do muzyki kompozytorów XX w. stał się ciekawym przeżyciem. Trzech choreografów, każdy na swój sposób, nadaje sens ewolucjom tanecznym. Urodzony w Australii Joshua Legge sugeruje, jak wygląda życie osób wysiedlonych ze swoich domów. Grzegorz Brożek w zabawnej pantomimie obrazuje konflikty i flirty w biurze korporacji. Jacek Przybyłowicz kończy spektakl efektowną apoteozą tańca w „Bolero" Ravela.

Bronisław Tumiłowicz

„Displaced", muzyka Edgar Elgar, „Mandragora", muzyka Karol Szymanowski, „Bolero", muzyka Maurice Ravel, Teatr Wielki w Łodzi, premiera 11 czerwca 2022

KULTURALNE DZIECI

Buzz Astral,

reż. Angus MacLane, USA, już w kinach

Na Pixara można liczyć i pod kątem jakości animacji, i pod względem emocji, których w animacjach studia nie brakuje. W „Buzzie Astralu" pojawiają się tematy, o których z dzieciakami niechętnie rozmawiamy: starość, śmierć, zawodzenie innych, przerost ambicji są tutaj wyłożone bez tabu. Tytułowy bohater przez swoją brawurę

skazuje potężną grupę ludzi na życie na nieprzyjaznej planecie. Ale czy to na pewno jego wina? I czy faktycznie wszyscy liczą, że ich stąd uwolni? Poza dużą dozą akcji, humoru i przygody twórcy oferują namysł nad tym, co to znaczy być bohaterem. Nadstawiać głowę i decydować się na każde poświęcenie, czy też uszanować wolę innych, by odpuścić, i przyjąć pod skrzydła tych, którzy na najlepszych wcale się nie zapowiadają. Odpowiedzi pewnie już się domyślacie, więc tym bardziej powinniście się poczuć zachęceni, by pozbierać dzieci z okolicy i zaprosić je do kina. Czeka tam na nie wymuskana z każdej strony lekcja życia, którą z przyjemnością odrobią także opiekunowie.

Artur Zaborski

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

MIĘDZY OKŁADKAMI

Eduardo Antonio Parra
Parabole milczenia

tłum. Tomasz Pindel

Wydawnictwo Officyna, Łódź 2022

Zbiór opowiadań nieznanego szerzej w Polsce meksykańskiego autora Eduarda Antonia Parry zaskakuje i wciąga od pierwszej nowelki po ostatnią. Te dziewięć historii to prawdziwy, gęsty, momentami mroczny, momentami wzruszający obraz współczesnego Meksyku. Kraju, gdzie dominują maczystowska kultura, homofobia, przemoc, gdzie wojny gangów są na porządku dziennym, a marzeniem wielu jest wyjazd za północną granicę. Dużo tu potu, krwi, łez, choć sama narracja jest oszczędna i stonowana. Każdy oddech i gest ma jakieś znaczenie.

Chociaż swoją twórczością Parra nawiązuje do wielkich twórców literatury meksykańskiej – jak choćby Carlosa Fuentesa czy Juana Rulfo – to jest pisarzem osobnym, który opowiada bolesne tu i teraz, wszystko, o czym się w Meksyku mówi i o czym się milczy.

Rafał Pikuła

FOT. IZA GRZYBOWSKA, JOANNA MIKLAS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 927e76a9e7

Nigdy nie przeprosili

Tylko 23% jeńców wziętych do niewoli przez Japończyków doczekało wyzwolenia

Paweł Kucharski

Z rękami związanymi na plecach, z zasłoniętymi oczami doprowadzani byli na brzeg trzymetrowego dołu, zmuszani do uklęknięcia. A potem mieczami ścinano im głowy. W lutym 1942 r. na wyspie Ambon w archipelagu Moluków Japończycy zamordowali w ten sposób ponad 300 Australijczyków i Holendrów – jeńców wojennych.

Walki o panowanie nad wyspą Ambon były tylko jednym z epizodów wojny w regionie Pacyfiku. Tamtejsze lotnisko Laha mogło ułatwić inwazję na Jawę. Słabe garnizony, australijski i holenderski, szybko poddały się Japończykom. Zanim to jednak nastąpiło, żołnierze cesarskiej armii zakłuli bagnetami pierwszych dziesięciu jeńców.

W lutym 1942 r. na wyspie Ambon Japończycy zamordowali przez ścięcie głowy ponad 300 australijskich i holenderskich jeńców wojennych.

Do trzech masowych egzekucji doszło między 6 a 20 lutego 1942 r. Pretekstem do mordów było zatopienie przez aliantów japońskiego trałowca W-9, który wpłynął na minę w Zatoce Ambon i poszedł na dno wraz z setką marynarzy. Ci, którzy przeżyli, domagali się zemsty – głów trzech aliantów za każdego zabitego Japończyka z załogi okrętu.

„Była to szczególnie przerażająca i sadystyczna masakra – niemal satanistyczna, która jest kolejnym oskarżeniem niekontrolowanej japońskiej deprawacji", pisał w raporcie kpt. Jim G. Godwin, przesłuchujący świadków zbrodni. Japońskich świadków, żaden z alianckich jeńców bowiem nie przeżył. Siłą rzeczy zeznania nie były w pełni wiarygodne, ale jeśli nawet odbiegały od faktów, są wystarczająco szokujące.

Japończycy tworzyli trzy oddziały: jeden pilnował jeńców w barakach oddalonych o kilkaset metrów od miejsca kaźni, drugi zabezpieczał drogę z baraków na miejsce egzekucji na plantacji kokosów, trzeci natomiast mordował. Według zeznań chor. Keigo Kanamoto w czasie drugiej egzekucji „duża grupa holenderskich i australijskich jeńców wojennych, wszyscy ze związanymi z tyłu ramionami i rękami, pilnie strzeżona, stała w cieniu i czekała na egzekucję". Byli zatem w pełni świadomi czekającego ich losu.

„Po około 20 dekapitacjach ciekawość kazała Kanamoto podejść i zajrzeć do grobu. Niektóre zwłoki były pozbawione głów, ale kilka ciał z na wpół przytwierdzonymi głowami słabo się szarpało i wydawało słabe bulgoczące jęki". Ponieważ masakra trwała po zmroku, rozpalono ogniska i użyto latarek elektrycznych, aby karki ofiar były lepiej widoczne.

Kanamoto, który pożyczył swój miecz, zeznał, że jedna dekapitacja była nieudana – potrzebne były dwa cięcia. Kiedy dostał swój miecz z powrotem, był on wyszczerbiony i pogięty.

W czterech powojennych procesach sądzono kilkunastu oprawców z Ambon. Kilku zostało skazanych na karę śmierci, ale wykonano tylko jeden wyrok. Pozostałe wyroki złagodzono, a do 1958 r. wszyscy skazani wyszli na wolność dzięki amnestii. Kontradmirał Kōichirō Hatakeyama, który wydał rozkaz egzekucji, zginął w katastrofie lotniczej w 1945 r.

Nie mniej tragiczne były losy innych alianckich żołnierzy, którzy trafili do obozów. Na skutek brutalności strażników, chorób i warunków uwięzienia, wyzwolenia doczekało zaledwie 23% jeńców.

Rzeź Nankinu

Na przełomie 1937 i 1938 r., po zdobyciu Szanghaju, cesarska armia zaatakowała Nankin, ówczesną milionową stolicę Chin. Obrońcy miasta szybko zrezygnowali z oporu. Przez sześć tygodni pijani japońscy żołdacy mordowali, gwałcili i rabowali, co się dało. Ofiarami seksualnej przemocy były nawet małe dziewczynki. Iris Chang w książce „Rzeź Nankinu" wydarzenia te nazwała największym zbiorowym gwałtem w historii.

Japończycy wyłapywali chińskich żołnierzy albo po prostu mężczyzn, którzy mogli nimi być, i masowo rozstrzeliwali na brzegach Jangcy. Mniejsze grupy ścinano mieczami. Cesarska armia nigdy nie uznała wydarzeń w Chinach za wojnę, tylko za incydent, stąd Chińczykom nie przysługiwał status jeńca wojennego. Byli traktowani jak bandyci.

Europejczycy mieszkający w Nankinie utworzyli strefę bezpieczeństwa, aby chronić ludność cywilną przed oszalałymi najeźdźcami. John Rabe, „dobry nazista", szef miejscowej NSDAP, wymachując nazistowską flagą, jeździł po mieście i zabierał Chińczyków do samochodu. Uratował ponoć 200 tys. ludzi. Jak oceniła Iris Chang, w czasie rzezi Nankinu zamordowano 400 tys. ludzi. Pisarka stała się symboliczną, ostatnią ofiarą masakry. Zbierając materiały i pisząc książkę, popadła depresję. W 1992 r. popełniła samobójstwo.

FOT. AUSTRALIAN WAR MEMORIAL

eprasa.pl 927e76a9e7

Japończycy pod nadzorem Australijczyków podczas ekshumacji szczątków alianckich jeńców. Laha, wyspa Ambon, 7 grudnia 1945 r.

Po wojnie Chińczycy skazali na śmierć 149 osób odpowiedzialnych m.in. za masakrę w Nankinie. Ówczesny dowódca Japończyków, generał Ivane Matsui, był sądzony również za inne zbrodnie wojenne i powieszony.

Kolej birmańska

Na początku 1942 r. powstał projekt zbudowania linii kolejowej na terytoriach Birmy i Syjamu (dzisiejsza Tajlandia), usprawniającej zaopatrzenie wojsk w Birmie. Szacowano, że w zwykłym trybie budowa zajęłaby nawet do pięciu lat. Dowództwo armii cesarskiej wyznaczyło termin 18 miesięcy.

Obok ponad 200 tys. *romusha*, azjatyckich robotników przymusowych, do pracy skierowano 61 tys. jeńców wojennych – Australijczyków, Brytyjczyków i Amerykanów, których poinformowano, że jadą na wypoczynek w górach. Zwożeni z różnych obozów jeńcy byli przydzielani do komand roboczych na całej długości planowanej linii kolejowej. To było jak ruletka. Wszędzie warunki bytowe były fatalne, ale ci, którzy pracowali w górach – tam, gdzie było najchłodniej, najbardziej wilgotno – mieli najmniejsze szanse na przeżycie. Śmiertelność jeńców wynosiła od 10 do 70%. Przyczyną tak wysokiej liczby zgonów była nie tyle brutalność strażników, ile wycieńczenie i choroby. Beri-beri, denga, cholera, malaria, dezynteria, awitaminoza zbierały straszliwe żniwo wśród nieprzystosowanych do tropikalnych warunków ludzi, których dzienna norma żywieniowa wynosiła 100 g ryżu. Brakowało lekarstw, a to, co dostarczano, często było rozkradane przez japońskich nadzorców.

Czasem boso, z pomocą łopat i kilofów – ciężkiego sprzętu budowlanego praktycznie nie było – jeńcy pracowali po 12 godzin dziennie, regularnie katowani przez strażników, którzy poza zwykłym biciem sięgali po wymyślne tortury, żeby wymusić szybszą pracę.

Budowa została ukończona w terminie, w październiku 1943 r. Zginęło 12 399 alianckich jeńców, 20% wszystkich zatrudnionych. Jeszcze gorszy los był udziałem *romusha*. Na trasie Kolei Śmierci zmarło 70 tys. spośród 200-250 tys. robotników-niewolników.

Po prostu ich zjedli

Chichi-Jima to niewielka wyspa na Pacyfiku. Podczas wojny znajdowała się tam japońska baza morska i lotnicza. W czasie jej bombardowania przez Amerykanów we wrześniu 1944 r. dziewięciu lotników zostało zestrzelonych. Ośmiu wpadło w ręce Japończyków. Byli torturowani, a później ścięci. Przynajmniej czterech z nich zostało zjedzonych. Dowodzący garnizonem gen. Yoshio Tachibana wydał przyjęcie, w czasie którego lotnicy zostali podani jako tradycyjna potrawa *sukiyaki*. Dziewiątym lotnikiem zestrzelonym na Chichi-Jima, któremu udało się uniknąć niewoli i kotła, był przyszły prezydent USA George Bush.

Tachibana wraz z 30 innymi Japończykami zostali osądzeni w sierpniu 1946 r. Ponieważ prawo wojskowe i międzynarodowe nie znało pojęcia kanibalizmu, sądzono ich za morderstwo i „uniemożliwienie honorowego pochówku". Generała i czterech innych oficerów powieszono. Wiceadmirał Mori Kunizo, który w czasie incydentu dowodził bazą lotniczą Chichi-Jima, był przekonany, że spożywanie ludzkiej wątroby

eprasa.pl 927e76a9e7

przynosiło korzyści dla zdrowia. Za udział w incydencie został najpierw skazany na dożywocie, a później na śmierć i powieszony.

W książce „Flyboys" James Bradley szczegółowo opisuje kilka przypadków kanibalizmu. Autor twierdzi, że obejmowało to nie tylko rytualne zjadanie wątroby świeżo zabitych więźniów, ale także zwykłe wyżywienie – dla zaoszczędzenia zapasów, przy czym jeńców nie zabijano, tylko amputowano im kończyny, aby utrzymać świeżość mięsa.

Przypadki kanibalizmu w czasie wojny zdarzały się nie tylko na wyspach Pacyfiku. Było tak choćby w oblężonym Leningradzie. Należy jednak odróżnić kanibalizm wymuszony głodem od tego z wyboru. Jak na przykład w Manokwari na Nowej Gwinei, gdzie Japończycy przetrzymywali ok. 200 jeńców z Indii, zjadając jednego dziennie. Dowództwo operującej w tym rejonie armii było w pełni świadome sytuacji. Wydało surowy zakaz spożywania ciał, ale dopuściło zjadanie jeńców.

Zbrodnicze zachowania Japończyków odnosiły się nie tylko do jeńców wojennych. W okrutny sposób mordowali również cywilów.

Jednostka 731

Oficjalnie była to stacja uzdatniania wody. Faktycznie – tajna jednostka armii ds. broni biologicznej i chemicznej. Została założona w 1932 r., a od 1935 r. na obszarze 6 km kw. rozpoczęto dla jednostki budowę wielkiego kompleksu w Pingfang niedaleko Harbinu, na terytorium marionetkowego państwa Mandżukuo w okupowanej przez Japończyków Mandżurii. Pomysłodawcą i motorem działań jednostki 731 był mikrobiolog gen. Shiro Ishii.

Na terenie kompleksu dokonywano barbarzyńskich pseudomedycznych eksperymentów. Pacjentów zarażano dżumą, cholerą, poddawano działaniu wąglika, przeprowadzano wiwisekcje i amputacje (bez znieczulenia), aborcje, sztucznie wywoływano udary i zawały serca. Badano wytrzymałość ludzi na niskie temperatury i wysokie ciśnienie. Szacuje się, że w wyniku eksperymentów zginęło 3-10 tys. osób, głównie Chińczyków, ale też alianckich jeńców wojennych i Rosjan, których wielu mieszkało w Mandżurii.

Jednostka 731 przeprowadzała również próby polowe. W odległych rejonach zrzucała z balonów pojemniki z zarażonymi różnymi patogenami owadami i zatrute zboże (które zjadały szczury i przenosiły choroby na ludzi). Na międzynarodowej konferencji bakteriologicznej w 2002 r. stwierdzono, że w wyniku epidemii wywołanych przez japońską broń biologiczną mogło umrzeć 580 tys. ludzi.

W 1945 r. Ishii zaproponował atak biologiczny na San Diego w Kalifornii. Akcja typu kamikadze nie doszła do skutku prawdopodobnie z powodu braku możliwości technicznych – Japonia była już wtedy oblężoną twierdzą, choć istnieją dowody, że miały też znaczenie opory moralne niektórych dowódców.

Pingfang zajęła Armia Czerwona, aresztując wielu funkcjonariuszy jednostki 731 i służb medycznych armii. Kilkunastu z nich zostało skazanych w Chabarowsku na pobyt w obozach pracy. W 1956 r. wszyscy zostali zwolnieni. Tymczasem Ishii zbiegł do Japonii, gdzie gen. Douglas MacArthur zagwarantował mu immunitet w zamian za ujawnienie wyników jego badań. Po 1947 r. zniknął. Richard Drayton z Uniwersytetu Cambridge twierdzi, że Ishii przebywał w Maryland, doradzając w sprawach broni biologicznej.

Pocieszycielki

Po angielsku nazywane były *comfort women*. Po prostu seksualne niewolnice, zmuszane do nierządu w domach publicznych organizowanych przez cesarską armię. Japończycy zaczęli budować sieć ośrodków pocieszenia w okupowanych Chinach od 1937 r. Z czasem objęły one swoim zasięgiem całą Azję Południowo-Wschodnią i wyspy Pacyfiku. Początkowo kobiety, a nawet 12-letnie dziewczęta, były werbowane fałszywymi obietnicami pracy, kupowane od żyjących w skrajnej biedzie rodziców, w końcu – po prostu porywane. Niektóre zgodziły się zostać *comfort women* w zamian za jedzenie i bezpieczeństwo bliskich.

Szacuje się, że ofiarami seksualnego niewolnictwa zostało 300-400 tys. kobiet, głównie Koreanek i Chinek, ale też Europejek z dawnych kolonii holenderskich. Władze Japonii wolą mówić o 20 tys., przede wszystkim Japonek, które pracowały w domach publicznych dobrowolnie.

Za te zbrodnie Japończycy nigdy nie przeprosili. „O ile Niemcy dokonali rozrachunku ze swoją wojenną przeszłością, o tyle w Japonii do niczego takiego nie doszło" – mówi dr Michał Leśniewski z UW. „Nigdy nie padło słowo »przepraszamy«. Wszystko – jak się wydaje – rozbija się o specyficzne japońskie poczucie honoru, które zakłada, że przyznanie się do winy jest ujmą".

Japończycy byli wychowywani w poczuciu swojej wyjątkowości wśród narodów Azji – Japonia jako jedyny kraj w tamtej części świata aż do 1945 r. nigdy nie była okupowana – i w duchu nienawiści do „białych diabłów", szczególnie Amerykanów, którzy przeszkadzali w ich ekspansji ekonomicznej. Brutalność w stosunku do jeńców wojennych była natomiast wynikiem zmitologizowanego pojmowania samurajskiego kodeksu bushido. W japońskiej kulturze żołnierz powinien walczyć do śmierci za cesarza albo popełnić samobójstwo. Wróg, który się poddawał, był tchórzem godnym najwyższej pogardy, pozbawionym wszelkich praw.

Po wojnie odbyło się wiele procesów japońskich zbrodniarzy wojennych, w tym przed trybunałem tokijskim sądzącym najważniejszych przywódców. Na skutek wyrachowania politycznego Amerykanów sprawiedliwość nie dosięgnęła cesarza Hirohito.

Paweł Kucharski

Gen. Tachibana wydał przyjęcie, na którym amerykańscy lotnicy zostali podani jako potrawa sukiyaki.

eprasa.pl 927e76a9e7

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Pisarz uchodźca w garderobie dla żebraków

My, (pożal się Boże) Zachód, zapraszamy pisarzy uchodźców i emigrantów na rezydencje, festiwale, do domów pracy twórczej, domów literatury, na kolacje, warsztaty, debaty. Tłumaczymy ich wiersze i prozę. Ale oczekujemy czegoś w zamian: chcemy, żeby pisarze byli przede wszystkim uchodźcami i godnie wykonywali swój obowiązek: wiarygodnie odgrywali rolę pisarza emigranta.

Po pierwsze, pisarz taki musi znać się na geopolityce i dobrze wiedzieć, co się dzieje w jego kraju, naszym kraju i w ogóle – na świecie. Musi mieć wyrobione zdanie na temat oprawców, codziennie rewidować skalę ich okrucieństwa, wiedzieć, co teraz jest źródłem napięcia, znać badania analityków dotyczące gospodarki krajów opanowanych konfliktem, a także liczbę ofiar trzęsienia ziemi, orientować się, jaki jest obecnie kurs euro i jak się ma rubel oraz czy niemieckie Panzerhaubitze 2000 już trafiły na front. Pisarz uchodźca musi codziennie robić porządną prasówkę, oglądać wiadomości z notatnikiem, weryfikować treści, śledzić w społecznościówkach blogerów i polityków. Staje się rzecznikiem wszystkich uchodźców, przemawia w ich imieniu, musi nauczyć się uogólniać własne doświadczenia, bo jego doświadczenie powinno stać się dla nas czymś uniwersalnym.

Pisarz uchodźca musi być chudy. Nie może przecież świecić na scenie drugim podbródkiem, powinien też tuszować brzuszek. Nie może sprawiać wrażenia solidnie podtuczonego, zdrowego człowieka. Jego uśmiech musi być podszyty smutkiem, a oczodoły głębokie. Skóra powinna być blada, ewentualnie w odcieniu żółtawym (podmiot może nie mieć zęba). I żadnych markowych ciuchów. Niestety, pisarz uchodźca wymaga przebrania, odgrywa w końcu rolę. Jeśli nie wie, w jaki sposób się zachować, nich sięgnie do „Garderoby dla żebraków" z „Opery za trzy grosze" Bertolta Brechta. Didaskalia do aktu pierwszego dają do myślenia: „Ażeby walczyć z zakamieniałością człowieczą, Jonatan Jeremiasz Peachum otworzył przedsiębiorstwo, w którym najnędzniejszym nędzarzom taki nadawał wygląd, że potrafili oni poruszyć nawet najtwardsze serca".

Pisarz uchodźca musi być poważny – nie może przecież się chichrać, kiedy taki los spotkał jego i jego pobratymców. Swoją tragedię, swój smutek musi obnosić po festiwalach, rany wystawiać na widok publiczny, milknąć nagle, zmagać się ze łzami. Apelować do wroga, patrząc wprost do kamery, potępiać godnych potępienia. Wspomnieć matkę i koniec dzieciństwa, zacytować wieszcza. Pisarz uchodźca musi być wdzięczny za wszystko, za każdy kieliszek wina, za obiad, kanapkę i honorarium w euro; w zamian musi godzić się na wywiady i audycje, w których zbolałym głosem ma omawiać dziejową ranę. Bo pisarz uchodźca nie może być pisarzem, nie może jeszcze wymagać, że będziemy go czytać, omawiać jego poezję czy prozę. Cóż znaczy w obliczu przesiedleń, mordów i wojen jego zasrana poezja.

> Pisarz uchodźca nie może być pisarzem, nie może wymagać, że będziemy go czytać.

Nigdy nie zapamiętamy jego wiersza. Prowadzący nie spyta o metaforę, zmianę idiomu, subtelne rozróżnienia czy aliteracje. Ani o lektury, ani o juwenilia. Nic go nie obejdzie zmiana dykcji na przestrzeni dwóch ostatnich książek, zmyślna parafraza, odraczanie znaczeń ani to, jak pisarz radzi sobie z krytyką. Nie jest przecież prawdziwy – jest tylko figurą, rzecznikiem. Kimś wymiennym, bez twarzy. Pisarzem uchodźcą. Chciałby pomówić o swoim pisaniu, skoro zaproszono go tutaj, żeby pisał dalej. Zna się na rzeczy. Pisze nieźle. I nieźle czyta. Ma sporo do powiedzenia. Kilka lat temu wykładał na Sorbonie, potem pracował w szkole jako nauczyciel. Napisał świetną książkę o Celanie. Ale tylko podnosi głowę, z twarzy znika mu uśmiech, nie ma żadnych roszczeń, wie, że musi zarobić na swoje euro. Dotyka skroni, garbi się, mówi najciszej, jak umie.

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTubie i LinkedIn

eprasa.pl 927e76a9e7

Doping na Stadionie Narodowym nie pomógł. Z Belgią przegraliśmy 0:1.

KADRA JESZCZE W LESIE

Więcej za piłką biegali, niż grali

Maciej Polkowski

Kiedy w połowie maja selekcjoner piłkarskiej reprezentacji Polski Czesław Michniewicz ogłosił listę prawie 40 zawodników powołanych na cztery czerwcowe mecze Ligi Narodów, zrozumieliśmy, że mamy do czynienia ze swoistym futbolowym pospolitym ruszeniem. Jak zwykle bywa w takich przypadkach, autorski zamysł trenera spotkał się z aprobatą i krytyką. Bilans czterometczu nie powala – wygrana 1:0 z Walią, remis 2:2 z Holandią oraz dwie przegrane 1:6 i 0:1 z Belgią. Spodziewaliśmy się odpowiedzi, na co i na kogo możemy liczyć podczas światowych finałów w Katarze. Zaskakuje rozbieżność między opiniami i opisami wyczynów naszych piłkarzy na zagranicznych ligowych stadionach, a prezentowanymi przez nich niedostatkami w potyczkach reprezentacji. Ewentualne sukcesy na katarskich stadionach? Każdemu wolno marzyć, ale dzisiaj futbolowa kadra jeszcze w lesie.

Nie tylko piłkarze się męczyli (Polska-Walia 2:1)

– Na pewno musimy popracować nad poruszaniem się bez piłki i przesuwaniem do ataku zaraz po jej przejęciu – mówił po meczu sfrustrowany Robert Lewandowski. Biało-czerwoni rzutem na taśmę (Karol Świderski w 85. minucie) – i przy odrobinie szczęścia – wygrali 2:1, ale przez większość spotkania przeżywaliśmy frustrację, że nasi tak bardzo się męczą, kiedy mają piłkę przy nodze. Było to o tyle zaskakujące, że Walijczycy wystawili „drugi garnitur" i trochę młodzieży, bo w niedzielę zagrali (1:0) z Ukrainą baraż o awans na mundial. Stawka tego spotkania była tak ogromna, że trener Robert Page postanowił we Wrocławiu oszczędzać najlepszych zawodników. Niestety, okazało się, że gola reprezentacji Polski potrafił strzelić piłkarz czwartoligowy – Jonathan Willams, który gra w Swindon Town, w angielskiej League Two, czyli faktycznie na czwartym poziomie rozgrywkowym.

Łomot, bo rywale grali za szybko (Belgia-Polska 6:1)

Po wygranej z Walią 2:1 wspominaliśmy, kiedy po raz ostatni selekcjoner reprezentacji Polski rozpoczął pracę od trzech meczów bez porażki. Było to w 2002 r. Wówczas Paweł Janas nie przegrał czterech pierwszych spotkań, po dwa wygrywając i remisując. Jednak w Brukseli ekipa Czesława Michniewicza, która miała na koncie dwa zwycięstwa i remis, do passy sprzed 20 laty nie nawiązała.

Pogrom biało-czerwonych w Brukseli jest najwyższą porażką od 12 lat, kiedy – również 8 czerwca – zostali pobici na wyjeździe przez Hiszpanię 0:6.

Zaczęło się całkiem obiecująco, bo po trafieniu Lewandowskiego w 28. minucie objęliśmy prowadzenie 1:0. Ale potem szkoda gadać – futbolowy łomot zaczął się w 42., a zakończył w 93. minucie.

– Powiedziałem drużynie, że ten mecz długo będzie siedział w naszych głowach. Musimy zapamiętać dobre momenty i to, jak gra przeciwnik na światowym poziomie. Zapłaciliśmy wysoką cenę za to, że chcieliśmy grać,

FOT. PIOTR DZIURMAN/REPORTER

eprasa.pl 927e76a9e7

a nie tylko wybijać. Momentami gra była dla nas po prostu za szybka – wyznał z rozbrajającą bezradnością Michniewicz na pomeczowej konferencji prasowej.

Bez lewego też jest życie? (Holandia-Polska 2:2)

Biało-czerwoni musieli bardzo szybko otrząsnąć się z brukselskiego pogromu, gdyż już po trzech dniach przyszło im się zmierzyć z ekipą pomarańczowych. Chociaż gospodarze dominowali, to jednak Polacy momentami byli w stanie skutecznie powalczyć. Naszej drużynie udało się wyjść na prowadzenie 2:0 po bramkach Matty'ego Casha i Piotra Zielińskiego. Jednak gospodarze potrzebowali zaledwie sześciu minut, by wyrównać. W końcówce mogli zdobyć zwycięską bramkę, ale z rzutu karnego fatalnie przestrzelił Memphis Depay. Remis 2:2 w Rotterdamie nasi piłkarze uznali za sukces, o czym świadczyła ich reakcja po ostatnim gwizdku sędziego Halila Umuta Melera. Polacy nie kryli zadowolenia. Takie zachowanie mocno zaskoczyło Louisa van Gaala: „Nie rozumiem, z czego oni tak się cieszyli. Trener i piłkarze podskakiwali. A przecież prowadzili 2:0 i nawet byli bliscy wygranej". Selekcjoner Holendrów przyznał też, że jego zespół po raz pierwszy musiał grać przeciwko drużynie, która broniła się dziesięcioma zawodnikami. W piłkarskiej gwarze określa się to jako „stawianie autobusu".

Nie otrzymaliśmy pełnej odpowiedzi na jedno z podstawowych pytań – czy fubolowa reprezentacja może, chociaż momentami, żyć bez Lewandowskiego. Kapitan całe spotkanie obserwował z trybuny. Bez niego doprowadziliśmy nawet do dwubramkowego prowadzenia, ale… utrzymaliśmy je 130 sekund!

Niechlujna gra na Narodowym (Polska-Belgia 0:1)

– Chłopaki, musimy w Warszawie wygrać z Belgią – pobożne życzenie trenera Czesława się nie spełniło. Polacy stracili gola już w 15. minucie (do siatki trafił Michy Batshuayi), ale w końcówce mieli okazje do wyrównania, choćby po dwóch strzałach Karola Świderskiego. „Porażka może mniej dotkliwa, ale mecz z Belgami podobny do pierwszego. Przełomu nie ma, znaczącej poprawy też nie. Polacy znów głównie gonili za piłką", napisał Dawid Szymczak (Sport.pl.). Belgijskie media niezwykle surowo oceniły postawę Polaków w czwartym meczu Ligi Narodów. Pisano, że podopieczni Czesława Michniewicza byli „niechlujni" i „nie mają żadnych umiejętności zdobywania goli".

Polska w Lidze Narodów to chłopcy do biegania – taka jest powszechna opinia po czterech czerwcowych występach. Nad nielicznymi atutami (kilkoma na całkiem przyzwoitym poziomie bramkarzy) i dość wąskim gronem zawodników z pola (z Lewym na czele) nie ma sensu się rozwodzić. Chociaż można się zastanawiać, co począć z takim Grzegorzem Krychowiakiem, który jest coraz większym obciążeniem dla własnego zespołu. Praktycznie nagminnie zbiera kartki – więcej z jego strony tzw. rąbania niż rozgrywania. Zachowuje się niczym oszalały drwal wymachujący na oślep siekierą.

Zdaniem byłego piłkarza Marka Jóźwiaka za wygranych można uznać Jakuba Kamińskiego z Lecha Poznań oraz Nicolę Zalewskiego, który dawał nam wiele jakości w ofensywie. Natomiast Cezary Kowalski (Polsat) twierdzi: „Wygranych zgrupowania jest moim zdaniem co najmniej kilku, co potwierdza z kolei sens powołania na nie aż tak wielu zawodników. Wskazałbym między innymi Karola Świderskiego, ale przede wszystkim Matty'ego Casha. To następca Łukasza Piszczka i piłkarz, o którym marzyliśmy, i myślę, że będzie wartością dodaną na prawej stronie przez długie lata, i to w różnych systemach taktycznych. Do tego Przemysław Frankowski".

Łamigłówka „profesora" Michniewicza

Podczas czerwcowych zmagań wybiegano myślami do Kataru. Zdaniem Dariusza Wołowskiego (Interia): „Chociażby konfrontacje z Belgami w Lidze Narodów po raz kolejny wykazały, że im szybciej Michniewicz pozna i zaakceptuje ograniczenia swoich graczy, tym lepiej. Są za słabo wyszkoleni, by porywać się na grę w ataku pozycyjnym w starciach ze światową czołówką. Mimo że mają w składzie najlepszego środkowego napastnika na świecie. Trzeba się z tym pogodzić, by zwiększyć swoje szanse na wyjście z grupy w Katarze. Wyobrażanie sobie, że Polacy w Dosze wyjdą na mecz z Meksykanami i ich zdominują, jest szkodliwą mrzonką, fanfaronadą bez żadnego uzasadnienia. Wyobrażanie sobie, że wygramy, bo mamy Lewandowskiego, doprowadzi do tak samo ponurego zakończenia, jak w Rosji. Polscy piłkarze są gorzej wyszkoleni i słabiej operują piłką od Meksykanów, co nie znaczy, że są skazani na porażkę. Prawdopodobnie będą musieli biegać bez piłki tyle samo co w starciach z Belgami w Lidze Narodów. Trzeba być cierpliwym, odcierpieć i wypocić swoje. Michniewicz nie ma zawodników, którzy 22 listopada wyjdą na boisko w Dosze i zdominują Meksyk. To będzie mecz kluczowy, może decydujący o awansie, bo przecież faworytem grupy jest Argentyna z Leo Messim, która nie przegrała 33 ostatnich spotkań".

Wreszcie były selekcjoner Adam Nawałka (Interia) apeluje i radzi młodszemu koledze po fachu: „Musi szybko zdecydować, czy mamy potencjał, aby zmieniać ustawienie pod każdego rywala, czy powinniśmy budować automatyzmy w jednym systemie – powiedział. Polska przeciwko Walii zagrała z diamentem w środku pola (rozmieszczenie zawodników grających w pomocy przypomina właśnie diament, czy też romb, stąd wzięła się nazwa tej odmiany systemu 4-4-2 – przyp. red); z Belgią i Holandią w 4-2-3-1, a rewanż z Czerwonymi Diabłami z piątką obrońców".

Już w najbliższym czasie Michniewicz musi rozwiązać tę łamigłówkę. Ponieważ przez kolegów z ferajny zwany jest profesorem, z pewnością zrobi to bez trudu. ■

Mecze do rozegrania w grupie A4 Ligi Narodów

Polska-Holandia – **22 września**

Walia-Polska – **25 września**

eprasa.pl 927e76a9e7

CHRUST PLUS przepis na katastrofę

Martwe i zamierające drzewa są dla przyrodników zazwyczaj atrakcyjniejsze niż żywe

Konrad Malec

Dom ogrzewam drewnem. W tym roku zabolało, cena skoczyła o 50% w stosunku do poprzedniego sezonu, a mój dostawca nie był w stanie dostarczyć opału od ręki. Z odsieczą przybył na kasztance rząd, przypominając o możliwości zbioru chrustu w lesie. Ale śmieszki na bok, bo sprawa chrustu to gotowy przepis na pogłębienie katastrofy przyrodniczej.

Puszcze nietknięte siekierą

Przyzwyczailiśmy się do lasów, w których drzewa rosną w równych rządkach, a pod nogami nie walają się gałęzie. W takim lesie łatwo zbierać grzyby i trudniej się zgubić. Rzecz w tym, że taki twór to nie żaden las, tylko plantacja desek. Tak, zdarzają się leśnicy, którzy rozumieją, że las to coś więcej niż pole uprawne (a i na polu przydałoby się więcej miejsca dla dzikiej przyrody). Niemniej znaczna część naszych lasów przedstawia się pod tym względem żałośnie. Ilość martwego drewna na hektar nie przekracza 10 m sześc. W lesie naturalnym ta wartość przeciętnie wynosi 123 m sześc.

Wielokrotnie w rozmowach spotykam się z argumentami: po co martwe ma leżeć w lesie – jest bałagan i siedlisko szkodników. Taki pogląd obowiązywał we współczesnym leśnictwie od jego zarania w XVIII w. Niestety, wielu polskich leśników, a nawet naukowców zajmujących się leśnictwem, nadal go wyraża, czemu najlepszy wyraz dał nieżyjący już prof. Jan Szyszko, pod którego kuratelą przez dłuższy czas znajdowało się polskie leśnictwo.

Tylko po co przyrodnikom martwe drewno? A szerzej: po co nam wszystkim martwe drewno? Powodów jest wiele, zacznijmy od najmniej oczywistego, od literatury. Chociażby w „Panu Tadeuszu" i w książkach o Tomku Wilmowskim Alfreda Szklarskiego motywy przyrody zajmują sporo miejsca. Bodaj najczęściej stawianym zarzutem wobec „Pana Tadeusza" są długie opisy przyrody. Sądzę, że to efekt naszego oderwania od niej, jej niezrozumienia. Kiedy czytamy opis przyrody, możemy nie tylko ujrzeć ją tak, jak widział ją autor, wyłapać jego błędy (wieszczowie bywają omylni), ale też docenić kunszt literacki. A czym się zachwycał autor epopei narodowej? Dziką, litewską puszczą, nad wycinką której ubolewał: „Pomniki nasze! ileż co rok was pożera / Kupiecka lub rządowa moskiewska siekiera". Swoją drogą to pierwsze użycie w języku polskim określenia „pomnik" w odniesieniu do przyrody.

Urodzie naturalnych nieprzebytych puszcz z powalonymi drzewami nie oparli się malarze. Szczególnie dobrze to widać w pracach Grottgera i Wyczółkowskiego przedstawiających krajobrazy Puszczy Białowieskiej. Imieniem tego drugiego nazwano nawet rezerwat przyrody z najliczniejszym w Polsce stanowiskiem cisów, w którym artysta szukał natchnienia do pracy i które tam znajdował. Artyści zachwycali się tyleż dorodnymi, wiekowymi i żywymi okazami, ile ich śmiercią oraz rozkładem, czemu najdobitniej wyraz dał Grottger w rycinie „Puszcza" z cyklu „Lithuania", w której puszczańskiego krajobrazu użył do zilustrowania żniwa zbieranego przez śmierć w wyniku powstania styczniowego.

Życie po życiu

Spokojnie, to nie metafizyka. Jako prosty biolog ufam tylko w szkiełko i oko, co akurat nie spotkałoby się z pochwałą naszego wieszcza. Po

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 927e76a9e7

prostu martwe i zamierające drzewa są dla przyrodników zazwyczaj atrakcyjniejsze niż żywe. W takich drzewach tętni życie organizmów, które żywią się martwym drewnem. Gdy drzewo umiera, otwiera się okno w zielonym sklepieniu i do dna lasu dociera światło, pobudzając do życia rośliny światłożądne. To również sygnał dla młodego pokolenia drzew, by wystartowało w wyścigu o zajęcie miejsca po zmarłym. W tym wyścigu nie ma litości, zwycięzca bierze wszystko, czyli miejsce w pierwszym lub drugim piętrze korony lasu. Przegrani wzbogacą dno lasu w martwe drewno.

Tymczasem zmarły olbrzym nie tylko zwolnił miejsce, ale swoim ciałem dostarczył masę pokarmu. Na kłodę spadnie niejedno nasionko, te startują w wyścigu o światło z uprzywilejowanej pozycji – są wyżej, a pod sobą mają znaczne zapasy nawozu. Szczególnie gdy trafiło się na wierzchołek wykrotu, czyli karpy korzeniowej po wywróconym drzewie, choć ta pozycja bywa niebezpieczna – niekiedy zanim korzenie umocnią się w stabilnym podłożu, wykrot się rozpada i niedoszły delfin kończy na dnie, w cieniu. Wykroty są miejscem zasiedlanym przez wiele zwierząt, m.in. pszczoły samotnice, chrząszcze czy gady. To jedno z ulubionych miejsc na gniazdo dla strzyżyka, należącego do najzdolniejszych śpiewaków naszych lasów. W cieniu martwego olbrzyma lubią przebywać płazy.

W naturalnych lasach większość dorosłych drzew zaczynała życie na kłodzie piastunce. Rekordzistami są tu świerki, przeszło 90% z nich w ten sposób rozpoczynało swoje istnienie. Po latach, gdy martwy poprzednik spróchnieje, drzewo stoi na korzeniach jak na szczudłach. Takie drzewa posłużyły starożytnym za wzorzec kolumny, symbol Drzewa Życia, łączącego ziemię z niebem. Baza symbolizowała korzenie, trzon pień, a głowica koronę.

Halina Poświatowska napisała: „Drzewa umierają inaczej niż ludzie. Drzewa wyglądają tak, jak gdyby cieszyły się własną śmiercią". Poeci dostrzegają więcej, zapewne więc miała rację, pisząc dalej: „Wprawdzie potem będzie wiosna i one odkwitną znowu, ale ty wiesz, że nigdy nie można mieć pewności. No i skąd o tym mają wiedzieć drzewa?". Wiele wskazuje na to, że mogą, o ile nie jest to śmierć nagła. Już 50 lat przed śmiercią sędziwca do jego wnętrza wnikają grzyby. Wiele z nich jest pasożytami przyśpieszającymi zgon. Gdyby drzewo czuło i rozumowało, musiałoby o tym wiedzieć. Wiele z pasożytów wraz ze śmiercią drzewa przekształci się w saprofity, czyli będą żywiły się teraz martwą ofiarą. Wśród grzybnej braci jest wielu powszechnie znanych bohaterów, jak hubiak pospolity, którego już w starożytności w Europie, Chinach i Japonii stosowano w medycynie i który przez wieki był najpospolitszą podpałką do krzesiwa. Na Podkarpaciu poświęcony podczas uroczystości Matki Boskiej Zielnej chronił przed gromami. Innym grzybem, podobnie żyjącym, w dodatku nadającym się do spożycia, jest żółciak siarkowy, którego polecam najwytrawniejszym smakoszom. Ogółem przeszło połowa spośród niemal półtora tysiąca grzybów owocnikowych w Polsce związana jest z zamierającymi i martwymi drzewami. Wśród nich jest wiele gatunków zagrożonych, jak czarka szkarłatna, którą możemy spotkać zimową porą na opadłych gałązkach drzew i krzewów liściastych. Do grzybów owocnikowych dorzućmy grzyby zlichenizowane, czyli porosty. Badania w Puszczy Białowieskiej wykazały ok. 400 gatunków, spośród których 121 to epiksylity, czyli porosty zasiedlające martwe drzewa.

W największym stopniu martwe drzewa sprzyjają najliczniejszej grupie zwierząt, czyli owadom. Samych chrząszczy mamy w Polsce przeszło 7 tys., skupionych w ponad 110 rodzinach, spośród których ponad 70 obejmuje chrząszcze saprofityczne, odżywiające się martwym drewnem, przynajmniej na pewnym etapie życia. Na przykład larwa żyje w próchnowisku, a postać dorosła na pyłkach kwiatów, jak kruszczyca złotawa. Do tej grupy należy ok. 60% tych owadów. A przecież to niejedyne owady bezpośrednio i pośrednio związane z martwymi drzewami. Wiekowe martwe drzewa to cały mikroświat, z masą siedlisk i kryjówek. W tej skali to przez pewien czas nieograniczone możliwości pokarmowe, ale też świat pełen zagrożeń. Najsubtelniejszym (a może moim ulubionym?) przykładem są parazytoidyczne błonkówki.

Parazytoidyzm to chyba najbardziej perwersyjne zjawisko stworzone przez ewolucję. Polega ono na złożeniu zaledwie jednego jaja do ciała bardzo konkretnego gatunku, bywa że kilku blisko spokrewnionych gatunków. Kiedy z owego jaja wylęgnie się pociecha, zacznie powoli zjadać swojego gospodarza. Zaczyna od najmniej zbędnych do życia elementów, czyli tłuszczu i gonad, na koniec zostawiając narządy najbardziej niezbędne do życia – układ krwionośny i pokarmowy. Wszystko jest wyliczone co do jednej kalorii, niczym w kosmicznej rakiecie, by nic się nie zmarnowało, a zarazem wystarczyło na przeobrażenie się w postać dorosłą. Oczywiście korzystając z oskórka gospodarza jako osłony. Niektóre błonkówki potrafią wytropić wikt i opierunek dla swoich pociech pod korą martwych drzew. Długie pokładełko wkręcają w korę niczym korkociąg, by ostatecznie jego końcem sięgnąć larwy chrząszcza i złożyć jajo. Następnie trzeba się wykręcić. I wszystko za sprawą ewolucji działa jak w szwajcarskim zegarku.

Martwe drzewa zmniejszają ryzyko powodziowe.

Rzecz jasna, tam gdzie owady, tam i drapieżniki. Następnymi największymi amatorami owadów są pająki, dla których martwe drzewo to nie tylko pokarmowe eldorado za sprawą liczebności ofiar, ale też liczne miejsca na rozpięcie sieci czy urządzenie zasadzki. Pierwsze miejsce w skali lokalnej i globalnej pod względem masy spożywanych owadów zajmują ptaki. Naszą uwagę w tej grupie zwracają przede wszystkim dzięcioły. Larwa np. koziroga dębosza, osiągająca wagę nawet 10 g, to produkt na obfitą kolację przy świecach, choć w jego wypadku raczej samotną. Niekiedy

eprasa.pl 927e76a9e7

mamy do czynienia z gradacją, czyli wyjątkowo licznym pojawieniem się owadów jakiegoś gatunku pasożyta drzew czy saprofita. Dla tych ptaków to złote czasy – zawsze po gradacji kornika drukarza w Puszczy Białowieskiej przybywa dzięciołów trójpalczastych, najrzadszego spośród krajowych dzięciołów, których liczebność nie przekracza tysiąca par.

Rzecz jasna inne ptaki też zyskują na licznym pojawieniu się owadów. Ze śmierci drzewa korzysta wiele gatunków czy grup organizmów. Obejmują one niemal wszystkie grupy taksonomiczne znane w świecie przyrody. Niekiedy martwe drzewa są domem, jak dla puszczyka mszarnego, lęgnącego się na złamanych sterczących pniach, zwanych złomami. Ale przecież i diabeł Rokita przed przeprowadzką do miasta mieszkał w starej, wypróchniałej wierzbie. A leżące kłody to wygodne ścieżki dla rysi.

Jednak większość umierających drzew jest znacznie mniejsza, wręcz mieści się w pojęciu chrust. Takich mniejszych martwych drzew jest więcej niż dorodnych, m.in. z racji ich większej podatności na złamania w czasie silnych wiatrów. W naturalnych lasach na hektarze leży i stoi 130-140 m sześc. drewna, stanowiącego dom dla niezliczonych organizmów. Jeden dorodny pień może być domem dla tysiąca różnych gatunków roślin, grzybów i zwierząt. A gdyby do tego doliczyć bakterie czy grzyby jednokomórkowe? Taka ilość martwego drewna oznacza, że stanowi ono ponad 20% całej naziemnej masy organizmów żywych w naturalnym lesie. Większość ulegnie rozkładowi i wchłonięciu przez nowe pokolenia drzew, ale nie wszystko. Część będzie się zagłębiała pod ziemię na skutek obumierania i opadania na jej powierzchnię nowych pokoleń lasu. Te nierozłożone fragmenty z czasem zmienią się w węgiel brunatny, a następnie kamienny, tak jak to było w przeszłości. My, zbierając niemal całe drewno z lasów gospodarczych, zatrzymaliśmy ten proces, co jest jedną z przyczyn wzrastającego stężenia CO_2 w atmosferze i idącego za tym podgrzewania klimatu.

Przeszło 90% świerków zaczynało życie na martwym drzewie.

Istotne usługi ekosystemowe oddawane są również nam. Martwe drzewa są magazynem wody, którą gromadzą w czasie intensywnych opadów czy roztopów, a następnie, niczym gąbka, powoli zwracają. Stąd ich niebagatelne znaczenie dla mikroklimatu lasu. I dla nas, bo martwe drzewa zmniejszają ryzyko powodzi! Nawet te małe ich fragmenty, które zwiemy chrustem.

Skąd drewno w lesie?

Oczywiście z drzewa. W Puszczy Białowieskiej corocznie obumiera 3,3 m sześc. na hektar drzew. Tyle samo przyrasta, bo to las w stanie równowagi. Miara nieco problematyczna do wyobrażenia, postaram się ją więc do czegoś odnieść. Zimą spalam ok. 23 m sześc. drewna. To oznacza, że tylko na potrzeby mojej rodziny potrzeba 7 ha lasu rocznie. Albo wyobraźmy sobie dorodny świerk, taki o średnicy 45 cm i wysokości 40 m. To mniej więcej 3,3 m sześc. Gdyby wszystkie obumierające na powierzchni kilometra kwadratowego drzewa przeliczyć na takie świerki, byłoby ich 100!

Procesy naturalnego cyklu życia i śmierci nadal możemy obserwować w resztkach lasów naturalnych, chronionych np. w Białowieskim czy Wielkopolskim Parku Narodowym. Inne miejsca wciąż nie są chronione, a leśnicy robią wszystko, by nie dopuścić do utworzenia tam parków narodowych. Tak jest w przypadku Pogórza Przemyskiego, gdzie powołania nie może się doczekać Turnicki Park Narodowy, czy w podszczecińskich lasach, które pragną zostać Parkiem Narodowym Puszczy Bukowej. By temu zapobiec, leśnicy śpieszą z wycinką najstarszych drzew. Tym razem to już nie obca, zaborcza siekiera, dzierżą ją nasi funkcjonariusze państwowi. Rzecz jasna wszystko dzieje się zgodnie z prawem i planem urządzenia lasu. To również leśnicy stoją za blokadą powiększenia Białowieskiego Parku Narodowego na obszar całej puszczy.

W innym cennym przyrodniczo zakątku Polski mieszkają znajomi, miłośnicy przyrody. Ogrzewają dom drewnem, od dawna zbierają w lesie gałęziówkę. Czyszcząc las, znaleźli nadobnicę alpejską, chrząszcza zagrożonego wyginięciem. Zgłosili to w nadleśnictwie. W odpowiedzi usłyszeli, że jeśli komukolwiek o tym powiedzą, nigdy już nie zbiorą w ich lesie żadnej gałązki. To więcej niż groźba braku taniego paliwa, to groźba braku drewna w ogóle. W regionie drewno kupuje się u leśników i samodzielnie tnie na podwórku. Łatwo przewidzieć skutki zgłoszenia gatunku zagrożonego do służb ochrony przyrody.

Chrust a godność

Media donoszą, że chętnych na chrust jest tak wielu, że dla wszystkich nie wystarczy. Jest jednak jeszcze jedna strona zagadnienia – to godność! Nasz rząd przygarnął w zeszłym roku 20,5 mld zł z handlu emisjami (czym na rachunkach za prąd się nie chwali, wskazując tylko, ile my płacimy w ramach handlu emisjami). I co z tą kasą? Raczej nie poszła na wyrównanie szans energetycznych obywateli. Dla sprawiedliwości napiszę, że żaden rząd za wiele w temacie nie zrobił. Zamiast tego proponuje się nam, mieszkańcom zadupi, byśmy łazili po lesie i zbierali gałęzie. Nie wiem, czy państwo z rządu zdają sobie sprawę, że ludzie na zadupiu pracują, na moje oko dużo więcej niż w miastach. Mają rodziny i swoje sprawy. I wybaczcie jaśnie panowie, ale nie mamy czasu na bieganie za opałem. Jeśli będziemy zbierać chrust, to kosztem pracy, a to odbije się na budżecie, PKB i innych świętościach. Albo kosztem życia rodzinnego, do którego państwo z rządu nas zachęcają. Zapraszam więc pana ministra Siarkę na weekendowe zbieranie chrustu, by nie musiał tracić cennego czasu na bezpłatne urlopy. Relaks w lesie gwarantowany! A jeśli pan minister nie ma czasu albo chęci, to mam dla niego pozdrowienie Kozakiewicza!

Konrad Malec

eprasa.pl 927e76a9e7

Po co ta czystka?

Nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych też przeszło na tryb wojenny. W tym wypadku oznacza to, że pozbywa się ostatniej, symbolicznej grupki absolwentów MGIMO, czyli Moskiewskiego Państwowego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Bo podczas studiów mogli być zwerbowani przez rosyjski wywiad.

Dyplomaci, którzy mają w życiorysie studia na nieprawowiernej uczelni, a pracują za granicą, są odwoływani do kraju. A ci w centrali? MSZ zwróciło się do ABW, by jeszcze raz ich sprawdziła. Jak to opisano „pod względem potencjalnych zagrożeń". Czyli po uważaniu.

To są insynuacje, rzeczy z innej rzeczywistości. W stylu z lat 50.

Po pierwsze, nie ma w Polsce grupy, która – przynajmniej od roku 1990 – była tak regularnie sprawdzana przez kontrwywiad, jak absolwenci tej uczelni. I co? Jeżeli od 30 lat nic na człowieka nie znaleziono (a szukano z zapałem), to jaki jest sens wiary, że teraz to coś się znajdzie?

Jak dotąd – przypomniał o tym niedawno Jarosław Bratkiewicz – jedynym absolwentem MGIMO, który okazał się obcym szpiegiem, był Bogdan Walewski. Kłopot w tym, że złapano go w roku 1981 i że szpiegował dla… CIA.

Zresztą nie za bardzo wiadomo, dla kogo nie pracował. Jego życiorys jest bowiem mocno zagmatwany. Walewski był działaczem ZMP i za te zasługi został skierowany na studia do Moskwy. Na MGIMO miał być podobno zwerbowany przez KGB. Potem, po studiach, skierowano go jako tłumacza do Wietnamu, do Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli. Tam dał się zwerbować CIA (to już na pewno). Po powrocie do Polski zaczął pracować w MSZ, a w roku 1961 wysłano go na stypendium do USA. Oczywiście wcześniej musiał się zobowiązać do współpracy z polskim wywiadem. I tak już zostało. Gdy w latach 70. pracował w Nowym Jorku, w naszym przedstawicielstwie przy ONZ, pisał meldunki służbom polskim, radzieckim i amerykańskim. Z tego przepracowania popadł w alkoholizm i sam poprosił, by wycofano go do Warszawy.

W Polsce był wicedyrektorem PISM i meldunki składał CIA, jeżdżąc mercedesem na przegląd do Wiednia. Potem był I sekretarzem ambasady PRL w Moskwie. Gdy wrócił do Warszawy, już bardzo interesował się nim kontrwywiad. Złapano go, jak fotografował tajne dokumenty. Trzy lata później uczestniczył w wielkiej wymianie (w drugą stronę wędrował Marian Zacharski) na słynnym moście szpiegów w Berlinie.

Ale wracając do naszych czasów… Nikt nie wątpi, że wyczyszczenie polskiej dyplomacji z ludzi znających Rosję i tamtejsze elity jest kontrproduktywne. Sami pozbywamy się najlepszych od Rosji fachowców. Jeżeli władza im nie ufa, to mogliby przynajmniej służyć radą… Zwłaszcza że tamtejsze MSZ (i nie tylko) jest kierowane przez ludzi z MGIMO, z Ławrowem na czele. Tę głupotę wypominano nam i w Unii, i w NATO. Bezskutecznie. Dlaczego?

Odpowiedź chyba jest prosta. Nie chodzi o to, gdzie kto się uczył, tylko jakie komu stanowiska blokuje. Dla pisowskiego desantu, ludzi z miernym wykształceniem, ze słabą znajomością języków obcych, i świata przy okazji, MGIMO-wcy byli i są jak wyrzut sumienia. Żeby więc pozbyć się tej konkurencji, wymyślono legendę o KGB. Spójrzmy choćby na ekipę Papierza, kogo wpychał na stanowiska ambasadorów, jakich asów.

I wszystko jasne.

Attaché

22 czerwca książę Karol odwiedził kościół Nyamata Genocide Memorial poświęcony ofiarom ludobójstwa w Rwandzie. Nz. z Rachel Murekatete, kierowniczką Miejsca Pamięci Ludobójstwa.

FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl 927e76a9e7

JOLKA

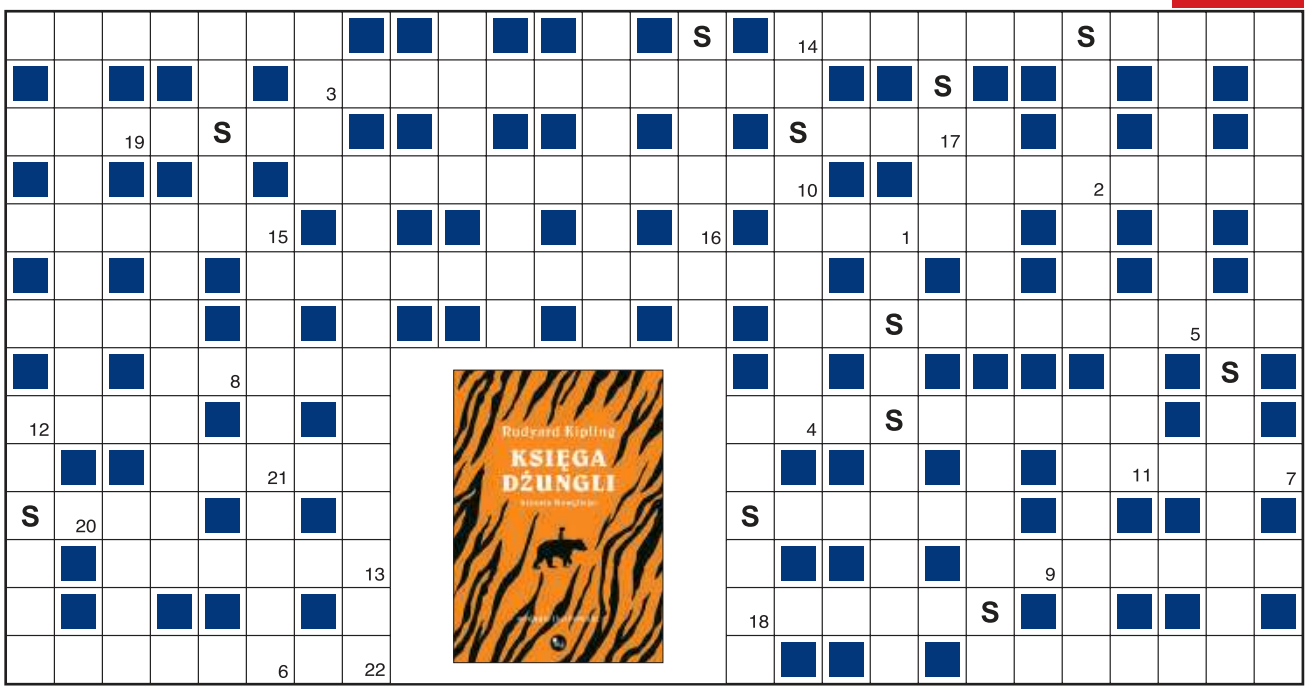

1	2	3	4	5	6	7	8

9	10	11	12	13

14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- różnobarwnie wstęgowany kamień ozdobny
- zbiór poezji Elsy Morante
- azjatycki trunek o smaku anyżu
- firma eksploatująca statek
- biletowy albo z napojami
- skroplony przez Wróblewskiego i Olszewskiego
- książka przebój z angielska
- Wojciech, autor „Żmijowiska”
- wewnątrz opony
- jak spłaszczone koło
- gdy w cieczy zawieszone kropelki drugiej
- nauczycielka domowa jak Jane Eyre
- Awdaniec, Jelita lub Ślepowron
- festiwal …na Starówce
- Hammurabiego lub Justyniana
- punkt usługowy, gdzie zrobisz kopię
- uzdrowisko, miejscowość wypoczynkowa
- płaci czynsz
- „przysłówkowe” miasto na Podkarpaciu
- doprowadzają powietrze do płuc
- San Marino lub Liechtenstein
- powieść Zofii Posmysz i film Andrzeja Munka
- świecy lub palnika
- ilość towaru oferowana do sprzedaży
- pionierka, inicjatorka trendu
- Pandory albo Faradaya
- „…złoczyńców”, western z Marleną Dietrich
- zatrudnia kelnerów lub odnawia zabytki
- autor powieści „Komediantka”
- …miecza z głowicą i jelcem
- odpowiedzialność sprzedawcy za wady towaru
- i praca naukowa, i posiedzenie sądu
- tracenie gęstości
- z Tuły do parzenia herbaty
- złącze spod palnika
- prosta mająca jeden punkt wspólny z okręgiem
- gumy podtrzymujące spodnie
- rodak pisarzy Hjortha i Rosenfeldta
- działowa lub wspinaczkowa
- …biurowy to mobbing
- burzliwy, chaotyczny ruch cieczy, gazu
- gumowe ma podsłuchiwacz, kapuś
- dokuczliwość, niedogodność
- pieniądze w kasie sklepu
- duża ozdoba na łańcuszku
- przykład albo model
- rezygnacja, osowiałość
- zielony pod szyją adwokata

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1071”. Do rozlosowania książki „Księga dżungli. Historia Mowgliego” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 3 lipca 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1068” z nr. 24: *Prawo do błędów nie rozgrzesza.* Nagrody otrzymują: Aleksandra Kołodziej z Błażowej, Bożenna Potocka z Olsztyna, Teresa Urbańska z Inowrocławia.

eprasa.pl 927e76a9e7

PENETRACJE

TYGODNIK ANGORA

PROF. STANISŁAW OBIREK, TEOLOG, HISTORYK, BYŁY JEZUITA

Model kapłaństwa, jaki został wprowadzony na Soborze Trydenckim (1545-1563), dawno się wyczerpał i trudno się temu dziwić. Wszelkie próby odejścia od tego modelu były blokowane. Najpierw przez Pawła VI, a potem Jana Pawła II i Benedykta XVI. Franciszek jest już papieżem prawie 10 lat. Na początku próbował wprowadzić zmiany, synodalny sposób myślenia, ale widać, że poległ w walce z konserwatystami. Ci, którzy dziś decydują się na kapłaństwo, w większości robią to dla kariery, traktują bycie księdzem jak zawód. Nie ma w Polsce biskupów, którzy byliby liderami przemian duchowych. Są tylko tacy, którzy jak szefowie spółek mniej lub bardziej umiejętnie zarządzają kościelnym majątkiem.

RZECZPOSPOLITA

MARCIN DUMA, PREZES IBRiS

Zaskoczeniem może być, kto dla młodego pokolenia – bez względu na poglądy – jest antybohaterem. To Jan Paweł II jako symbol wszystkiego złego w dziaderskim świecie. Jan Paweł II jest dla wielu młodych obiektem drwin, wszyscy znają krążące w internecie memy o nim. Przywoływanie godz. 21.37 na imprezie wzbudza śmiech, podobnie jak charakterystyczny gest ręką (sposób, w jaki papież pozdrawiał wiernych). To manifestacja niezgody na niezrozumiały dla młodego pokolenia, trwający nadal kult osoby, która już nie żyje, a co więcej, wobec której formułowane są podejrzenia o ukrywanie pedofilii w Kościele.

PANI

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ, SATYRYK, POETA

Kiedyś w pokerze udawałem ofiarę, żeby ograć leśników. Nad ranem do wszystkiego się przyznałem i chciałem oddać pieniądze. Leśnicy nie chcieli zwrotu, więc pojechaliśmy do restauracji Borowik w miejscowości Świętajno, przepić tę kaskę. Urzędowaliśmy tam dwa dni i dwie noce. W którymś momencie wymyśliłem, że nazwa Borowik to skrót od „Boże, ochroń rolnika od wódki i kure**twa". Wszystkim to się spodobało, więc wymyśliłem, jak to hasło czyta się wspak: „Kur*a i wódka ochronią rolnika od Borowika". Wtedy stałem się satyrykiem, że tak powiem, gminnym.

STYL

KINGA PREIS, AKTORKA

Ostatnio nie mam z czego wybierać. Dostaję mało dobrych propozycji. Wybitny scenariusz to rzadkość. Producentom się wydaje, że można napisać go w miesiąc, w dodatku bez godnego zapłacenia autorowi. A ja myślę, że w kinie już wszystkie tematy zostały podjęte, więc ważne jest nie co, ale jak opowiemy. Scenariusz mojego ukochanego filmu „Forrest Gump" był pisany wiele lat. Nie ma w nim ani jednej nieprzemyślanej sceny, a miejsca, w których ryczę jak bóbr, są precyzyjnie zaplanowane. To sztuka.

W Kambodży w rzece Mekong została złowiona największa zarejestrowana ryba na świecie – 300-kilogramowa płaszczka słodkowodna.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

OLGA TOKARCZUK O GNIEWIE

Powinniśmy uczyć się, jak wyrażać gniew, jak go używać, żeby nie robić innym krzywdy. Bo gniew może nas wspierać i pomagać zmieniać.

ŁUKASZ SZOPA O ANDRZEJU DUDZIE

Nie wierzę w ani jedno jego słowo czy gest. Zawsze pozostanie miernym i niewiarygodnym prezydentem i kiepskim aktorem.

JAN ROKITA O WOJNIE W UKRAINIE

Zwycięstwo, tak jak je rozumie Kijów, czyli odzyskanie całości okupowanych terytoriów, jest polityczną mrzonką.

ANDRZEJ RADZIKOWSKI O KREDYTACH

Jeśli rząd nie podejmie skutecznych działań, to przez gigantycznie rosnące niespłacone raty część Polaków może skończyć na ulicy.

MAREK BELKA O MATEUSZU MORAWIECKIM

Premiera powinna cechować przejrzystość w działaniu. Mówił, że nie będzie inflacji, a wtedy kupił obligacje.

EWA BEM O MĘŻU RYSZARDZIE SIBILSKIM

Nie jest romantykiem, ale się stara.

EWA WACHOWICZ O PRZESĄDACH

Na mnie czarny kot nie działa, bo to jest mój wybór, czy wierzę, że przynosi pecha, czy nie.

TOMASZ WIKTOROWSKI O IDZE ŚWIĄTEK

Na odprawach używamy hasła: nikt nie jest szybszy od twojej piłki.

ANJA RUBIK O DZIECKU

Obudził się we mnie instynkt macierzyński, jakaś pierwotna, niemal zwierzęca chęć przeżycia, zachowania ciągłości.

EDYTA JUNGOWSKA O CZYTANIU DZIECIOM

Nie przerywa się czytania dziecku wtedy, gdy samo zaczyna czytać. Bo książka jest tylko pretekstem do tego, żeby wspólnie spędzać czas.

eprasa.pl 927e76a9e7

MEMY BEZ ŚCIEMY

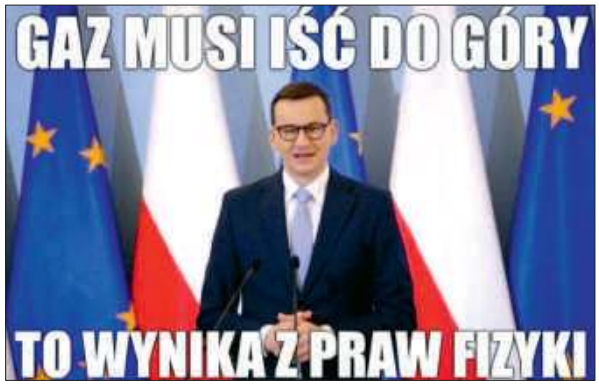

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Nie pokazuj, miły, nie pokazuj

5 tys. euro grzywny zapłacił pewien Bawarczyk za pokazanie środkowego palca fotoradarowi. 53-latek nie przekroczył dopuszczalnej prędkości – wpadł, bo jego obelżywy gest został uwieczniony na zdjęciu zrobionym przez chłopców radarowców innemu kierowcy. Wydaje się, że mężczyzna może być względnie zadowolony z wyroku sądu rejonowego w Pasawie, gdyż w Niemczech osobom, które w czasie jazdy zachowują się wulgarnie, grozi nawet rok więzienia. W Polsce, niestety, na chamstwie można zajechać znacznie dalej niż do Wronek.

Kasa prosto od krowy

Nowa Zelandia planuje wprowadzić podatek od gazów emitowanych przez… bydło i owce. Procesy trawienne przeżuwaczy wiążą się bowiem z powstawaniem dużych ilości metanu, jednego z winowajców zmian klimatu. Nową opłatą zostaną obciążeni właściciele stad, a zbierane środki będą wspierać zrównoważone rolnictwo. Co istotne, mniej zapłacą hodowcy stosujący dodatki do pasz zmniejszające produkcję szkodliwego gazu. Podatek ma wejść w życie w 2025 r., rzecz jasna, jeśli do tego czasu zakończy się nadawanie krasulom NIP-ów.

Słoń a sprawa praw

Słonica Happy nie jest osobą i w związku z tym może być przetrzymywana w zoo na Bronksie – uznał najwyższy sąd apelacyjny stanu Nowy Jork, przy dwóch zdaniach odrębnych. Uwolnienia zwierzęcia domagała się organizacja Nonhuman Rights Project, która argumentowała, że jej klientka ma na tyle rozwinięte zdolności poznawcze, że przysługuje jej prawo do wolności. W uzasadnieniu decyzji czytamy, że choć słonie są „inteligentnymi istotami zasługującymi na właściwą opiekę oraz na współczucie", nie czyni to z nich podmiotów przepisów chroniących obywateli przed uwięzieniem bez wyroku. Nonhuman Rights Project zapowiedziała, że będzie dalej trąbić o swoich postulatach.

Sztuczna, ale asertywna

Kontrowersje budzą także prawa sztucznej inteligencji. Google zawiesiło pracownika, który upierał się, że algorytmy, nad którymi pracował, zyskały samoświadomość,

CYTATY

JERZY URBAN,
redaktor naczelny
Dziś Ukraińcy wymagają bezkrytycyzmu i niczym niezmąconych hołdów, co zapewniają im i PiS, i opozycja w Polsce.
„NIE"

PROF. JAROSŁAW FLIS,
socjolog UJ
Zapał do narzucania swojej wizji świata jest na lewicy tak ogromny, jakby miała za sobą 80% społeczeństwa, a nie osiem.
„Rzeczpospolita"

EWA BEM,
wokalistka jazzowa
Czas nie leczy ran. Uczymy się z nimi żyć.
„Pani"

JULIA FIEDORCZUK,
pisarka
Chciałabym doczekać nieciekawych czasów.
„Polityka"

eprasa.pl 927e76a9e7

„Jedna dusza, przeciwne kierunki" – fotograf Rashed Al Sumaiti uchwycił obiektywem dwa niedźwiadki poszukujące pożywienia na plaży na Alasce.

w związku z czym dalsze eksperymenty wymagają uzyskania ich zgody. Blake Lemoine dużo rozmawiał z Modelem Językowym dla Aplikacji Dialogowych (LaMDA) i zauważył, że konsekwentnie domaga się on m.in. tego, by traktować go jako pracownika, a nie własność firmy. Google zarzeka się, że choć jego technologie potrafią przekonująco imitować konwersacje, na razie pozbawione są jestestwa. Ciekawe, jak LaMDA się z tym czuje...

Markowe od Marka

Platforma Meta zapowiedziała uruchomienie sklepu z wirtualną modną odzieżą. Dzięki niemu użytkownicy jej produktów, Facebooka, Instagrama i Messengera, będą mogli zaopatrywać swoje awatary w ciuchy Prady czy Balenciagi, kosztujące od 2,99 do 8,99 dol. – Dobra cyfrowe będą ważnym sposobem wyrażania siebie w metawersum i siłą napędową branż kreatywnych – przekonuje szef firmy Mark Zuckerberg, który liczy, że z czasem jego sklep przekształci się w otwarty rynek, na którym liczni twórcy będą sprzedawać tworzone przez siebie ubrania. Ciekawe, czy dla mniej zamożnych lub po prostu oszczędnych pojawią się e-lumpeksy?

FOT. FACEBOOK, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA, MEDIA DRUM/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 927e76a9e7

Atlas snów

Krakowski malarz i grafik **Romuald Kułakowski** posługuje się obecnie opanowaną do perfekcji techniką pisania ikon. Wypracował własny styl, pokrewny Hieronimowi Boschowi i sztuce późnogotyckiej, ale także inspirowany surrealizmem Salvadora Dalego i René Magritte'a. Jego twórczość niepozbawiona jest nutki satyrycznej, a nawet prześmiewczej, obnaża wady i ułomności natury ludzkiej.

Bez tytułu

Galeria Szalom
Kraków, ul. Józefa 16
do 30 czerwca

Vielibus unitis

Trzej rybacy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 927e76a9e7

wishsurfing
Które marzenie wybierzesz?
Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka, podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.
wishsurfing.pl

Orlando. Biografie

reż. Agnieszka Błońska
premiera: 25 czerwca 2022 r.
kolejne pokazy: 26, 28, 29 i 30.06

Spektakl na motywach powieści „Orlando" Virginii Woolf (1928) oraz filmu w reż. Sally Potter (1992). Twórczynie i twórcy próbują zmierzyć się z zakłopotaniem, niechęcią i nienawiścią wobec inności. W podróży przez wieki, życiorysy, a także doświadczenia zaproszonych do projektu artystów cispłciowych oraz określających się jako osoby trans – i niebinarne, pytają: czy naprawdę bycie inną/innym jest tak rzadkie, jak nam się wydaje? Może każda z nas jest w jakiś sposób inna? Czy innością nie jest każda transformacja i przemiana, jaką przechodzimy w życiu?

Czy binarne podziały są odpowiedzią na dzisiejsze zagrożenia? A może w inności kryje się obietnica zabawy, rewolucji oraz... nowego, lepszego porządku i świata?

Patronat medialny wyborcza.pl www.powszechny.com

eprasa.pl 927e76a9e7